



RZECZPOSPOLITA

Bezpłatne wydanie specjalne



81.

rocznica

wybuchu Powstania Warszawskiego



Więcej
o Powstaniu
Warszawskim
na stronie
1944.rp.pl

EUGENIUSZ HANEMAN / MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO



RZECZPOSPOLITA



rp.pl



Wiedza dla

PRO

_fesjonalistów

RAPORTY ANALIZY ORZECZENIA PROGNOZY

Poznaj nowość PRO.RP.PL

Twoje niezawodne źródło informacji, które wspiera Cię w podejmowaniu świadomych decyzji zawodowych. Dzięki szczegółowym raportom, dogłębnym analizom, orzeczeniom i prognozom biznesowym, będziesz o krok przed innymi.

W numerze

E4 Powstanie to nie jest zamknięta karta historii

1 sierpnia o godzinie 17:00 cała Polska zatrzymuje się w milczeniu. Syrena przypomina nam nie tylko o wybuchu Powstania Warszawskiego, ale też o odwadze i bezgranicznej miłości do Ojczyzny

E5 Nie ma patriotyzmu bez zaangażowania

Powstańcy byli wyjątkowymi bohaterami, ale nie tylko w czasach wojny. Oni byli aktywnymi obywatelami – mówi Jan Ołdakowski, dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego

E6 Sensy Powstania Warszawskiego

– Wyobraźmy sobie opowieść o kataklizmie Powstania Warszawskiego jako historię niszczącego trzęsienia ziemi. Mówimy o katastrofie, która dotknęła miasta, była próba charakterów. To, co nas niszczy, może nas równocześnie budować – mówi Marcin Napiórkowski, p.o. dyrektora Muzeum Historii Polski

E8 Kapelusz w błocie

Wspomnienia Izabelli Horodeckiej: „Musiałyśmy przeprosić się ze spodniami, bo dalsza egzystencja była niemożliwa. Było zimno w nogi na dyżurach w nocy, a gdy trzeba było się czoięgać po nierównym terenie, gołe kolana tego nie wytrzymały.”

E10 Korytarz przez Ogród Saski

Czy próba przebicia się ze Starówki do Śródmieścia w nocy z 30 na 31 sierpnia 1944 roku mogła się udać?

E12 Ratunek wśród ceglanych murów

Pośród ognia i ruin, dymu i śmierci Gazownia Warszawska stała się bastionem nadziei. Nieznana historia Powstania Warszawskiego.

E13 Gazowe Imperium Warszawy

Gazownia Warszawska przez lata była przemysłowym sercem stolicy i siłą napędową nowoczesnej Polski. To w niej odbija się historia miasta i kraju.

E14 Odebrać zrzuty z „Chochli” lub „Hamaka”

AK przyjmowała zrzuty od aliantów już od 1941 roku. Brak w mieście dużych terenów pod kontrolą powstańców sprawił jednak, że w sierpniu 1944 r. samoloty z pomocą częścię kierowały się nad podmiejskie lasy.

E15 Walka z okupantem, walka z ogniem

Wśród tych, którzy ruszyli na pomoc walczącym powstańcom, byli pracownicy Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych – dzisiejszego PZU.

E16 Jak ułan obronił katedrę

Bolesław Zawalicz-Mowiński za obronę warszawskiej katedry św. Zygmunta dostał awans i krzyż Virtuti Militari. Czy po wojnie też powierzano mu specjalne misje?

E17 Elektrownia Powiśle: energia dla walczącej Warszawy

36 dni bronili swojego zakładu energetycy z Powiśla. Równie ważne, jak opór, było ich wsparcie dla szpitali, piekarni i wytwórni broni.

E18 Z boisk na barykady

Bodaj najbardziej znanym sportowcem, który zginął w powstaniu był olimpijczyk Eugeniusz Lokajski „Brok”. Liczbę walczących sportowców można określić na kilka tysięcy.

E20 Chłopiec spod „Parasola”

Piosenki powstańcze to fenomen nieznany w historii polskiej, a może i światowej kultury. Były ich dziesiątki, wiele przetrwało do dziś. Najpopularniejszą, „Pałacyk Michła”, napisał Józef „Ziutek” Szczepański, który mógłby być powojennym Hemarem. Gdyby przeżył.

E21 Prawda w grozie przeżyć

Powstanie trwało od dwóch tygodni, gdy w podwarszawskich miejscowościach zawiązała się grupa gotowa na bieżąco dokumentować niemieckie zbrodnie. Pod kryptonimem „Iskra-Dog” zapisywany był los ginącej stolicy.

E23 Powstańcy prasy z pomocą walczącej Warszawie

Powstanie Warszawskie na Pradze trwało zaledwie kilkadziesiąt godzin. Blisko 600 żołnierzy z oddziałów praskich przeprawiło się przez Wisłę na lewy brzeg i tam kontynuowało walkę.

E24 Pobić Niemców u siebie

W rocznicowych dyskusjach o powstaniu oddziały spoza stolicy zwykle pozostają w cieniu. Warszawie pomóc nie mogli, za to na swoim terenie – czego dowodzą meldunki niemieckie – walczyli zaskakująco skutecznie.

E26 Powstańcy w Skierniewicach

Przez Duląg 142, umieszczony przy jednej z głównych magistral kolejowych Generalnego Gubernatorstwa, przeszło ponad dwa tysiące powstańców.

E28 Socjaliści w konspiracji

Spośród stronnictw „wielkiej czwórki” PPS-WRN najbardziej popierała ideę współpracy z pionem wojskowym Polskiego Państwa Podziemnego.

E29 Cyniczne współczucie dla ofiar

„Nowy Kurier Warszawski” lał krokodyle łzy nad „trudnym losem zwykłych mieszkańców”.

E30 Komu potrzebne są historyczne śledztwa

Wymiar sprawiedliwości Austrii i RFN nie poradził sobie z osądzeniem sprawców zbrodni nazistowskich – mówi Andrzej Pozorski, zastępca Prokuratora Generalnego, dyrektor pionu śledczego Instytutu Pamięci Narodowej.

OD REDAKCJI

Perspektywa świadka, perspektywa ofiary



MATERIAŁY PRASOWE

BOGUSŁAW CHRABOTA

Nie ma boleśniejszego znaku zapytania w polskiej historii niż ten przy pytaniach o Powstanie Warszawskie. Warto nie tylko pytać, lecz wstuchać się w głosy świadków – pisze redaktor naczelny Grupy Wydawniczej Gremi Media.

To wciąż te same pytania – czy było dowodem nieodpowiedzialności elit, czy nieuchronnym skutkiem aspiracji wymęczonego i marzącego o wolności pokolenia dzieci II Rzeczypospolitej? Czy jego klęska to zdrada Sowietów, czy może wynik pochopnych decyzji krótkowzrocznych dowódców, jak Okulicki? Czy ta ofiara miała jakiś historyczny sens i legła u podstaw polskiego mitu wolnościowego, czy też rzuciła na stos pokolenie, dzięki któremu losy powojennej Polski mogły się toczyć inaczej?

Minęło osiem dekad i te pytania wciąż nie znajdują ostatecznej odpowiedzi. Czy kiedykolwiek znajdą? Nie wiem. Zapewne nawet po tysiącu lat Powstanie Warszawskie będzie przedmiotem sporów, jakie dzieliły, i mitów, jakie wyrastały wśród Hellenów wokół wojny trojańskiej. Tyle że tamta zmitologizowana wojenka o peryferyjny Ilion była przez Greków wygrana. Powstanie to wielka narodowa klęska. Zagłada pokolenia; jego marzeń, jego młodości, jego poetów.

A jak go komentowali wielcy pisarze – rówieśnicy powstania? Gombrowicza irytowało, można to wyczytać na marginesie jego dzienników. A jednak nie odważył się poświęcić mu krytycznych passusów. Czy dlatego, że miał poczucie nieobecności? A może dlatego, że on – dezertier – bał się dotknąć świętości? Czesław Miłosz też nie wziął udziału w powstaniu. Wyjechał z Warszawy. Stchórzył, choć z dobrym efektem dla polskiej literatury; dane było mu przeżyć i doczekać późnej starości. Czy umiał być w sprawie powstania wyważony? W „Traktacie poetyckim” przedstawia je jako bezsilny gest niezdolnego do racjonalnego myślenia Dawida z procą. Zarazem to dla niego ostatni „wyczyn” Polski sanacyjno-endeckiej, której

przywrócenia nie pragnął. „Nie mówcie mi o Polsce. Niechaj już nie pełza / Za mną ten trup, w spłowiale odziany kontusze”. Owszem, łatwo było propagować takie poglądy prosto z werandy dworu Turowiczów w Goszycach.

Jeszcze Różewicz; żołnierz AK, pod bronią od 1943 r., choć nie brał udziału w powstaniu. „Ocalałem prowadzony na rzeź”. Przez kogo? Czy tylko przez Niemców? Czy na rzeź nie prowadzili aby dowódcy powstania? Możliwe, że tylko w niebie mają dostęp do pośmiertnych uwag o powstaniu Baczyńskiego, Gajcego czy innych poetów – ofiar tej strasznej daniny krwi. Ale kiedy próbuję sobie je wyobrazić, nie znajduję lepszego cytatu, niż słynne słowa jednego z żołnierzy batalionu „Zośka”: „Czy całe miasto może przeobrazić się w ten ohydny koszmar, koszmar, który tak bezlitośnie pochłoniął młodzięncze marzenia, naiwność, entuzjazm, wiarę w życie i siebie, wszelką radość, z wyjątkiem zwierzęcej radości przetrwania? Który zabrał mi tyle drogich, jakże bliskich osób, tyle wiary, a zostawił tylko poczucie własnej małości, bezsilności i wstrętu do samego siebie! Nie, to niemożliwe, przecież świat jest, musi być inny”. Miał, choć okrutne, do tych słów prawo. Był obecny. Przeżył. Doświadczył. W przeciwieństwie do tych, którzy nie doświadczyli powstania.

I tu się kryje chyba najważniejsza z prawd o Powstaniu Warszawskim: uczciwa jest tylko perspektywa uczestnika. Perspektywa świadka. Perspektywa ofiary. Inne są jak opowieście ślepego o kolorach. Relacja głuchego z premiery w filharmonii. Dlatego z taką czułością wsluchuję się co roku w słowa tych, którzy przeżyli. Sluchajmy ich; choćby to były tylko zapisane słowa.

PRZESŁANIE NA ROCZNICĘ

Wspólnota w chwili ciszy



MATERIAŁY PRASOWE

RAFAŁ TRZASKOWSKI

1 sierpnia to jedna z dat, które dla Warszawy mają szczególne znaczenie. Tego dnia miasto, tętniące życiem i pełne ruchu, zwalnia i mówi zgodnym głosem. To nie tylko rocznica historycznego wydarzenia, to moment wryty w pamięć mieszkańców i obecny w ich sercach – pisze prezydent Warszawy.

17.00, godzina „W”, wyznaczająca początek Powstania Warszawskiego, przerywa codzienność. Cała stolica, od najbardziej ruchliwych arterii po ciche zakątki osiedli, zatrzymuje się w symbolicznym geście. W tej szczególnej ciszy odnajdujemy wspólnotę. Łączymy się z tymi, którzy 81 lat temu odważyli się stanąć do nierównej walki o godność, wolność i lepszą przyszłość. Ich odwaga i determinacja są dla nas inspiracją, przypomnieniem, co znaczy solidarność i jak ważne są wspólne ideały.

Powstanie Warszawskie nie jest tylko historycznym wydarzeniem. To źródło naszej tożsamości, fundament, na którym zbudowano współczesne oblicze stolicy. To żywe dziedzictwo, które na co dzień obecne jest w murach, w nazwach ulic, w codziennym rytmie miasta. Jest przypomnieniem o odwadze i sile wspólnoty.

Dlatego tak ważne jest, byśmy tę pamięć nie tylko czcili, ale także pielęgnowali. Wierzę, że jej największą siłą jest to, że łączy pokolenia. Że dla młodych warszawiaków nie jest tylko wspomnieniem z przeszłości, ale inspiracją, lekcją

obywatelstwa, zaangażowania, pokory i szacunku. To nasza wspólna odpowiedzialność: przekazywać ją dalej, tak by nigdy nie została zapomniana.

Miasto Warszawa angażuje się w obchody tej rocznicy nie tylko przez oficjalne uroczystości – choć są oczywiście niezwykle ważne. Chcemy, aby pamięć o Powstaniu była obecna w codziennym życiu, w działaniach społecznych, edukacyjnych i kulturalnych. Wspólne śpiewanie piosenek powstańczych, które już na stałe wpisało się w warszawski krajobraz 1 sierpnia, to nie tylko gest hołdu. To spotkanie pokoleń, moment przeżywania historii, która jest nasza, wspólna, wszystkich, bez wyjątku, bez podziałów.

Dziękuję osobom, które troszczą się o dziedzictwo Powstania Warszawskiego: kombatanom, rodzinom powstańców, nauczycielom, harcerzom, wolontariuszom, organizacjom społecznym i każdemu, kto 1 sierpnia przystaje na minutę i czuje dumę z bycia częścią tego niezwykłego miasta.

Warszawa nie zapomina. Warszawa żyje pamięcią. I z tej pamięci czerpie siłę.

Redakcja

- Redaktor prowadzący: Tomasz Sobiecki
- Współpraca: Wojciech Stanisławski
- Projekt graficzny: Kamil Sknadaj

- Fotoedycja: Tomasz Nowak
- Obróbka foto: Tomasz Rojek

ZWIĄZEK HARCERSTWA RZECZYPOSPOLITEJ

Powstanie to nie jest zamknięta karta historii

1 sierpnia o godzinie 17:00 cała Polska zatrzymuje się w milczeniu. Syrena przypomina nam nie tylko o wybuchu Powstania Warszawskiego, ale też o odwadze i bezgranicznej miłości do Ojczyzny.

Wśród powstańców byli ci najmłodsi – harcerze i harcerki Szarych Szeregów. Dziś, 81 lat później, można zadać pytanie, czy ich duch przetrwał? Czy ich gotowość jest wciąż obecna? Czy żyje się wartościami, o które tamci młodzi ludzie walczyli i za które ginęli?

Powstanie Warszawskie nie byłoby tym samym bez harcerzy. To oni – jako Zawiszczy, Bojowe Szkoły czy Grupy Szturmowe – pełnili służbę łączników, ratowników, sanitariuszy, zwiadowców. Często byli niewiele starsi od dzisiejszych starszych roczników szkoły podstawowej. W ich oczach nie było strachu, lecz determinacja. W dłoniach – nie tylko opaska z czerwonym krzyżem, ale także meldunek, bandaż, granat. W sercu – przyrzeczenie harcerskie i wierność Polsce. Ich bohaterstwo nie znało granic, a ich ofiara zapisała się na kartach historii jako symbol niezłomności polskiej młodzieży.

Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej, założony w 1989 r. przez instruktorów wiernych etosowi przedwojennego harcerstwa, świadomie nawiązuje do tradycji Szarych Szeregów. Wychowuje młodych ludzi w duchu służby, odpowiedzialności, odwagi oraz miłości do Ojczyzny. W ZHR biwaki i ogniska są ważną formą pracy harcerskiej, jednak chcemy przez nie osiągnąć coś więcej – formację charakte-

ru, stawanie się człowiekiem, który potrafi służyć innym nawet wtedy, gdy to trudne, a czasem niebezpieczne.

Harcerze ZHR uczą się, czym jest braterstwo – nie tylko na służbie, ale i w życiu. Tak jak „Rudy”, „Alek” i „Zośka” – bohaterowie „Kamieni na szaniec” – są wychowywani, by „żyć pięknie i umierać śmiało”. Choć czasy się zmieniły, wyzwania pozostały. Dziś harcerze ZHR nie noszą broni, ale gdy trzeba, niosą pomoc – podczas pandemii, klęsk żywiołowych, w codziennej służbie w szpitalach, hospicjach, schroniskach, szkołach i parafiach – wszędzie tam, gdzie jest ona potrzebna.

Każdego roku w ramach przygotowania do 1 sierpnia harcerze i harcerki ZHR pełnią wartę przy miejscach pamięci, porządkują groby powstańców, prowadzą zbiórki o historii dla rówieśników, wspierają kombatanów. Ich obecność to nie tylko symboliczny hołd – to kontynuacja idei. Dla nich Powstanie Warszawskie to nie zamknięta karta historii. To zobowiązanie zgodnie z założeniem Szarych Szeregów „dzisiaj-jutro-pojutrze” (przygotowanie-Powstanie-przyszłość). Dziś jest Pojutrze.

Dziś ZHR realizuje je każdego dnia. W ciszy i pokorze, bez kamer i reflektorów. Na obozach, w szkołach, na ulicach, w domach dziecka i domach starców. Z harcerską lilijką na mundurze i ideą w sercu.

Harcerstwo w ZHR to wychowanie ku służbie – Ojczyźnie, bliźniemu, wartościom. To życie według prawa harcerskiego, które – jak w latach wojny – jest busolą moralną. W świecie, gdzie często zagubione są autorytety, ZHR daje młodym ludziom solidny fundament i wzorce. Pokazuje, że można być wolnym i odpowiedzialnym, że można żyć dla innych, że można być silnym nie przemocą, ale cnotą.

1 sierpnia to nie tylko data. To wezwanie. Do pamięci, do wdzięczności, do działania. Harcerze ZHR – współcześni spadkobiercy tych, którzy walczyli w Powstaniu Warszawskim – stają dziś w szeregu. Gotowi. Do służby.

Specjalne podziękowania dla harcerzy ZHR za pomoc w dystrybucji niniejszego dodatku podczas obchodów rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego



ZHR

Harcerze wspierają kombatanów, opiekują się miejscami pamięci

GŁÓWNE IMPREZY ORGANIZOWANE PRZEZ MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

1 sierpnia, piątek

godz. 17.00

Godzina „W” + Wytwórnia Pamięci

Miejsce: Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego
Spotkajmy się 1 sierpnia w Parku Wolności, by wspólnie przeżyć Godzinę „W” w 81. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Od godziny 15.00 zapraszamy do otwartego studia plenerowego, w którym m.in. wystuchamy Bohaterów, temu stanęli do walki o stolicę. O godzinie 17.00 przy dźwiękach syren uczymy ich pamięć. Wydarzenie transmitowane w mediach społecznościowych MPW.

godz. 17.00

Wolność łączy

Miejsce: punkty na terenie całej Warszawy
Akcja społeczna w miejscach pamięci Powstania Warszawskiego

godz. 20.30

Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki

Miejsce: plac Marszałka Józefa Piłsudskiego
Wspólne śpiewanie piosenek powstańczych z udziałem orkiestry i chóru pod kierownictwem Jana Stokłosy
Wydarzenie transmitowane w TVP1 i w mediach społecznościowych MPW

godz. 24.00

Premiera spektaklu „Co dla Pani/Pana znaczy być szczęśliwą/ym?”

Miejsce: Muzeum Powstania Warszawskiego
Twórczynie spektaklu – reżyserka Katarzyna Syngiera i dramaturg Weronika Murek – oddają głos tym, którzy przeżyli, ale nie chcą być definiowani wyłącznie jako „powstańcy”. To próba uchwycenia egzystencjalnych rozterek, poczucia sensu życia po doświadczeniu granicznym.
Na premierę wstęp za zaproszeniem; spektakle będą też grane w daniach 3–6 sierpnia o godz. 20.30
Szczegóły: bilety.1944.pl, eventim.pl, kasa MPW

3 sierpnia, niedziela

godz. 10.00–20.00

Labirynt '44. Ostatecznie spojrzenie

Rodzinną grę plenerową łączącą elementy zagadek edukacyjnych i escape roomu

Gra główna: Hala B, Miejskie Zakłady Autobusowe (MZA), ul. Włociańska 52

Szczegóły: labirynt44.1944.pl; rejestracja.1944.pl

3 sierpnia, niedziela

godz. 17.00

Powstańcza Masa Rowerowa

Start: Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego
Przejazd rowerami szlakiem Batalionu „Zaremba-Piorun”, który walczył w zachodniej części Śródmieścia Południowego. Podczas przejazdu ubrani w białe i czerwone koszulki utworzymy wielką, ruchomą biało-czerwoną flagę.
Szczegóły: rejestracja.1944.pl

4–6 sierpnia, poniedziałek–środa

godz. 9.30–16.00

Pisać piękniej

Autorskie warsztaty kaligrafii przedwojennej z Ewą Landowską
Miejsce: Biblioteka, Muzeum Powstania Warszawskiego
Szczegóły: bilety.1944.pl

5 sierpnia, wtorek

godz. 19.00

Marsz Pamięci

Start: Skwer Pamięci w rozwidleniu ul. Leszno i al. „Solidarności”

Uroczyste przejście w kierunku Cmentarza Powstańców Warszawy upamiętniające mieszkańców stolicy, którzy zginęli podczas powstania – w trakcie marszu będą czytane ich nazwiska. Marsz zakończy zapalenie zniczy na kurhanie przy pomniku Polegli Niepokonani i na wystawie „Zachowajmy ich w pamięci” poświęconej ofiarom cywilnym Powstania Warszawskiego ■

Rzecz o Historii

W KAŻDY PIĄTEK



Odkrywaj nieznane karty historii
Biografie ciekawsze niż w podręcznikach:
przywódcy, bohaterowie, zdrajcy.
Historia od podszewki: ukryte intencje,
tajne plany, konspiracyjne misje.

CZYTAJ WIĘCEJ NA rp.pl/rzeczohistorii

ROZMOWA

Nie ma *patriotyzmu* bez zaangażowania

Powstańcy byli wyjątkowymi bohaterami, ale nie tylko w czasach wojny. Oni byli aktywnymi obywatelami – mówi Jan Oldakowski, dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego.

MAREK KOZUBAL

Jak dzisiaj możemy opisywać dziedzictwo Powstania Warszawskiego?

Dzisiaj najważniejszym aspektem dziedzictwa jest dla nas pamięć, bo powstańców jest coraz mniej. Nieżyjący już generał Zbigniew Ścibor-Rylski wielokrotnie powtarzał na naszych spotkaniach, że rządzi nimi „generał czas”. Rządzi on rzeczywiście okrutną ręką i liczba żyjących powstańców z dnia na dzień maleje, dlatego pierwszą rzeczą, którą chcemy zrobić, jest przypomnienie, że pamięć musi być żywa, że jest ona obowiązkiem następnych pokoleń. O pamięci przypominamy w kampaniach informacyjnych związanych z 1 sierpnia. Hasła mają kilka wersji, brzmią tak: „Przekazuj pamięć, bo zniknie”, „Dziel się pamięcią”. Rozpoczęliśmy też projekt „Wytwórnia pamięci” – budujemy społeczne archiwum relacji z II wojny światowej z całej Polski.

Spuścizną Powstania Warszawskiego jest opór przeciwko totalitarnemu złu, walka o własne państwo, podmiotowość, o wolność człowieka. Wiele powstańców podkreślało, że okupacja i terror były straszne, że trudno było żyć w sytuacji, w której odbierano człowieczeństwo, a Polak był podczłowiekiem, nie miał praw, nie był obywatelem. Dziedzictwem powstania jest także to, że człowiek wolny lub pragnący wolności, podmiotowości, może odrzucić takie zło.

Czy nasza perspektywa może się zmieniać, gdy patrzymy na działania Rosji na terenie Ukrainy i popełnione tam zbrodnie wojenne? Powiedział pan w kontekście Powstania Warszawskiego – „opór”. Wojna na Ukrainie pokazuje, jaka jest jego cena.

W tej płaszczyźnie Powstanie Warszawskie jakby się uaktualniło. Każdy, kto patrzy na to, co dzieje się na Wschodzie, i widzi olbrzymią cenę, jaką płacą Ukraińcy za możliwość samostanowienia, rozumie, że były tylko dwie drogi. Pierwsza to poddanie się przemocy militarnej i poddanie się kraju, ale wtedy Rosjanie prawdopodobnie wymordowaliby wszystkich tych, którzy nie pasowali do ich wizji, którzy – ich zdaniem – ugruntowują „ukraiński faszyzm”, bo Rosjanie przecież „defaszyzują Ukrainę”. Wtedy mielibyśmy jakiś rodzaj półautonomicznej Ukrainy. Drugą drogą jest właśnie opór za wszelką cenę. Ukraina płaci potworną cenę, ale jest to nadal kraj, w którym można żyć.

Maciej Radziwiłł w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” określił rosyjską frazę propagandową „ukraiński nazizm” jako opisującą tych mieszkańców dawnego Związku Sowieckiego, którzy pasują do koncepcji Kremla lub żyją poza terenami Rosji, ale na ziemiach, które ich zdaniem są rosyjskie.

Putin sygnalizował wcześniej, co ma zamiar zrobić, zatem jego działania nie powinny zaskakiwać. Ukraiński patriotyzm, który odłącza Ukrainę od wspólnoty z Rosją, a więc także od dziedzictwa wielkiej wojny ojczyznianej przeciwko III Rzeszy, oraz próba zbliżenia się z Zachodem traktowane są jako zdrada słowiańszczyzny wymierzona w Rosję. Dla Putina mīt wojny ojczyznianej jest jednym ze spoiw narodu rosyjskiego, który uzasadnia napasć na Ukrainę.



MICHAŁ JACZAKOWSKI/MPW

Czy to oznacza, że my możemy się także czuć zagrożeni?

Gdy zakończy się wojna w Ukrainie – choć na razie nic na to nie wskazuje – Polska będzie jednym z głównych wrogów Rosji. Dzisiaj jesteśmy postrzegani przez Rosjan jako ci, którzy nie pomogli szybko im wygrać z Ukrainą. Na pewno będziemy poddani różnorodnej presji, wojnie hybrydowej – którą już widzimy na granicy – czy działaniom terrorystycznym.

I jak w tym kontekście postrzega pan spuściznę Powstania Warszawskiego?

Bardzo ważne było to, że powstańcy potrafili być razem. Wyjątkowość powstania polega m.in. na tym, że w trakcie walk jednocześnie wychodziło 170 tytułów prasowych. Dlaczego tyle? Taka była decyzja Krajowej Rady Ministrów, aby każde ugrupowanie polityczne od lewa do prawa, od

”
Dziedzictwem powstania jest to, że człowiek wolny lub pragnący wolności, podmiotowości, może odrzucić zło

anarchosyndykalistów po narodowców, z wyłączeniem komunistów internacjonalistów, miało równy dostęp do drukarni, farb i papieru. Chodziło o to, aby każda partia mogła zaprezentować swój program.

Tak naprawdę tworzono fundamenty społeczeństwa obywatelskiego.

Uważano, że Niemiec jest naszym wrogiem, że zbliżający się do Warszawy Stalin również jest wrogiem, a Polacy muszą być razem. W ten sposób starano się przepracować dyktaturę Piłsudskiego. Panowała opinia, że nowa Polska powinna być oparta na pewnym konsensusie, bo będzie państwem demokratycznym. Dlatego wszystko, co państwowe, powinno być publiczne, czyli demokratyczne. Przygotowywano mechanizmy, które miały odbudować wspólnotę. Chciałbym, aby – w związku z obecnymi zagrożeniami

– podobnej pracy na rzecz wspólnoty nauczyła się w trybie przyspieszonym współczesna Polska.

Muzeum Powstania Warszawskiego stara się promować pewne postawy, chociażby na wystawie „Najlepsi. Cichociemni. GROM”, czyli braterstwo i patriotyzm.

Pokazujemy cichociemnych m.in. przez przyzmat Jana Nowaka-Jeziorańskiego, który przed wojną zaczął robić doktorat z ekonomii na uniwersytecie w Poznaniu. Gdy przyszła wojna, uznał, że będzie walczył. Nie miał wielkich umiejętności, ale był odważny i zmotywowany. Miał poczucie, że należy pracować nad tym, żeby Polska była wolna. Został przeszkolony – dzisiaj powiedzielibyśmy, że był szpiegiem – mimo że do końca życia nie potrafił jeździć na rowerze. Ale swoich deficytów nie traktował jako wymówki, tylko starał się je obejść.

Cichociemni byli komandosami nie dlatego, że ich marzeniem było całe życie walczyć. To byli ludzie o dużym potencjale intelektualnym, którzy rozumieli, że aby budować mosty, uczyć ludzi w wolnej Polsce, najpierw trzeba ją wywalczyć. Dołączyliśmy do wystawy o cichociemnych GROM, bo chcemy pokazać jednostkę wojskową, która wkłada wiele pracy w upamiętnianie cichociemnych – warto wiedzieć, że żołnierze GROM-u mają kontakt z rodzinami legendarnych spadochroniarzy AK, opiekują się nimi. Od momentu, gdy umarł ostatni cichociemny, GROM-owcy opiekują się pamięcią o tej elitarnej grupie. Pokazują, że są w jednym szeregu z pokoleniem cichociemnych. Razem z GROM-owcami na prośbę Stefana Bałuka „Starby” postawiliśmy przy Sejmie pomnik poświęcony cichociemnym AK, którzy oddali skok w Polsce.

Wspominał pan o projekcie „Wytwórnia Pamięci”. 1 sierpnia będziemy mogli wysłuchać relacji bohaterów walk o stolicę. Jaki będzie towarzyszył jej przekaz skierowany do młodych, do harcerzy?

Harcerzom, którzy z okazji obchodów 81. rocznicy powstania mają w Warszawie swój zlot, staramy się pokazać wagę tego pomysłu na patriotyzm, na polskość, na pokolenie Armii Krajowej. Zawsze im mówimy, że powstańcy byli wyjątkowymi bohaterami, ale nie tylko w czasach wojny. Oni, tak jak „Anoda” czy Władysław Bartoszewski, byli aktywnymi obywatelami.

Kiedyś zapytałem pułkownika Piotra Gąstała, byłego dowódcę GROM-u, ile razy

trzeba się podciągnąć na drążku w czasie testu sprawnościowego podczas selekcji do tej jednostki. Odpowiedział: „Wszystkie razy” i się uśmiechnął. Po jakimś czasie dotarło do mnie, że pewnie ktoś, kto zrobił nieco mniej niż „wszystkie”, też może zostać przyjęty, bo walczył ze swoimi przeciwnościami, słabościami, które potrafił pokonać.

Trzeba wykonać zadanie, misję...

Wykonywać zadanie z całego serca. Tak mówili też powstańcy: jeśli ci się nie udało, to znaczy, że źle próbowałeś. Inni dodawali, że porażki są niegroźne, jeżeli jako Polacy jesteśmy razem, jeżeli mamy wspólnotę i świadomość, że walczymy w słusznej sprawie. Dlatego bardzo trudno było im żyć w Polsce, która osuwała się w konflikt dwóch patriotyzmów, dwóch postaw. Uważali, że to jest niepotrzebna aberracja, że to jest niedobre dla Polski, szczególnie gdy naddciągają jakieś zagrożenia.

Młodym powtarzamy, że ważne jest bycie razem i zaangażowanie, bo patriotyzm to zaangażowanie. Namawiamy ich także do włączania się w przekazywanie pamięci, bo ona musi być ciągle żywa. Pamięć żyje, gdy jest przekazywana.

Powiedział pan o projekcie „Wytwórnia pamięci”, czyli rejestrowaniu wspomnień z wykorzystaniem specjalnej aplikacji. Dzisiaj podobne działania są prowadzone na Ukrainie, tyle że ich celem jest dokumentowanie zbrodni rosyjskich.

To jest straszne, że trzeba dokumentować zbrodnie, ale z drugiej strony bez tego nie można liczyć na ukaranie, choćby symboliczne, sprawców. Jednym z błędów PRL-u było to, że chociaż zaraz po wojnie wydano dwa tomy wspomnień, to nie dokumentowano zbrodni niemieckich i w zasadzie żaden ze sprawców nie został ukarany. Konsekwencją jest to, że obecnie możemy wskazać tylko ok. 50 tysięcy nazwisk ofiar, tymczasem w okresie powstania zginęło 120–160 tysięcy osób. To oznacza, że 60 proc. pozostaje bezimiennych. Po wojnie nie zrobiono tego, co dzisiaj robią Ukraińcy, czyli dokumentowania zbrodni zaraz po tym, co się wydarzyło – kiedy żyją świadkowie, którzy mogą zidentyfikować ofiary, są w stanie opisać okoliczności ich śmierci. Dzięki dokumentacji zbrodni w Ukrainie nie zostanie przemilczana.

ROZMOWA

Sensy Powstania Warszawskiego

– Wyobraźmy sobie opowieść o kataklizmie Powstania Warszawskiego jako historię niszczącego trzęsienia ziemi. Mówimy o katastrofie, która dotknęła miasto, była próbą charakterów. To, co nas niszczy, może nas równocześnie budować – przekonuje **Marcin Napiórkowski**, p.o. dyrektora Muzeum Historii Polski.



FILIP NAUMENKO / REPORTER

”

Może gdybyśmy tę ciszę sprzed 81 lat usłyszeli, powstrzymałaby nas ona przed rzucaniem się sobie nawzajem do gardeł?

PIOTR ZAREMBA

Panie dyrektorze, czy pan jest warszawiakiem?

Jedna strona mojej rodziny ma warszawską historię.

To tak jak moja. Ma pan osobisty stosunek do sporu o to, czy Powstanie Warszawskie powinno wybuchnąć? Eksploduje ten spór co roku w okolicach pierwszego sierpnia.

Nie jestem historykiem wojskowości. Pytanie o sens Powstania Warszawskiego rozumiem inaczej niż słynne: „Bić się czy nie bić”. Zawsze interesowało mnie raczej, jakie sensy wygenerowały Powstanie Warszawskie – i jakie sensy zostały wygenerowane przez nie. W oczach semiotyka kultury powstanie jest dziełem wyobraźni romantycznej, tyrtejskiej. Ale też następstwem ciśnienia bezprecedensowych cierpień zadawanych Polakom, warszawiakom, przez niemieckiego okupanta. Zarazem jest rzeczą niesamowitą, jak wiele sensów to powstanie tworzy już od 81 lat.

Poza aspektem wojskowym jest aspekt polityczny. On dotyczy całej akcji „Burza”. Czy należało próbować przejmować Polskę, kiedy nadchodziła Armia Czerwona? Ludzie zainteresowani historią miewają na ten temat zdanie.

Jeśli po latach patrzymy na tę decyzję z punktu widzenia jakiegoś doskonałego kantowskiego czy heglowskiego rozumu, to widzimy wyraźnie, że powstanie nie mogło się udać. W interesie Sowietów było zatrzymanie linii frontu i zaczekanie, aż Warszawa się wykrwawi. Ale takie myślenie kryje w sobie dwa uproszczenia. Po pierwsze zakłada, że ci, którzy podejmowali decyzje, dysponowali kompletem informacji. Po drugie, że te decyzje były podejmowane przez podmioty idealnie racjonalnie. Tymczasem do Powstania Warszawskiego ruszyli ludzie, którzy przez poprzednie pięć lat doznawali terroru, poniżenia, groźby eksterminacji. Nieuwzględnianie dziś tego jest nieludzkie.



TADUSZ KUBIAK / EAST NEWS

2 sierpnia 1982 r. Kolejka do wejścia na wystawę „63 dni Powstania Warszawskiego” w stołecznych zakładach Norblina

Mówi pan o sensach, które powstanie generowało po 1944 r. Rozmawiam z dyrektorem Muzeum Historii Polski, ale też autorem książki „Powstanie umarłych: historia pamięci 1944–2014”. Jakże to sensy?

Dla syntetycznego ujęcia można by historię pamięci o powstaniu podzielić na mniej więcej dwudziestoletnie okresy. Pierwszy to czas między rokiem 1944 a 1964. To okres bardzo żywej pamięci, przeżywania żałoby, budowy pomnika „Gloria Victis” na drugą rocznicę powstania – piękne święto pamięci. Władze były przekonane, że będzie to tylko pomnik nagrobny. Grupa kierowana przez Jana Mazurkiewicza „Radosława” szykowała go metodą partyzancką. Zarazem mamy, szczególnie w czasach rozwiniętego stalinizmu, próbę całkowitego wymazania powstania. Znajdujemy w archiwach IPN przerażające historie, jak ludzi ścigano, zamykano, torturowano za samo kultywowanie pamięci. Najbardziej charakterystyczną jest tu historia „Anody”. Po 1956 r. ta pamięć nieco odżywa, porośnięte chwastami groby można odnowić i znów odwiedzać, nie narażając się na najwyższe ryzyko.

Co się zmienia w kolejnym okresie? Jak rozumiem, to mniej więcej lata 1964–1984.

Następuje proces „ZBOWiD-yzacji” pamięci, zapisywania niektórych weteranów powstania do oficjalnej organizacji kombatanckiej. Władza komunistyczna próbuje pamięć przejąć i zawłaszczyć, wpisać w oś „Cedynia-Grunwald-Lenino”. Oddaje się hołd „bohaterskiemu ludowi Warszawy”, ale mówi się, że został on poprowadzony na rzeź przez nieodpowiedzialnych przywódców. Zarazem pojawia się coraz silniejsza kontrapamięć. Pierwszy sierpnia staje się jedną z ważnych dat w opozycyjnym kalendarzu pamięci. Czas po wybuchu rewolucji Solidarności przynosi w tym względzie potężny boom. Zdarza się tak, że na Powązkach oficjalne delegacje zostają wręcz wyparte przez tłum.



ANNA B. BOHDZIEWICZ / REPORTER

31 lipca 2004 r. Prezydent Warszawy Lech Kaczyński przy dzwonie „Monter” podczas otwarcia Muzeum Powstania Warszawskiego

I docieramy do kolejnej epoki.

W latach 90. dochodzi do czegoś dziwnego. Powstanie zostaje może nie wypchnięte, ale bywa pomijane. W okragłą 50. rocznicę powstania w roku 1994 nie dzieje się w zasadzie nic spektakularnego.

Liberal Paweł Piskorski zawsze tego żałował. Jego zdaniem oddano tę pamięć prawicy.

Z jednej strony weterani powstania byli już w słusznym wieku, nie

uczestniczyli we władzy. A zarazem transformacja ustrojowa przesuwiała zainteresowanie z przeszłości w przyszłość. Myśli się o biznesie. Ale przychodzi rok 2004 i w historii pamięci o powstaniu zaczyna się nowa epoka. Otwarte zostaje Muzeum Powstania Warszawskiego. Lech Kaczyński wygłasza przemówienie założycielskie dla nowego paradygmatu. Mówi, że musimy sobie zadać ważne pytanie: dlaczego otwieramy to muzeum



1 sierpnia 2019 r. Godzina „W” – tysiące ludzi w centrum Warszawy

w 60., a nie w 50. rocznicę? I odpowiada: bo były i są siły, którym zależy na tym, żeby Polacy byli odcięci od pamięci. To był skądinąd ostatni moment na przekazanie żywej tradycji – po 60 latach weterani powstania odchodzili bardzo szybko. A jednak udało się. Powstanie Warszawskie stało się kluczowym węzłem pamięci i tożsamości. Ma to mnóstwo pozytywnych aspektów.

Jakich?

Choćby takich, że Polacy zaczęli się definiować poprzez kulturę pamięci, wcześniej przytłumioną przez obsesję przyszłości. Zyskaliśmy drugie płuco, by wreszcie odetchnąć pełną piersią. Przy tym powstanie zaskakująco dobrze wpisało się w kapitalizm. Stało się swego rodzaju marką. To jest ruch do pewnego stopnia kierowany z „centrali”, z Muzeum Powstania Warszawskiego, ale temu zjawisku nie można odmówić spontaniczności. Towarzyszy mu też ożywienie pamięci międzygeneracyjnej. Mówi się młodzieży: patrzcie, powstańcy byli tacy jak wy, tylko 60 lat temu. Powstanie opowiadano młodym przez muzykę, przez komiks, przez graffiti. My w Muzeum Historii Polski też z tamtych lekcji korzystamy.

Nie widzi pan w tym niczego niepokojącego?

Tamten zryw pamięciowy ma i ciemniejszą stronę. Już w mowie Lecha Kaczyńskiego pobrzmiwała taka nuta, że pamiętamy zawsze przeciw komuś. W tym kryje się ryzyko, które – paradoksalnie – zwraca się z czasem przeciw pamięci powstania. Z analizy ruchu internetowego wynika, że ono jest w ostatnich latach coraz bardziej kanibalizowane przez topos powojennego podziemia niepodległościowego, tak zwanych żołnierzy wyklętych. Część z nas szuka czegoś, co było jeszcze bardziej nieupamiętnione i jeszcze bardziej w opozycji do głównego nurtu.

Powstaje pytanie, co zrobić, aby kultura pamięci była bardziej jednocząca, a mniej polaryzująca.

A jaka odpowiedź?

Nie mam dobrej odpowiedzi. Na pewno wieloletnie bucenie na Powązkach w rocznicę Powstania Warszawskiego to sygnał, że jest jakaś praca do wykonania. Ale może rok 2024 otwiera kolejny okres? Nasza ciekawość pozostaje nienasycona, pamięć o powstaniu się poszerza, obejmując kolejne grupy: kobiety, cywilów, drugie, trzecie pokolenie...

Jeśli spróbowałby pan scalić te okresy w jedną całość, to jak da się opisać rolę powstania w tożsamości Polaków? W Warszawie ono jednak do pewnego stopnia jednoczy. Choćby ludzi różnych przekonań, którzy zbierają się na placu Piłsudskiego, aby śpiewać powstańcze piosenki. Ba, ludzi, którzy wstają bez żadnych wyjątków w kawiarniach, kiedy brzmi syrena na pierwszego sierpnia.

Tak, wierzę, że powstanie jednoczy. Pomimo sporów o jego sens. Potrzebujemy wspólnych przestrzeni.

Ale część lewicy odrzuca powstanie, bo jej się wydaje, że to jest źródło tromtadracji patriotycznej prawicy. A z kolei wielu pravicowców też się włączyło w podważanie sensu powstania, bo im się zdaje, że historia Polski powinna być mniej martyrologiczna, nienacechowana kultem klęski. Że powinno się szukać dróg „realistycznych”. Stąd fenomen historycznej publicystyki Piotra Zychowicza czy Rafała Ziemkiewicza.

Powstanie Warszawskie jest zbyt silnie ugruntowane, żeby je podważyć. Możemy potrzebować czegoś „obok”, ale nie „zamiast”. Mnie również bliska jest myśl o potrzebie pozytywizmu – obok toposu romantycznego. Poezja tak, ale i kompromis. Ostatnio rozmawiałem sporo z ludźmi Solidarności. I na przykład Bogdan Borusewicz mówił, że dla nich Powstanie Warszawskie było w roku 1980 kluczowym punktem odniesienia. Ale negatywnym! W tym sensie, że

musieli zrobić wszystko, aby nie doszło do rozlewu krwi. Stąd tak wielki nacisk na rozmowy ze znienawidzoną władzą.

Ale zarazem zachowało się wiele świadectw, że dla zbuntowanych robotników powstańcy, wtedy jeszcze nie tacy starzy, stali się autorytetami. Że czerpali z ich odwagi.

To prawda. Od roku 1944 do roku 1980 minęło przecież znacznie mniej czasu, niż od 1980 do dziś! Wspominając swoją edukację, wielu powstańców nawiązywało do słynnych wersów z Horacego: „Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę”. Dziś pewnie lepiej by brzmiało: nic w tym nie ma słodkiego, ale jeśli będzie potrzeba, zostaną i będę walczył.

To nabiera nowego znaczenia wobec obecnej sytuacji, zwłaszcza zagrożeń wojennych. Może warto propagować dzielność.

”
Wierzę, że Powstanie Warszawskie jednoczy. Pomimo sporów o jego sens. Potrzebujemy wspólnych przestrzeni

Na łamach prasy debata o tym toczyła się już w latach 40. Autorzy – między innymi Jan Kott, Stefan Kisielewski czy Gustaw Herling-Grudziński – nie mogąc pisać wprost o Powstaniu Warszawskim, ukryli swą polemikę pod maską krytycznoliterackiej analizy „etyki obowiązku” Josepha Conrada.

Jaki jest pomysł na skonsumowanie tego tematu w Muzeum Historii Polski? Pokażecie sam spór o sens powstania?

Tuż obok mamy Muzeum Wojska Polskiego, istnieje w Warszawie Muzeum Powstania Warszawskiego. Ono opowiada tę historię. My opowiadamy oczywiście i o wojennym ruchu oporu, i o powojennym podziemiu niepodległościowym w cieniu sławnego pomnika „czterech śpiących”. Ale nie jest naszą rolą rozstrzyganie dylematów dotyczących wojennej strategii. To zadanie bardziej dla naukowców i publicystów niż dla muzealników.

Zawsze interesował się pan rolą popkultury w utrwalaniu różnych form pamięci. Kiedy zainteresowanie powstaniem sięgnęło po 2004 r. apogeum, sięgnięto po nie także jako po temat artystyczny. Tylko co z tego wynikło? Film „Miasto 44” Jana Komasy był krytykowany, także przez niektórych powstańców, jako zbyt dołujący, pozbawiający widza nadziei. Pojawia się pytanie, czy to w ogóle miało sens. Z drugiej strony, jak pokazać to zdarzenie bez tragicznego finału?

Reakcje na „Kanał” Wajdy w 1957 r. były podobne. Niektórzy widzowie wychodzili z kina, trzaskając drzwiami. I to nie komunistyczny aktyw, a powstańcy. To powraca. „Pamiętnik z powstania warszawskiego” Mirona Białoszewskiego też był odsądzany od czci i wiary.

Białoszewski nie chciał iść do powstania, to trochę inny przypadek. Ale „Kanał” to opowiadanie Jerzego Stefana Stawińskiego, w powstaniu dowódcy kompanii. Ostatnio słuchowisko Michała Zdunika według tego tekstu zostało nagrodzone na festiwalu Dwa Teatry. Jest wstrząsające, ale też budzi wątplenie. Pojawia się tam też wątek reakcji ludności cywilnej. Cywile najpierw popadli w euforię, ale potem mieli gorzkie pretensje do powstańców: zniszczyliście Warszawę. Jak to pokazujemy, odgrzewamy stare spory o sens.

Ale spróbujmy choć na chwilę zostawić owo „bić się czy nie bić”. Wyobraźmy sobie opowieść o kataklizmie powstania jako historię niszczącego trzęsienia ziemi. Mówimy o katastrofie, która dotknęła miasto, była próbą charakterów. To, co nas niszczy, może nas równocześnie budować. To nie przekreśla sporu politycznego.

Ale to nie było trzęsienie ziemi. Podobno, choć mojej rodziny to akurat nie dotyczyło, niektórzy cywile długie lata po wojnie kulturowali swoje pretensje do powstania. Tyle, że to nie przeferwało.

I nie było to tylko dziełem komunistycznej propagandy. Moje spojrzenie jest może specyficzne, bo badawczo zajmowałem się Warszawą zaraz po powstaniu. A ona naprawdę kojarzyła się z piekłem Dantego. Głównym wyzwaniem było pochowanie setek tysięcy ofiar. Film dokumentalny „Miasto ruin” robi wrażenie, ale jednego w nim nie ma: trupów pod gruzami, odoru rozkładających się ciał. Ludzie błądzący w ruinach natykali się na porozrywane ciała, na kończyny. Kiedy po 17 stycznia 1945 r. mieszkańcy wrócili na Wolę, znajdowali drobne przedmioty w czarnych, tłustych hałdach. Chcieli je rozgrzebać, myśleli, że pod nimi są ciała. Dopiero ludzie z Czerwonego Krzyża im powiedzieli: nie szukajcie dalej, to są ciała. Mamy potem tę niesamowitą scenę zbiorowego pogrzebu, na który przysłała cała Warszawa. Ciężarówki przywoziły osiem i pół tony ludzkich prochów. Ludzie nie mogli się dopchnąć do mogiły, więc rzucali z daleka kwiaty. Żałobny deszcz pamięci. Wszystko w milczeniu. Nikt nie odważył się zakłócić tej ciszy przemówieniem. Rozumiem, że moje porównanie do trzęsienia ziemi nie oddaje istoty zdarzeń. Ale z punktu widzenia tych ludzi naprawdę mamy do czynienia z apokalipsą, z czymś ostatecznym. Wierzę, że warto się wsłuchać w głębię tych zdarzeń.

Ale do czego ta głębia ma nas prowadzić?

Może ta pamięć nie ma nas dokąds prowadzić? Może, przeciwnie, to jest kotwica, która nas powstrzymuje, żeby nie odlecieć? Może gdybyśmy tę ciszę sprzed 81 lat usłyszeli, to ona by nas powstrzymała przed rzucaniem się sobie nawzajem do gardeł? Może dzięki tej pamięci staniemy się lepszymi ludźmi? /©©

NA LINII WALK

Kapelusz w błocie

Musialiśmy przeprosić się ze spodniami, bo dalsza egzystencja była niemożliwa. Było zimno w nogi na dyżurach w nocy, a gdy trzeba było się czołgać po nierównym terenie, gołe kolana tego nie wytrzymały.

IZABELLA HORODECKA

Duszny, pochmurny 1 sierpnia 1944 r. Zdawał się bardziej spokojny niż wszystkie poprzednie. Rano, w punkcie kontaktowym, mieszczącym się w sklepie papeteryjnym pani Haliny Zawadzkiej przy Świętokrzyskiej, otrzymałam od łączniczki dowództwa, jak zwykle, paczkę. Zaniósłam ją do swojego dowódcy na ulicę Solec. W paczce nie

było nic ciekawego, więc dowódca zwolnił mnie na resztę dnia i polecił zjawić się dopiero nazajutrz rano z pocztą. Czułam się jednak zobowiązana być na punkcie kontaktowym o godzinie 16.00, by zwolnić łączniczkę wyższego dowództwa, z którą byłam umówiona. Miała tam na mnie czekać jak co dzień.

Mając więc kilka godzin, postanowiłam odwiedzić rodzinę na Saskiej Kępie i zobaczyć, co

dzieje się w opuszczonym przeze mnie mieszkaniu. W domu było wszystko w porządku. Wolno przeszłam przez most Poniatowskiego i zmęczona upałem zjawiłam się o 16.00 na Świętokrzyskiej. Już z daleka zobaczyłam, że do sklepu, który w tym momencie był właśnie zamykany, podjeżdża na rowerze porucznik „Porawa” [Stefan Matuszczyk] z twarzą poważną i ściągniętą. Od razu wiedziałam, że stało się

coś ważnego. Kazał otworzyć sklep. Gdy tylko weszliśmy, krótko powiedział: „Stało się. «Prawy» [Józef Budzyński] już się bije, musisz zawiadomić swoje panie i doktorów”. Mieliśmy teraz już trzech lekarzy: „Wilka” [Stanisława Trawińskiego], „Bujnego” [Wacława Jastrzębskiego] i „Andrzeja” – Józefa Kubiaka. „Bądźcie wszyscy o godzinie 17.00 na Cmentarzu Ewangelickim na Woli”.



2 sierpnia 1944 r. Zbiórka kompanii „Zemsta” batalionu „Pięść” na terenie ogrodu Domu Starców przy ulicy Karolkowej 77. Por. Stefan Matuszczyk „Porawa” składa meldunek dowódcy batalionu mjr. Alfonsowi Kotowskiemu „Okoniowi”. W głębi powstańcy z III plutonu i kobiecy patrol sanitarny kompanii, od lewej: Zofia Rusecka, Danuta Hibner i Izabella Horodecka



2 sierpnia 1944 r. Ppor. Kazimierz Barszczewicz „Henryk” i por. „Ryś” (z lewej) z kompanii „Zemsta” batalionu „Pięść” niosą trumnę poległego ppor. Tadeusza Towarnickiego „Naprawy”. W głębi z lewej ppor. Jan Kowalczyk „Kiet”, z lornetką po prawej ppor. Eugeniusz Kuźwa „Hipek”, dowódca 169 plutonu batalionu „Kiliński”

STEFAN BALUK / ZE ZBIORÓW MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

STEFAN BALUK / ZE ZBIORÓW MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

„Bujny” wziął na siebie sprawę zawiadomienia doktorów, ja – moich kolegów. Na ulicy było jeszcze spokojnie. Najpierw pobiegłam do „Hanki” [Hanny Gołaszewskiej] na Złotą, tuż obok mojego obecnego miejsca zamieszkania. „Hanki” w domu jeszcze nie było, miała zaraz przyjść. Powiedziałam jej matce, o co chodzi. Pobiegłam do domu, aby przebrać się i wziąć lewe dokumenty, z którymi zawsze chodziłam na „roboty”. Za chwilę byłam z powrotem u „Hanki”. Była już przygotowana do wymarszu. Powiadomiłam ją dokładnie o wszystkim. Pobiegłam do „Miry” [Władysławy Nowakiewicz] na Wspólną, ale utknęłam zaraz na rogu Złotej i Wielkiej w strasznej strzelaninie. Posuwałam się dalej. Było coraz goręcej i zdałam sobie sprawę, że nic z tego nie będzie, a czas naglił.

Wróciłam do „Hanki” – jeszcze ją zastałam. Poprosiłam jej matkę o zawiadomienie „Miry”, jak tylko „strzelanina ustanie”, i sama z „Hanką” wyruszyłam na Wolę, zamierzając po drodze wstąpić po „Ninę” [Danutę Hibner] mieszkającą na Wroniej. Biegłam z „Hanką”, jak tylko można najprędzej opustoszałymi ulicami Warszawy, co raz to przypadając do murów, to wpadając do bram. Strzelanina była wszędzie. Ludzie, których spotykaliśmy w bramach, dziwili się, dokąd idziemy w takim czasie. Nie domyślali się celu naszej wyprawy.

Dobrnęliśmy wreszcie do „Niny”. Czekala na nas. Od razu, bez pożegnania nawet z rodzicami, wybiegła z nami na ulicę. Nie było nawet mowy o przejściu na Żytnią. Wróciliśmy więc do Leszna i Lesznem z trudem posuwałyśmy się w stronę placu Kercelego. Tu o przejściu ulicą Okopową nie było też mowy. Pełno było niemieckich aut strzelających w głąb Okopowej, do wszystkich ukazujących się na placu Kercelego. Musiałyśmy więc dłuższy czas przeczekać w bramie.

Wreszcie auta odjechały. Skorzystałyśmy z tego momentu i dwoma susami przesadziłyśmy Okopową. Tutaj, po trzeszczących pod nogami zbitych szybach, dostałyśmy się do Karolkowej. Skręciwszy w nią, zobaczyłyśmy barykadę. Zaczęłyśmy wołać do ludzi na barykadzie i pytać, czy można przejść. Powiedzieli, że tak, ale przestrzegli, że Żytnią idzie silny ostrzał i tę ulicę należy przeskoczyć jednym susem. Zrobiłam to pierwsza, przypadając do ziemi po drugiej stronie barykady. Wtedy dopiero spostrzegłam, że ludzie ci mają na rękawach opaski biało-czerwone – byliśmy wśród swoich!

Wkrótce na Cmentarzu Ewangelickim odnalazłyśmy swoich chłopców, ale nie wszystkich. Brak było dowódcy „Porawy” i całego plutonu podporucznika „Prawego”. Nie było doktorów ani reszty moich pań, nie licząc już kilku chłopców, których nie zdołano zawiadomić. Wzruszył mnie widok „Naprawy” [Tadeusza Towarnickiego], który z błyszczącymi oczami, w kompletnym polskim wojskowym mundurze salutował na powitanie słowami: „W pierwszym dniu wolności”.

W ogóle nastrój był bardzo podniosły. Wszyscy byli podnieceni. Trudno było ich ujarzmić i opanować. Chłopcy byli szczęśliwi, rozentuzjasmowani i witali nas serdecznie. Nareszcie pozwolono im na otwartą walkę ze zniechęconym wrogiem. Wkrótce po naszym dołączeniu „Marno” [Stefan Rogowiec] zdobył ze swoim patroliem niemiecki samochód załadowany szarymi chusteczkami do nosa. Ubrał wszystkich swoich chłopców w te chusteczki, zawiązując je na szyi, a następnie meldował się z nimi swojemu bezpośredniemu dowódcy, którym był „Andrzejewski” [Andrzej Zawadzki].

Wkrótce podchorąży „Naprawa” zorganizował oddziałek z dziesięciu ludzi, na czele których poszedł zdobywać czy też unieszkodliwiać bardzo nam przeszkadzający niemiecki karabin maszynowy. Krzyczał na chłopaków, bo za dużo ruszyło za nim na tę wyprawę. Chwilę potem „Naprawa” już nie żył. Była to pierwsza śmierć w naszym oddziale. Zrobiła duże wrażenie, ale ducha bojowego nie złamała, wręcz przeciwnie, wzmogła zaciętość.

W nocy z 1 na 2 sierpnia otrzymaliśmy rozkaz obsadzenia muru Cmentarza Ewangelickiego od strony Cmentarza Żydowskiego. Po dusznym dniu, w nocy zaczęło padać i zrobiło się zimno. Musieliśmy się schować pod zdobytą na Niemcach plandeką zarzuconą na jakiś pomnik. Chłopcy pełnili służbę całą noc na deszczu. Zmoknięci i zmarznięci przychodzili ogrzać się pod plandekę.

Okoliczna ludność częstowała nas w nocy gorącą zupą, ugotowaną naprędce dla powstańców. Gdy zaczęło świtać, zostaliśmy zluwowani z posterunku. Udaliśmy się do małego

domku na terenie cmentarza, gdzie chłopcy przynieśli swoje prowianty, zgromadzone w czasie koncentracji na ulicy Okopowej. Przystałam do ich rozdzielania. Wkrótce dano nam znać, że nadszedł i dołączył do nas nasz dowódca porucznik „Porawa” wraz z podporucznikiem „Prawym” i jego licznym plutonem, który przedzierając się do nas na Cmentarz Ewangelicki stoczył już kilka potyczek z Niemcami i stracił kilku ludzi. (...)

Dowódca przywitał nas serdecznie. W swoim przemówieniu poinformował nas, że nasz oddział o dotychczasowym kryptonimie „993/W” będzie się od dziś nazywał kompania „Zemsta”. Naszym celem będzie pomszczenie strat zadanych naszej kompanii przez Niemców w pierwszym dniu powstania. Następnie odmaszerowaliśmy na posesję Domu Starców i otrzymaliśmy kwatery w szkole przy Karolkowej. Nie dano nam tam długo odpoczywać, bo czołg niemiecki zajechał od strony Żytniej i musieliśmy otworzyć do niego ogień. Po odparciu tego ataku odbył się pogrzeb podchorążego „Naprawy” – bardzo uroczysty, ale na samo miejsce wiecznego spoczynku odniosło go na ramionach tylko kilku kolegów. Został pochowany na terenie cmentarza kalwińskiego. (...)

Zostałyśmy sanitariuszkami bojowymi i przydzielono nas do poszczególnych plutonów. Zostałam przydzielona do plutonu pierwszego,

nowili na miejscu się przebrać. „Dan” [Walerian Różalski] z nonszalancją zrzucił w błoto swój elegancki granatowy [kapelusz] hückel. Uważał, że nie będzie mu już potrzebny. Po powrocie cały nasz oddział wystroił się pięknie i stanął w dwus szeregu dla zaprezentowania się dowódcy. My, kobiety, nie chciałyśmy włożyć spodni, uważając, (...) że to byłoby niepotrzebne malpowanie chłopców. Pozostałyśmy w spódniczkach, wkładając tylko przepisowe bluzy i czapeczki, ale za dni kilka musiałyśmy przeprosić się ze spodniami, bo dalsza egzystencja była niemożliwa. Było zimno w nogi na dyżurach w nocy, a gdy trzeba było się czołgać po nierównym terenie, gołe kolana tego nie wytrzymywały.

Piątego dnia powstania wzięto nas do galopu. Niemcy zaczęli dociskać od strony Woli i trzeba było pomóc zmęczonemu chłopcom z „Parasola”. „Andrzejewski” ze swoimi chłopcami poszedł na ulicę Młynarską za Wolską. Pluton podporucznika „Prawego” skierowany został za Cmentarz Ewangelicki w kierunku Koła. „Nina” i ja byłyśmy na razie na cmentarzu przy majorze „Okoni” [Alfonsie Kotowskim], ale za chwilę musiałyśmy wyruszyć za oddziałem i nieść pomoc rannym. Było ich wielu, choć nie z naszego oddziału. Wtedy właśnie przekonaliśmy się o konieczności ubrania się w spodnie. Musiałyśmy czołgać się w jakichś rowach pełnych pobitego szkła. W tym momencie osłaniał nas

[10 sierpnia] nasz dowódca postanowił iść na Okopową i wesprzeć pluton „Andrzejewskiego”. Trzeba było przejść getto. Przeskakując



STEFAN BALUK / ZE ZBIORÓW MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

2 sierpnia 1944 r.
Dowódca batalionu „Pięść” mjr Alfons Kotowski „Okon” demonstruje zdobytą flagę ze swastyką na terenie Cmentarza Ewangelicko-Augsburskiego. Po lewej przy samochodzie z ręką na białym stoi kpr. Seweryn Brwiliński „Adam”

pod dowództwo podporucznika „Prawego”. Ciekawa rzecz, że pierwszy opatrunek zrobiłam wrogowi – żołnierzowi niemieckiemu, którego przyniesiono na punkt postoju oddziału.

W drugim dniu powstania zjawiała się u nas przystojna dziewczyna z plecakiem, w oficerkach. Miała przydział jako sanitariuszka (zaliczyła jeden rok medycyny) do jednostki na Burakowie. Tam nie mogła się dostać ze względu na silne walki. Dowódca namówił ją, aby została z nami i tak się stało. (...)

W tym samym dniu część naszego oddziału z „Andrzejewskim” na czele została wyznaczona do przyniesienia jednakowych mundurów dla całej naszej kompanii ze składów niemieckich, zdobytych przez nasze wojsko na ulicy Stawki. Wyruszyliśmy więc przez Cmentarz Żydowski do Cmentarza Powązkowskiego i tam tyralierką, ostrożnie, bo nie znaleźliśmy sytuacji i nie wiedziliśmy, w czyich rękach jest Cmentarz Powązkowski, posuwaliśmy się dalej. Dopiero przy kościele na Powązkowskiej zobaczyliśmy ludzi. Okazali się Polakami. Dalej już śmiało, ale ostrożnie z powodu dużego ostrzału, doszliśmy do Stawki.

W niemieckich składach naładowaliśmy tyle ubrań, ile było potrzeba i ruszyliśmy trochę inną drogą z powrotem do kompanii. Nie zapomnę nigdy, jak na Stawkach dla ułatwienia sobie dzwigania dużej ilości garderoby, chłopcy posta-

sali sam dowódca „Porawa” karabinem maszynowym ustawionym na pobliskim placu.

Pierwszego rannego spostrzegłam w głębokim leju po bombie czy też pocisku artyleryjskim. Miał przestrzelone ramię. Stoczyłam się do niego po pochyłości leja. W bardzo niewygodnej pozycji zatawowałam krew i założyłam opatrunek. Klęczałam przy tym na jednym kolanie, drugą nogą podpierałam się o dno leja, w którym była woda. Noga moja pogrążyła się coraz bardziej i gdy skończyłam opatrunek, wodę już miałam powyżej kolana.

Robiąc ten opatrunek, słyszałam znad leja, poprzez strzelaninę, jęk i wołanie o pomoc drugiego rannego. Chciałam do niego zaraz iść, ale podporucznik „Prawy”, schowany w pobliżu za jakimś załomem muru, powiedział stanowczo: „Wykluczone, silny ostrzał idzie dołem ulicy”. Nie mogłam się pogodzić z myślą, że ktoś koło mnie wzywa pomocy, a ja, będąc blisko, muszę pozostać na to wołanie głucha.

Wyczołgałam się z leja na drugą stronę ulicy w jakieś krzaki i znalazłam się w tej samej linii, co ranny wzywający pomocy. Zamieniłam z nim kilka słów. Był to młody chłopak, goniec posłany do dowództwa z meldun-

ulicę Dzielną na rogu Stawek, nasz oddział został ostrzelany z działu pociągu pancernego z Dworca Gdańskiego i licznie poraniony. Ja również zostałam ranna dwoma odłamkami w udo. Ranni byli ze mną „Błękitny” – Szczepan Dworzyński, „Jamar” [Jan Sobczak] (drugi raz w nogi, pierwszy raz był ranny w dniu wybuchu powstania) i jeszcze kilku innych. Musieliśmy się cofnąć do szkoły na Stawki, aby popatrywać rannych. Było ich sporo – ale całe szczęście – wszyscy stosunkowo lekko. Kilku trzeba było jednak odesłać do szpitala. Pozostałam przy oddziale i wydawało mi się, że to nie będzie nic poważnego. Porucznik „Agaton” – Stanisław Jankowski – ze współczuciem zapytał, jak się czuję. Odpowiedziałam: „Zranienie drobne, ale się martwię, że bliźna będzie widoczna z kostiumu kąpielowego.” Na to on wykrzyknął: „Kobieto! Tu nie wiadomo, czy z życiem wyjdziemy z tej całej sytuacji, a ona myśli już o kostiumie kąpielowym?!”

/©©



Izabella Horodecka
KONSPIRATORKA
Z ULICY WALECZNYCH.
WSPOMNIENIA Z NIEMIECKIEJ
OKUPACJI 1939–1945
OŚRODEK KARTA 2025

OD REDAKCJI

„Relacja Izabelli Horodeckiej (z domu Malkiewicz), pseudonim Teresa, stanowi świadectwo szczególne. Pamięć ludzka jest ulotna, z upływem lat liczne fakty, okoliczności zacierają się i odchodzą w zapomnienie. Tymczasem zasadnicza część książki (...) została spisana wkrótce po wydarzeniach, w których uczestniczyła autorka” – pisze jej biograf, dr Michał Siedziako.

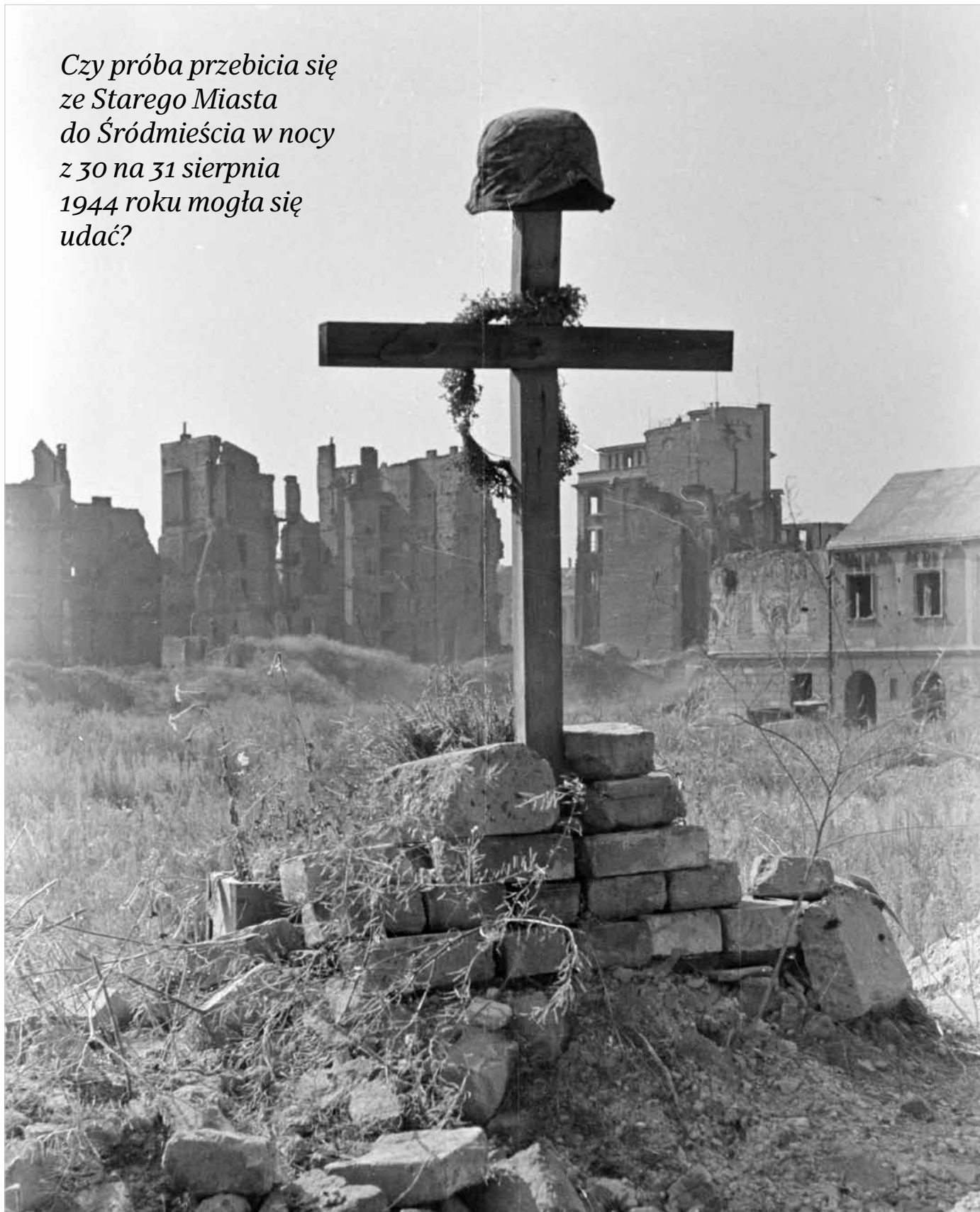
To materiał wyjątkowo bogaty: Izabella Horodecka, która w 1938 r. ukończyła kurs siostr sanitarnych PCK, została zmobilizowana w sierpniu 1939 r. Z zespołem chirurgicznym szpitala polowego dotarła aż do Trembowli, skąd wróciła, spod okupacji sowieckiej, do Warszawy. Wiosną 1940 r. podjęła współpracę ze strukturami konspiracyjnymi „Wachlarza”, przygotowując

m.in. głośną akcję odbicia więźniów w Pińsku. Od marca 1943 r. została przeniesiona do referatu 993/W, czyli Oddziału Wykonawczego Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu Oddziału II KG AK, w którym kierowała kobietą grupą wywiadowczą, uczestnicząc m.in. w akcjach likwidacyjnych agentów Gestapo. Opatrywała rannych, pełniła obowiązki łączniczki, w swoim mieszkaniu ukrywała Żydów i inne zagrożone osoby. Podczas powstania walczyła jako łączniczka i dowódca patrolu sanitarnego w 1 kompanii „Zemsta” baonu „Pięść” zgrupowania „Radosław”, brała też udział w obronie Woli i Starego Miasta, była trzykrotnie ranna. Za zgodą wydawcy – Fundacji Ośrodka KARTA – publikujemy fragment jej wspomnień z pierwszych dni walk na Woli. ■

NA LINII WALK

Korytarz przez Ogród Saski

Czy próba przebicia się ze Starego Miasta do Śródmieścia w nocy z 30 na 31 sierpnia 1944 roku mogła się udać?



Krzyż przy ruinach Pasażu Simonsa (dawna ul. Nalewki, obecnie Stare Nalewki). Zdjęcie powojenne

MACIEJ ŻUCZKOWSKI

Sily powstańcze, które 1 sierpnia 1944 r. o godzinie „W” podjęły walkę o Stare Miasto, liczyły – jak się szacuje – niewiele ponad tysiąc słabo uzbrojonych żołnierzy. Mimo to w ciągu kolejnych czterech dni udało się im opanować zasadniczą część tej dzielnicy. Nie zdobyto jednak kluczowego z punktu widzenia łączności Starego Miasta z Żoliborzem Dworca Warszawa Gdańska i przyległych do niego terenów. 7 sierpnia udane niemieckie natarcie po osi ulic Wolskiej i Chłodnej doprowadziło do odcięcia Starego Miasta od Śródmieścia. Wyznaczyło to początek przesłano trzytygodniowych walk w obronie starówki prowadzonych przez utworzoną tego samego dnia Grupę „Północ”, dowodzoną przez ppłk./plk (awansowany 8 sierpnia 1944 r.) Karola Ziemskiego „Wachnowskiego”.

Plk Ziemiński podjął działania mające na celu zarówno wzmocnienie obrony Starego Miasta, jak i przywrócenie łączności z Żoliborzem i Śródmieściem. 10 sierpnia wysłane kanałami patrole osiągnęły obie dzielnice, dając w ten sposób początek łączności tzw. drogami specjalnymi. Nie zmieniło to jednak faktu, że Stare Miasto było okrazone. W ciągu kolejnych dwóch tygodni podjęto próby odblokowania tej dzielnicy. Na skutek niemieckich przygotowań, ogromnej dysproporcji w sile ognia,

a także słabości polskich sił oraz braku koordynacji działań pomiędzy atakującymi z różnych stron powstańcami zakończyły się one niepowodzeniem i śmiercią oraz ranami w sumie kilkuset żołnierzy. W tej sytuacji poniechano dalszych nierokujących powodzenia natarć.

(Zbyt) ambitny plan

Obszar Starego Miasta pozostający pod kontrolą powstańców kurczył się w sierpniu coraz bardziej, obracany dodatkowo w ruinę przez niemieckie lotnictwo i ciężką artylerię. W tej sytuacji 25 sierpnia rozpoczęła się stopniowa ewakuacja sił polskich kanałami. Jako jeden z pierwszych do Śródmieścia przeszli: oficerowie Komendy Głównej, wśród nich Dowódca AK gen. Tadeusz Komorowski „Bór”, oraz przywódcy polityczni Polskiego Państwa Podziemnego, m.in. przewodniczący konspiracyjnego surogatu parlamentu – Rady Jedności Narodowej Kazimierz Pużak „Bazyli” oraz najwyższy przedstawiciel władz państwowych w okupowanym kraju – Delegat Rządu RP na Kraj w randze wicepremiera Jan Stanisław Jankowski „Soból”.

„Drogą specjalną” mogło się jednak ze Starego Miasta wydostać stosunkowo niewielu ludzi. W sztabie płk. „Wachnowskiego” powstała wówczas, zatwierdzona następnie przez do-

wódcę powstania, płk. Antoniego Chruściela „Montera”, koncepcja podjęcia próby zbrojnego przebicia się staromiejskich oddziałów Grupy „Północ” wraz z rannymi oraz ludnością cywilną do Śródmieścia. Przygotowano skomplikowany plan zakładający równoczesne natarcie z obu stron przy wsparciu przeprowadzonego na plac Bankowy desantu kanałowego. Odległość pomiędzy pozycjami wyjściowymi obu polskich zgrupowań wynosiła w linii prostej około 800 m, taka była bowiem odległość między ulicami Bielańską a Grzybowską i „korytarz” tej długości trzeba było wywalczyć, a potem utrzymać dostatecznie długo, aby mogły go pokonać tysiące ludzi...

Docelowa szerokość „korytarza” miała wynieść około 400 m. Zaplanowano natarcie dwoma kolumnami. Prawą pod dowództwem mjr. Gustawa Billewicza „Sosny” stanowiły: Baon „Chrobry I”, oddział Korpusu Bezpieczeństwa oraz pozostałości harcerskiego baonu „Parasol”. Łącznie siły tej kolumny wynosiły około 200 żołnierzy. Miała ona nacierać z podstaw wyjściowych w Pasażu Simonsa przy ul. Długiej oraz z tzw. reduity Matki Boskiej przy tej samej ulicy i po opanowaniu pałacu Radziwiłłów przy ul. Bielańskiej 14 zaatakować przez ul. Długą i Tłomacką w kierunku ul. Rymskiej, pozostawiając strażę boczne wzdłuż trasy natarcia.

Lewą, silniejszą kolumną, dowodził ppłk. Jan Mazurkiewicz „Radosław”. Składała się z: grupy kpt. Eugeniusza Konopackiego „Trzaski” dowodzącego pododdziałami batalionów: „Wigry” i Wojskowej Służby Ochrony Powstania „Dzik”; oraz z brygady „Broda” mjr. Jana Andrzejewskiego „Jana” w składzie batalion „Zośka” pod dowództwem por. Ryszarda Białousa „Jerzego”, kompania „Topolnicki” i kobiece oddziały „Dysk”: łącznie około 300 żołnierzy.

Przez Bank Polski

To właśnie oddziały brygady „Brody” miały wziąć na siebie główny ciężar przebicia. Ich zadanie polegało na szturmowaniu z obu stron Banku Polskiego przez ruiny domów między ulicami Bielańską a Senatorską z ogólnym kierunkiem natarcia na Szpital Maltański (ul. Senatorska 42) i plac Bankowy, skąd po połączeniu się z desantem kanałowym i we współpracy z oddziałami podległymi mjr. „Sośnie” cała grupa uderzeniowa miała prowadzić dalsze natarcie wzdłuż ulic: Elektoralskiej, Zimnej i Przechodniej w kierunku na Hale Mirowskie i plac Żelaznej Bramy, gdzie powinno nastąpić spotkanie z oddziałami atakującymi od strony Śródmieścia. Na lewo od „Brody” miała atakować wydzielona grupa kpt. „Trzaski”, której podstawą do natarcia był wylot ul. Daniłowiczowskiej, skąd przez ulice Bielańską i Senatorską miała dotrzeć na plac Bankowy, a następnie skierować się na ul. Żabią z zadaniem osłony od strony Ogrodu Saskiego.

Kluczowym elementem natarcia przeprowadzonego ze Starego Miasta miał być wspomniany wcześniej desant kanałowy na plac Bankowy. Zadaniem stworzonego na potrzeby tej akcji liczącego około 100-150 ludzi oddziału dowodzonego przez por. Zbigniewa Ścibor-Rylskiego „Motyla” i por. Zdzisława Zołocińskiego „Piotra” było opanowanie placu Bankowego, a następnie współdziałanie z główną kolumną w natarciu w kierunku Szpitala Maltańskiego.

Zadaniem oddziałów śródmiejskich w łącznej sile około 550 żołnierzy pod dowództwem mjr. Stanisława Steczkowskiego „Zagończyka” było opanowanie niemieckich koszar przy ul. Ciepłej, a następnie zdobycie Hal Mirowskich i placu Mirowskiego, które miały być utrzymane do czasu dotarcia oddziałów ze Starego Miasta.

Nieudana próba

Pierwszy do walki miał przystąpić desant kanałowy. Po opanowaniu pl. Bankowego miał on zieloną rakieta dać sygnał do równoczesnego natarcia siłom powstańczym ze Starego Miasta i ze Śródmieścia. Zgodnie z planem miało to nastąpić kilka minut po godzinie 23. Niestety, wkrótce po osiągnięciu pl. Bankowego przez oddział, który miał przeprowadzić atak, okazało się, że założenia całej akcji oparte były na niesprawdzonych informacjach. Na pl. Bankowym znajdowały się bowiem znaczne siły niemieckie, w dodatku dwóch z trzech studzienek, którymi miał nastąpić „desant” nie udało się otworzyć.

W efekcie zanim Niemcom, w niejasnych do dzisiaj okolicznościach, udało się wykryć wychodzących z kanału powstańców, na powierzchni wydostało się nie więcej niż 20 żołnierzy AK, którzy zostali zaatakowani przez mających znaczną przewagę liczebną i ogniową Niemców. Po około godzinnej walce wobec wyczerpania się amunicji i po śmierci oraz ranienu kilku żołnierzy (w tym dowodzącego walczącymi na powierzchni powstańcami ppor. Jana Byczkowskiego „Cedro”) oddział musiał się wycofać.

Również natarcie ze strony Śródmieścia, rozpoczęte pomimo braku zielonej rakiety z placu Bankowego, około godziny 1 w nocy nie osiągnęło wyznaczonych celów i zmuszone było się cofnąć na pozycje wyjściowe, chociaż oddziałom powstańczym udało się w śmiałym natarciu osiągnąć Hale Mirowskie. Nie miało to jednak znaczenia wobec rezultatu walk stoczonych przez kolumny nacierające ze Starego Miasta.

Wskutek zamieszania i zatoru spowodowanego przez rannych oraz ludność cywilną przygotowujących się do przejścia do Śródmieścia w ślad za nacierającymi oddziałami AK, kolumny ppłk. „Radosława” i mjr. „Sosny” osiągnęły pozycje wyjściowe dopiero około godziny 1 w nocy. Skutkiem tego opóźnienia była strata większości i tak krótkiej letniej nocy oraz elementu zaskoczenia. Ostatecznie natarcie rozpoczęło się dopiero po godzinie 3 nad ranem. Jako pierwsze zaatakowały pododdziały podległe

kpt. „Trzasce”, którym za cenę znacznych strat udało się sforsować ul. Bielańską. Jednak wobec silnego niemieckiego oporu i dalszych strat pododdziały te musiały się wycofać na pozycje wyjściowe. Po odesłaniu trzech ostatnich towarzyszących mu żołnierzy „Wigier” po patrol sanitarny dla rannego oficera batalionu „Zośka”, który wówczas rozpoczął natarcie, po drugiej stronie ul. Bielańskiej z całego oddziału kpt. „Trzaski” pozostał jedynie sam dowódca. Dołączył on do żołnierzy pod dowództwem por. „Jerzego”, którzy – mimo niemieckiego ognia – zdołali się przedostać przez ul. Bielańską.

Sztuka ta udała się dwóm plutonom z kompanii „Rudy” batalionu „Zośka” pod dowództwem ppor. Andrzeja Romockiego „Morro”, por. „Jerzemu” z poczem oraz plutonowi Oddziału Dyspozycyjnego prowadzonemu przez ppor. Bolesława Góreckiego „Śnicę”. Za nimi ul. Bielańską zdołała przekroczyć jeszcze tylko niewielka grupa pod dowództwem mjr. „Jana” i sztabem brygady „Broda”. Chwilę potem oddział ten natknął się na niezniszczoną placówkę niemiecką i został rozstrzelany ogniem broni maszynowej.

„Wdrapywaliśmy się na okna, kiedy od strony barykady na podwórko wpadł major Jan. «No, chłopcy, idziemy naprzód» (...). Byłem mocno wyczerpany, ale samo ukazanie się majora postawiło mnie na nogi. Nareszcie szczęście uśmiechnęło się do mnie. Będę mógł walczyć przy boku dowódcy, który był nieosiągalnym ideałem żołnierza dla każdego z nas. Major Jan, nie zatrzymując się ani na chwilę, biegł w stronę nasypu, skąd tak niedawno sam uciekłem. «Panie majorze, Niemcy» – krzyknąłem z rozpaczą w głosie, gdyż nie miałem nadziei, aby mogło to powstrzymać majora przed parciem naprzód. Był już w połowie nasypu, kiedy odkrzyknął: «To niemożliwe, tam muszą być nasi». I przez chwilę miałem nadzieję, że się pomyliłem. Puściłem



Obelisk upamiętniający Redutę Matki Boskiej przy ul. Długiej

SZCZEBRZESZYŃSKI / WIKIPEDIA



AUTOR NIEZNANY / WIKIPEDIA

Gustaw Billewicz „Sosna”

się co sił w nogach za majorem, żeby nie stracić z nim łączności. Kiedy dobiegałem wierzchołka nasypu, z prawej strony ktoś zaczął do mnie strzelać. Zdażyłem jeszcze zauważyć za nasypem dosyć liczną grupę Niemców, w środku której ktoś się z kimś szamotał, ktoś strzelał – zrozumiiałem, że to major Jan sprzedawał swoje życie. Nie miałem granatów, żeby mu pomóc (...)” – wspominał kpr. podch. Zdzisław Miśkiewicz „Miś-Zdziś”.

Przerywniki z granatów

Niemiecki ogień zaporowy położony wzdłuż ul. Bielańskiej uniemożliwił jej sforsowanie grupie mjr. „Sosny” oraz batalionowi „Parasol”, a także zablokował odwrót wspomnianej wcześniej grupy pod dowództwem por. „Jerzego”. Oddziałowi wzmocnionemu o pojedynczych żołnierzach z innych oddziałów (m.in. o zagubionego kpt. „Trzaskę”) liczącemu wówczas około 70 żołnierzy udało się przeniknąć w rejon ul. Senatorskiej naprzeciwko ruin kościoła św. Antoniego.

Mając odcięty odwrót por. „Jerzy” oraz dowódca kompanii ppor. Andrzej Romocki „Morro” zdecydowali się kontynuować już nie tyle przebijanie, co raczej przedzieranie się w kierunku Śródmieścia. Por. „Jerzy” po latach wspominał: „Decyduję się zmienić kierunek natarcia na kościół św. Antoniego, Bibliotekę Zamojskich, Ogród Saski, Palmiarnię, Gmach Gieldy, Królewską, Zielną, gdzie są już nasi. Natarcie to najlepiej byłoby prowadzić nocą, ale utrzymanie do nocy budynku, w którym jesteśmy, nie wydaje się możliwe ze względu na specjalnie trudną obronę”.

Przygotowania do przeskoku przez ul. Senatorską do kościoła św. Antoniego przerwała informacja, że od ul. Bielańskiej nadchodzą Niemcy. Oddajmy jeszcze raz głos por. „Jerze-

mu”: „Wstaję szybko i nakazawszy reszcie pozostanie na miejscu i obserwację przedpola, sam biorę ze sobą dwóch ludzi z lkm-em [lekkim karabinem maszynowym – M. Ż.] i kilku stenistów [nazwa od brytyjskiego zrzutowego pistoletu maszynowego Sten – M. Ż.] i udaję się na pierwsze piętro budynku [...] szeroką falą tyraliery posuwają się Niemcy w sile, którą oceniam na dwie drużyny. Podchodzą, przetrzyskując ruiny i zbliżają się do nas, nie zachowując żadnej prawie ostrożności [...]. Szeptem wydają rozkazy, podczas gdy Witold umieszcza lkm-y na stanowiskach, sam z kilkoma ludźmi z pm-ami [pistoletami maszynowymi – M. Ż.] zajmuję miejsce naprzeciw otworu w murze, którym już wlewają się Niemcy. Niespokojne spojrzenia chłopców uderzają we mnie, a raczej moją podniesioną rękę, która wnet opadła, rozpoczynając nagle szal ognia, jakim z bliskiej, bo około 30 metrów liczącej odległości, nasze lkm-y i pm-y rażą wroga. [...] nie widziałem żadnego Niemca, który by krył się czy uciekał”.

Po krótkiej walce „Jerzy” wraz z „Morro” omawiają przeskok przez ulicę Senatorską: „Mamy skakać przez ulicę frontalnie, dość zwartym rojem, osłonięci z obu stron dymem naszych „filipinek” [granaty konspiracyjnej produkcji – M. Ż.]. Podstęp udał się: niemieckie karabiny maszynowe do tej pory szczelnie blokujące ul. Senatorską przestały strzelać na kilka sekund. To wystarczyło, aby grupa powstańców osiągnęła kościół św. Antoniego, na środku ulicy pozostał tylko jeden ciężko ranny powstaniec – ten, który się zawahał. W całej grupie większość stanowili ranni, w tym obaj dowódcy: ppor. „Morro”, który otrzymał postrzał w twarz oraz por. „Jerzy” w nogę. Mimo to „Morro” poprowadził rozpoznanie w kierunku Biblioteki Zamojskich. Oczywiście było, że niemożliwe jest kontynuowanie przedzierania się do Śródmieścia w dzień, a utrzymanie się w zrujnowanym kościele do

nocy też nie rokowało większych szans. Ranny w czasie obrony kościoła kpr. pchor. rez. Stanisław Likiernik „Machabeusz”, „Stach” wspominał: „Leżąc na nosidle do trumien w kościele, miałem, w moim przekonaniu, najwyżej godzinę życia. Pamiętam doskonale. Rozmyślałem, nie było nic lepszego do roboty, a miejsce się nadawało”.

„Żadna akcja, sprytna ucieczka”

Po powrocie ppor. „Morro” on oraz por. „Jerzy” zdecydowali, aby wykorzystując hałas czyniony przez niemieckie natarcie niepostrzeżenie opuścić kościół i ukryć się w piwnicach pobliskiego wypalonego budynku. Kpr. pchor. Stanisław Lechmirowicz „Czart” wspominał: „Mijamy węgiel jakiegoś muru i wbiegamy do piwnicy zagradzającej nam drogę budynku. Wejście do suterenu zamyka erkaem, drugi ustawia się w głębi, a wprost oienka, z którego widać Ogród Saski. Stłoczeni, usiłujemy się pomieścić w wąskim, ciasnym korytarzu”. O napięciu nerwów, jakie towarzyszyło żołnierzom świadczy wypadek opisany przez Aleksandra Kamińskiego na podstawie relacji świadków tamtych wydarzeń: „Ledwo erkaem zajął stanowisko, gdy z zewnątrz rozległ się tupot kroków, pchnięto drzwi i w rozslonecznionej ich ramie ukazał się żołnierz w wehrmachtowskim mundurze, z bergmannem gotowym do strzału. Ta-ta-ta-ta-ta – zajazgotał erkaem i żołnierz wbiegający w drzwi zwał się twarzą na posadzkę korytarza piwnicznego”. Dopiero wówczas wyjaśniło się, że był to żołnierz, który dołączył do „Zośki” w czasie walk na Starym Mieście.

Pobyt w piwnicy krótko opisał cytowany wcześniej „Machabeusz”: „Nieprzyjaciele nie wiedzieli, gdzieśmy się podziali. Przez okienka w piwnicy widać ich nogi na podwórzu. Nie wolno mówić, kaszleć, jęczeć ani się ruszać. Ściany, rozgrzane pożarem, pełnią rolę kaloryferów (...). Upał jak

w łaźni. Czekamy. Na co i jak długo? O szóstej rano zajęliśmy, o dziesiątej wieczorem opuściliśmy tę przeklętą piwnicę. Około jedenastej w południe Niemcy usłyszeli jakiś szelest. Na wszelki wypadek wrzucili nam parę granatów. Wybuch i cisza. Szczęśliwie nie ma strat. Ukrywamy się poza załomami murów i czekamy, krztusząc się kurzem. Znowu wybuchy, krótkie serie cekaemu po naszych oknach i znowu spokój. Szkopy mimo wszystko boją się wejść. Nasze sanitariuszki resztą wody z manierek poją rannych. (...) Pot zalewa oczy, rany bołą, granaciki w odstępach półgodzinnych stanowią «miłą rozrywkę». Był to chyba najdłuższy dzień w moim życiu”. Jeden z powstańców naliczył, że do wieczora Niemcy wrzucili do piwnicy 120 granatów.

Dopiero po godzinie 22, na rozkaz por. „Jerzego” oddział wyruszył w dalszą drogę: „Zapowiadam wszystkim, aby milczeli, jedynie „Drogosław” [plut. podchor. Jan Więckowski – M.Ż.] i „Witold” [plut. podchor. Witold Morawski – M.Ż.], znający dobrze niemiecki, mają iść na czele i odpowiadać na ewentualne pytania”. Powstańcy umundurowani w zdobyczne jeszcze na Stawkach niemieckie bluzy polowe i hełmy w ciemnościach z powodzeniem uchodzili za oddział zmierzający na pierwszą linię walk. W ten sposób dzięki zimnej krwi i perfekcyjnej znajomości języka niemieckiego przez „Drogosława” oddział bez walki dotarł do budynku Gieldy, o którą por. „Jerzy” spodziewał się stoczyć walkę z Niemcami. Na szczęście ich tam jednak nie było. W tym momencie od „polskiego Śródmieścia” grupę por. „Jerzego” dzieliła już tylko ul. Królewska.

„Czart” wspominał: „W tym momencie dostajemy wściekły ogień broni maszynowej i działek szybkostrzelnych. Gdzieś od Świątynki pikuja w nas serie kul. Jednocześnie budzi się Śródmieście. Głuche dudnienie dalekich cekaemów wpłata się w grzechot działek z Saskiego, a z prawej strony gieldy zrywają się krzyki



JOACHIM JOACHIMCZYK „JOACHIM” / MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Obroncy Starego Miasta wychodzą z kanałów przy Nowym Świecie 53



AUTOR NIEZNANY / WIKIMEDIA COMMONS

Andrzej Romocki „Morro”

Ukraińców. Ktoś z naszych pada. «Dobijcie mnie! Dobijcie mnie!». Jęk rannego rozsnuwa się błagalnym skowytom, ktoś podbiega. Suchy trzask pistoletu i skurczony w mroku cień milknie. Z głębi Granicznej rozsiekał się naraz głębokim jazgotem maxim. Śródmieście czuwa – spodziewając się natarcia. Cekaem pruje równo po ścianie, za którą stoimy. W otworze okna staje «Morro». Potężnym głosem próbuje przekrzyczeć ujadanie kaemu: «Nie strzelać! Idą polskie oddziały ze Starówki! Baon Zośka! Niech żyje Polska!». Maxim zdaje się chwilę wahać – i cichnie. Skaczemy w kierunku rogu Próżnej i Zielnej, gdzie prawdopodobnie są nasi, na wszelki wypadek gotujemy się do szturm. Zeskakujemy niezdarnie z wysokich okien w ruinach i potykając się o zwisające nisko nad jezdnią druty tramwajowe, przebiegamy ulicę. [...] Przesadzamy niskie okna i wskakujemy do mrocznego wnętrza. W pokoju nie ma nikogo. Ktoś otwiera z rozmachem drzwi i nagle oślepia nas strumień elektrycznego światła. «Nasi! Nasi!».

Ogółem do Śródmieścia przedarło się 59 żołnierzy, w tym 40 z batalionu „Zośka”. 10 żołnierzy w różnych okolicznościach poniosło śmierć w trakcie przebiecia. Blisko siedemdziesiąt lat później, cytowany już wcześniej Stanisław Likiernik „Stach”, w rozmowie z Emilem Maratem i Michałem Wójcikiem, podsumowując przebieg oddziału pod dowództwem por. „Jerzego” przez Ogród Saski, stwierdził tylko, że „jeśli chodzi o legendę, że to najpiękniejsza, genialna akcja powstania, to jest to stuprocentowa bzdura. To nie była żadna akcja, tylko sprytna ucieczka”.

/©©

Maciej Żuczkowski jest pracownikiem Oddziałowego Biura Badań Historycznych w Warszawie IPN. Naukowo zajmuje się historią polskiego ruchu socjalistycznego w czasie II wojny światowej

MATERIAŁ PARTNERA ORLEN

Ratunek wśród ceglanych murów

Pośród ognia i ruin, dymu i śmierci Gazownia Warszawska stała się bastionem nadziei. Nieznana historia Powstania Warszawskiego.

PAWEŁ BĄK

Warszawa, sierpień 1944 r. Ulice Woli płoną, miasto kona pod brutalnym niemieckim terrorem. W tych dniach, gdy życie ludzkie znaczyło mniej niż cegła, w przemysłowym sercu dzielnicy – Gazowni Warszawskiej przy ulicy Dworskiej (dzisiejsza Kasprzaka) – rozegrała się cicha, niemal zapomniana historia ratunku. Nie z bronią w ręku, lecz z odwagą cywilną i chłodnym umysłem. To miejsce, które miało dostarczać energię, stało się schronieniem. Fabryka gazu przemieniła się w twierdzę dla cywilów, a jej pracownicy – w strażników życia. Dziś wracamy do tej historii. Bo nigdy nie jest za późno, by pamiętać.

Gazownia Warszawska przy ul. Dworskiej była jednym z największych zakładów przemysłowych przedwojennej Woli. Dostarczała gaz do znacznej części stolicy, co we wrześniu 1939 r. uczyniło ją celem nalotów. W wyniku bombardowań sieć gazociągowa została uszkodzona w blisko czterech tysiącach punktów, a sam zakład na kilka tygodni przestał działać.

Jednak już w październiku Niemcy, potrzebujący zakładu do utrzymania życia codziennego w okupowanej Warszawie, wymusili jego ponowne uruchomienie. Polscy pracownicy podjęli się naprawy sieci, ale wynagodzili kluczowy warunek: kierownictwo i załoga gazowni pozostały w polskich rękach.

Cichy front oporu

Od tego momentu zakład był jednym z niezliczonych miejsc, gdzie Polacy zachowali względną autonomię. Pod okupacją gazownia stała się areną cichego oporu. Pracownicy celowo obniżali wydajność, sabotowali produkcję, pozyskiwali części zamiennie i materiały, które mogły zostać wykorzystane przez konspirację. Powstała tu również podziemna organizacja – trzy plutony saperskie, które m.in. unieruchomiły gazociąg prowadzący do niemieckiej fabryki broni w Ursusie.

Z gazowni płynęła też pomoc dla walczącego getta – to stąd Karol Fuchs, Żyd z pochodzenia, żołnierz WP, w przebraniu pracownika technicznego przewoził żywność za mur, a czasem ratował ludzi, wywożąc ich na teren zakładu.

Nadzieja wraca

1 sierpnia 1944 r. wybuchło Powstanie Warszawskie. Dwa dni później Niemcy zdobyli mniejszą gazownię na Łudnej. Gazownia na Woli – mimo że nie została przejęta przez powstańców – pozostała pod polską kontrolą. Kluczową postacią był inżynier Wacław Sobierański. To on opracował plan ratunku dla ludności cywilnej. Oficjalnie zakład zatrudniał

1200 osób, nieoficjalnie – ponad 1800. Aż 636 z nich to cywile, ukryci w piecowniach i podziemiach, a przede wszystkim – pod aparatuwnią, gdzie splecione rury tworzyły naturalny bunkier. Zgromadzono broń, materiały wybuchowe, amunicję. Zakład był gotowy nie tylko do pracy, ale i do walki.

Twarzą w twarz ze śmiercią

8 sierpnia 1944 r. niemieckie oddziały SS wkraczają na teren zakładu. Żądają natychmiastowej ewakuacji – dają 20 minut. Grożą rozstrzelaniem każdego, kto zostanie. Wtedy do przodu wychodzi inżynier Sobierański. Z zimną krwią odmawia. Informuje Niemców, że zakład pracuje na potrzeby Wehrmachtu i podlega wyłącznie decyzjom oficerskim. Żąda obecności przełożonego.

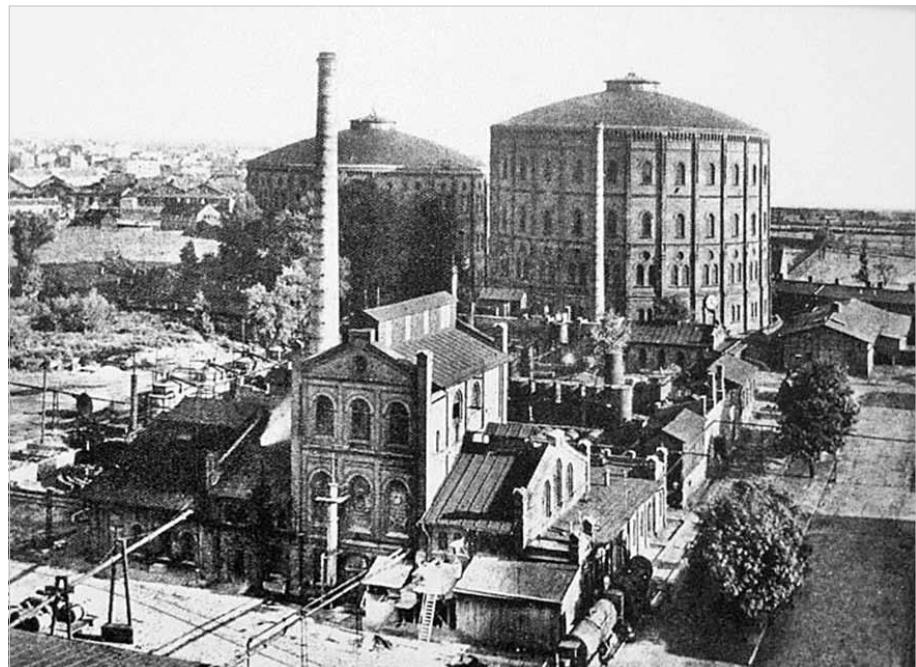
Zaskoczeni Niemcy – z braku informacji i pod presją czasu – rezygnują z rewizji. Co więcej, podpisują listę, na której widnieją wszystkie „zatrudnione” osoby – również ci, których mieli zgładzić. W gazowni zostaje wszystko po starciu. Ale dziesiątki istnień zostają ocalone.

22 września 1944 r. zakład został ostatecznie unieruchomiony. Maszyny wywieziono do Rzeszy, ale budynków nie wysadzono – miały służyć jako punkt dezynfekcji dla niemieckich oddziałów.

Emocje po latach

Po wojnie pracownicy wrócili. Już w czerwcu 1945 r. gazownia wznowiła produkcję. Lata mijały. Historia cichła.

Aż do 2022 r. Podczas otwarcia zrewitalizowanego Muzeum Gazowni Warszawskiej pojawił się starszy mężczyzna – Henryk Rafiński.



Zakład na Woli rozpoczął działalność w 1888 r.

Wpatrywał się w zdjęcie aparatuwni. Po chwili zapłakał – w 1944 r., jako trzynastoletni chłopiec, spędził tu trzy tygodnie. Między rurami. Między życiem a śmiercią.

„Kilku funkcjonariuszy SS przybyło na teren gazowni od strony ulicy Dworskiej, obecnie noszącej nazwę ulicy Kasprzaka. (...) Gazownia była oświetlona światłem gazowym, ponieważ miała bezpośrednie zasilanie. Wjechali na teren zakładu, weszli na podwyższenie i zorganizowali apel. Poinformowali, że wszyscy przebywający na terenie gazowni mają o godzinie szesnastej stawić się przy wieży ciśnień” – wspomina Henryk Rafiński w relacji zarejestrowanej przez Archiwum Historii Mówionej.

„Mój brat miał ze mną pewien kłopot, ponieważ ja miałem trzynaście lat, a on trzydzieści lub trzydzieści jeden. W rozmowie ze znajomymi, którzy również ukrywali się w gazowni, zasugerowano mu: »Weź go za syna, powiedz, że to twój syn – kto będzie to sprawdzał?«. O wyznaczonej godzinie wszyscy zebrałiśmy się we wskazanym miejscu. Funkcjonariusze przeprowadzili kontrolę i ostrzegli, że każdy, kto pozostanie na terenie zakładu po tym czasie, zostanie rozstrzelany” – wspomina.

„Życie za wolność”

Na terenie zabytkowego kompleksu znajduje się wyjątkowy pomnik upamiętniający

uczestników Powstania Warszawskiego. Monument zatytułowany „Życie za wolność” stanowi wyraz hołdu dla pracowników gazowni oraz powstańców, którzy w 1944 r. oddali życie w walce o wolność stolicy.

Pomnik o prostej, symbolicznej formie został wzniesiony na terenie dawnego zakładu przemysłowego, który podczas II wojny światowej odegrał istotną rolę zarówno gospodarczą, jak i społeczną. Gazownia, mimo trudnych warunków i nieustannych zagrożeń, kontynuowała swoją działalność, dostarczając energię mieszkańcom okupowanej Warszawy. Jej pracownicy często angażowali się również w działania konspiracyjne, wspierając ruch oporu i organizacje podziemne.

Monument „Życie za wolność” upamiętnia zarówno żołnierzy Armii Krajowej, jak i cywilnych obrońców miasta – ludzi, którzy z narażeniem życia walczyli o wolność ojczyzny. Umiejscowienie pomnika na terenie zakładu nie jest przypadkowe – to właśnie tutaj wielu z nich pracowało, walczyło i zginęło.

Współcześnie miejsce to pełni ważną funkcję nie tylko jako przestrzeń pamięci, ale także jako symbol edukacyjny i kulturowy. Przypomina o cenie wolności, jaką przyszło zapłacić pokoleniu warszawiaków, o ich odwadze, determinacji oraz sile wspólnoty w obliczu terroru. Pomnik „Życie za wolność” jest jednym z licznych, lecz szczególnie wymownych świadectw heroizmu powstańców warszawskich.

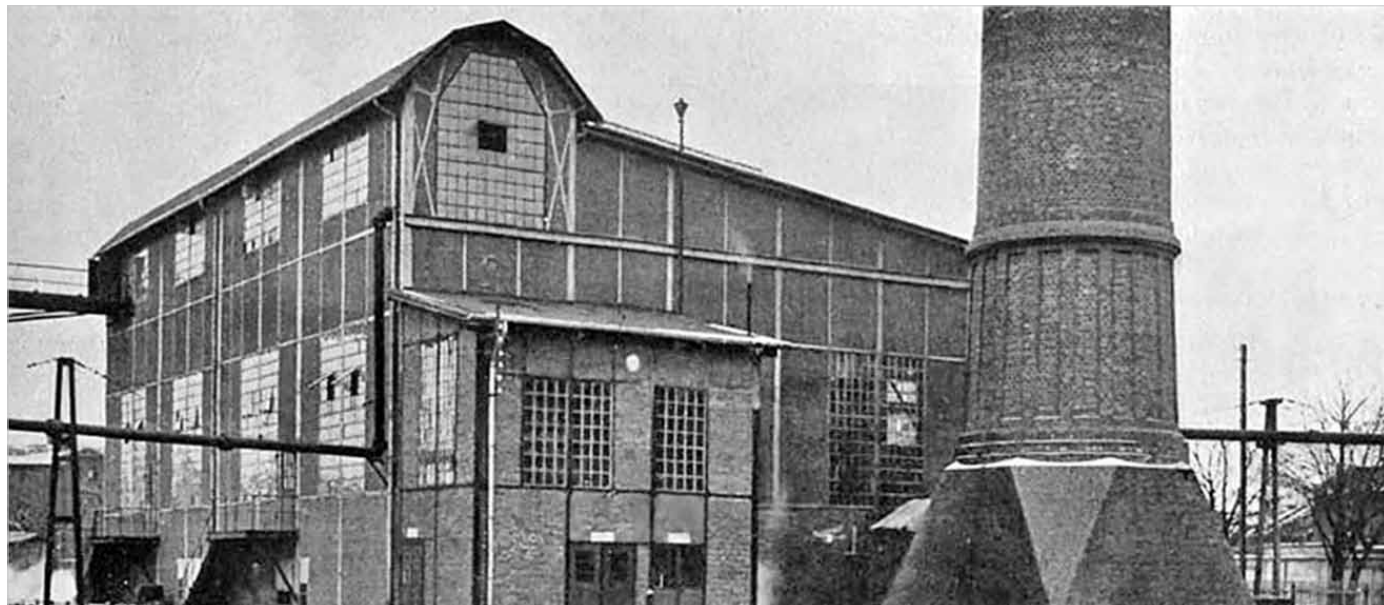
Dziś Muzeum Gazowni Warszawskiej to nie tylko świadectwo przemysłowej potęgi przedwojennej Warszawy. To miejsce pamięci. Miejsce, gdzie między ceglannymi murami i żeliwnymi piecami unosi się duch odwagi i ratunku.

Muzeum powstało w zabytkowych budynkach XIX-wiecznego kompleksu przemysłowego, który przez dekady pełnił kluczową rolę w funkcjonowaniu miasta. Gazownia, działająca nieprzerwanie od 1888 roku aż do czasów powojennych, była nie tylko zakładem produkcyjnym, ale także ważnym punktem oporu podczas okupacji niemieckiej.

Muzeum Gazowni Warszawskiej to nie tylko przestrzeń wystawiennicza, ale również miejsce edukacji i refleksji nad przemianami społecznymi i politycznymi, jakie kształtowały Warszawę. Wystawy stałe i czasowe ukazują rozwój miejskich sieci gazowych, zmieniające się warunki pracy oraz rolę gazownictwa w codziennym życiu mieszkańców stolicy. Jednocześnie MGW aktywnie uczestniczy w pielęgnowaniu pamięci historycznej, organizując wydarzenia rocznicowe i spotkania z świadkami historii.

Odwiedzając Muzeum Gazowni Warszawskiej, zwiedzający mają możliwość poznania nie tylko fascynujących faktów z historii przemysłu i techniki, ale także głębokiego humanistycznego przesłania – o cenie wolności, odwadze i solidarności, które przetrwały mimo najtrudniejszych czasów. Muzeum zachęca do refleksji nad przeszłością i inspirowania się nią w budowaniu lepszej przyszłości.

Autor jest dyrektorem
Muzeum Gazowni Warszawskiej



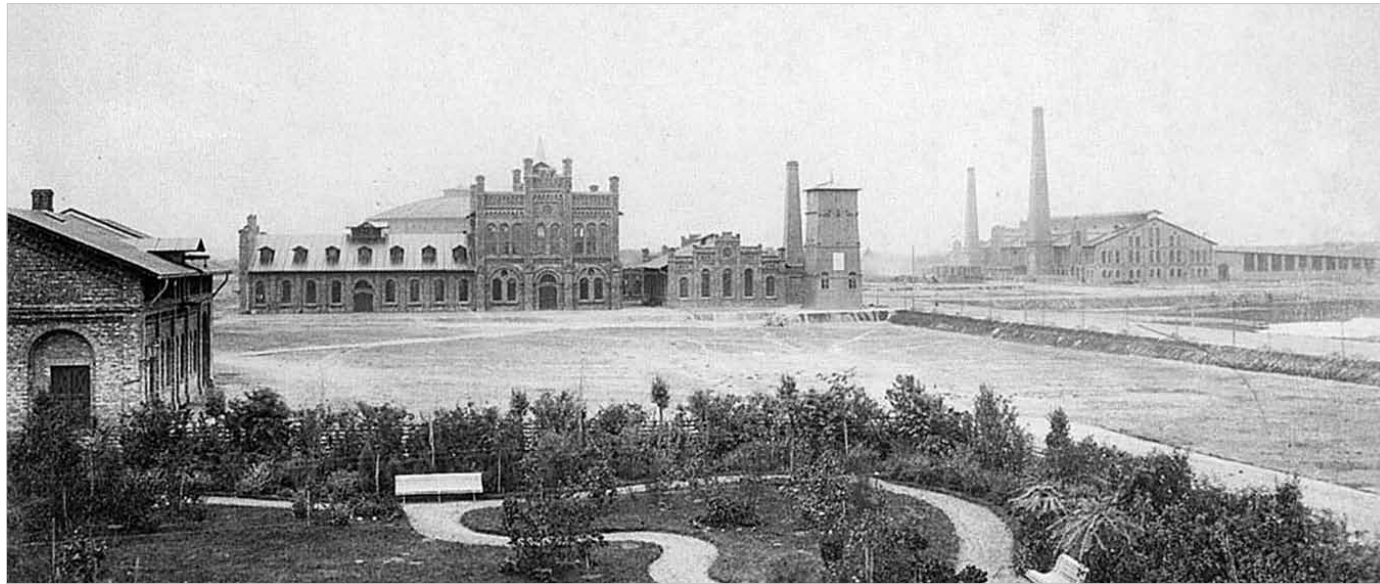
Kotłownia centralna, jeden z głównych budynków Gazowni Warszawskiej



MATERIAŁ PARTNERA ORLEN

Gazowe *Imperium* Warszawy

Gazownia Warszawska przez lata była przemysłowym sercem stolicy i siłą napędową nowoczesnej Polski. To w niej odbija się historia miasta i kraju.



Gazownia Warszawska przy ul. Dworskiej była jednym z największych zakładów przemysłowych przedwojennej Woli

PAWEŁ BĄK

W cieniu przemysłowych kominów i pod łukami żelaznych gazociągów narodziła się jedna z najważniejszych instytucji nowoczesnej Warszawy – Gazownia Warszawska. Przez ponad półtora wieku nie tylko rozświetlała ulice stolicy, ale także promieniowała postępem, stając się architektem miejskiej infrastruktury, nośnikiem zmian społecznych i symbolem przemysłowej suwerenności Polski.

Jej powstanie, rozwój i działalność w różnych epokach politycznych stanowią nieodłączną część dziejów nie tylko stołecznej infrastruktury, lecz także historii społecznej, kulturalnej i gospodarczej kraju.

Z ciemności ku światłu: pionierskie lata gazownictwa

W epoce, gdy Europa budziła się do ery technicznego oświecenia, Warszawa – skrzepowana carskim jarzmem – spoglądała z dystansem na światło gazowych latarni, które już zdobiły ulice Londynu, Paryża czy Berlina. Epoka gazu rozpoczęła się w Europie już pod koniec XVIII wieku, kiedy to szkocki wynalazca William Murdoch w 1792 r. po raz pierwszy oświetlił swój dom gazem uzyskanym z węgla. To wydarzenie zainicjowało proces rozwoju nowoczesnego oświetlenia miejskiego, który stopniowo ogarnął niemal cały kontynent.

Warszawa, będąca wówczas pod politycznym wpływem Imperium Rosyjskiego, przez długi czas pozostawała na marginesie tego przełomu technologicznego. Surowa polityka represyjna po upadku powstania listopadowego, wprowadzona przez namiestnika Iwana Paskiewicza, skutecznie blokowała możliwość instalacji gazowych, uznawanych za potencjalne źródło zagrożenia. Dopiero po jego śmierci w 1856 r. władze miejskie podpisały umowę z Niemieckim Kontynentalnym Towarzystwem Gazowym z Dessau. Jeszcze tego samego roku na ulicach Warszawy zapłonęły pierwsze latarnie gazowe – symbol przełomu i modernizacji.

Gaz pod ciśnieniem postępu: dynamiczny rozwój i innowacje

Od drugiej połowy XIX wieku rozwój warszawskiego gazownictwa nabral wyjątkowego tempa. W 1888 r. na Woli powstała druga gazownia, połączona z zakładem przy ul. Ludnej pięciokilometrową siecią gazociągów. Choć pierwotnie planowano wygaszenie starszego zakładu, dynamicznie rosnące zapotrzebowanie na gaz wymusiło funkcjonowanie obu obiektów równolegle.

Rurami poprowadzonymi pod ulicami Ludną, Książęcą, Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem gaz dotarł do placu Zamkowego, gdzie zasilił 92 latarnie. System oświetleniowy objął także budynki użyteczności publicznej, w tym Bank Polski oraz warsztaty kolejowe. W kolejnych latach gazowe lampy zaczęły pojawiać się w szpitalach, koszarach oraz prywatnych mieszkaniach, znacząco poprawiając komfort życia mieszkańców. Wśród ważnych obiektów, które otrzymały oświetlenie



Muzeum Gazowni Warszawskiej, prowadzone przez Fundację Orlen im. I. Łukasiewicza, pielęgnuje technologiczne dziedzictwo stolicy

” Gazownia Warszawska była nie tylko symbolem postępu technicznego – była również sercem życia społecznego

gazowe, znalazły się most Kierbedzia, Cytadela oraz Dworzec Petersburski, obecnie znany jako Dworzec Wileński.

Gazownia na Woli szybko zyskała status jednego z najnowocześniejszych zakładów w Europie. Zastosowanie innowacyjnych pionowo-retortowych pieców gazowych już na początku XX wieku znacząco podniosło efektywność produkcji. Na krótko przed I wojną światową dzienna produkcja warszawskich gazowni sięgała imponujących 300 tysięcy metrów sześciennych, co uczyniło z nich fundament rozwoju miejskiej infrastruktury – od oświetlenia ulic po dostawę dla przemysłu i gospodarstw domowych.

Nowa Polska, nowa energia: upaństwowienie w II Rzeczypospolitej

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. Polska rozpoczęła proces przejmowania kluczowych instytucji gospodarczych. Trwający kilka lat spór z niemieckim właścicielem zakładów zakończył się sukcesem – w 1929 r. gazownie stały się własnością miasta Warszawy.

Ten akt upaństwowienia nie był jedynie formalnością – był deklaracją niezależności energetycznej, sygnałem do intensywnej modernizacji. Zainstalowany w zakładzie na Woli piec typu Glover-West zwiększył efektywność produkcji, a rozwój sieci dystrybucyjnej sprawił, że gaz stał się codziennym dobrem w warszawskich domach.

W ogniu wojny: przetrwanie, sabotaż i opór

Wrzesień 1939 r. był próbą ostateczną. W wyniku bombardowań znacząco ucierpiała infrastruktura przesyłowa. Niemcy – dostrzegając strategiczne znaczenie zakładu – nie zdecydowali się na jego całkowitą likwidację. Dzięki temu gazownia stała się jednym z niewielu działających zakładów miejskich.

W czasie okupacji za murami gazowni kwitła konspiracja. Pracownicy wykorzystywali swoją pozycję do działań sabotażowych, organizując pomoc dla ludności cywilnej. W sierpniu 1944 r., podczas Powstania Warszawskiego, zakład na Woli służył jako schronienie dla mieszkańców – ostoja nadziei wśród ruin miasta.

Nie tylko przemysł: kultura, sport i wspólnota

Gazownia Warszawska była nie tylko symbolem postępu technicznego – była również sercem życia społecznego. W okresie międzywojennym działał tu Chór Pracowników Gazowni Miejskiej „Znicz”, prowadzony przez samego Jana Adama Maklakiewicza – jednego z najznamiętszych polskich kompozytorów. Zespół stał się rozpoznawalnym punktem na muzycznej mapie Warszawy, budując nie tylko artystyczny wizerunek instytucji, ale i wzmacniając więzi wewnątrzzakładowe.

Równolegle rozwijała się działalność sportowa. Gazowniczy Klub Sportowy „Świt”, założo-

ZAPROSZENIE

Spacer z historią



W niedzielę 17 sierpnia o godzinie 12 odbędzie się spacer „Warszawa śladami powstańców – rzeź Woli”.

Tematem przewodnim spaceru będzie dramatyczna historia rzezi Woli oraz losy ludności cywilnej i żołnierzy walczącej stolicy. Istotnym punktem spaceru będzie Muzeum Gazowni Warszawskiej. W czasie Powstania Warszawskiego to między innymi gazownia stała się tymczasowym schronieniem dla mieszkańców Woli uciekających przed masowymi egzekucjami.

Spacer poprowadzi Łukasz Ostoja-Kasprzyski, inicjator projektu PoWarszawsku, który od lat przybliża mieszkańcom stolicy losy ich fascynującego miasta.

Miejsce zbiórki: pod Muzeum Gazowni Warszawskiej, ul. Seweryna Krzyżanowskiego 7. Organizatorami wydarzenia są Orlen, Fundacja Orlen im. Ignacego Łukasiewicza oraz PoWarszawsku. ■

ZAPROSZENIE

Wystawa na Bielańskiej

„Uciec z piekła – ostatnie dni Starego Miasta w Powstaniu Warszawskim” to tytuł czynnej od 31 lipca wystawy, której partnerem głównym jest Orlen. Upamiętnia ona powstańczą redutę Banku Polskiego.

Fasada gmachu po Banku Polskim wciąż nosi ślady niemieckich kul. Opanowany przez Niemców obiekt został zdobyty przez powstańców 3 sierpnia 1944 r. i przez cztery tygodnie był miejscem bohaterskiego oporu żołnierzy z batalionu „Łukasowski”.

Wystawa Fundacji Pamięci o Bohaterach Powstania Warszawskiego opowiada o próbie przebicia się do Śródmieścia. Prezentuje zarówno aspekty militarne, jak i przybliża sylwetki konkretnych bohaterów oraz losy rannych żołnierzy i cywilów pozostałych na Starym Mieście.

Wystawa będzie otwarta do 2 października na Bielańskiej 12 w Warszawie. ■

ny na terenach zakładu, skupiał pracowników uprawiających różne dyscypliny – od piłki nożnej i siatkówki po boks i lekką atletykę. Co szczególnie warto podkreślić, klub promował także aktywność kobiet, co na tle epoki stanowiło przejaw nowoczesnego myślenia o roli sportu w społeczeństwie.

Dziedzictwo Gazowni Warszawskiej – fundament nowoczesności

Dziś na terenie dawnej gazowni na Woli siedzibę ma Muzeum Gazowni Warszawskiej, prowadzone przez Fundację Orlen im. Ignacego Łukasiewicza. Miejsce, które nie tylko pielęgnuje pamięć o technologicznym dziedzictwie stolicy, ale i ukazuje, jak przemysł może budować tożsamość miasta, łącząc pokolenia i stać się nośnikiem wartości społecznych.

Gazownia Warszawska to nie tylko industrialny zabytek, to opowieść o determinacji, wynalazczości i społecznej sile energii. Od pierwszej zapalanej latarni na placu Zamkowym po muzealne ekspozycje XXI wieku – historia tej instytucji jest historią miasta i jego mieszkańców. Jest świadectwem, że przemysł – odpowiedzialnie zarządzany – może być nie tylko źródłem energii, ale także fundamentem cywilizacyjnego rozwoju.

Więcej o Muzeum
Gazowni
Warszawskiej

ORLEN
Art & Science



NA LINII WALK

Odebrać zrzuty z „Chochli” lub „Hamaka”

AK przyjmowała zrzuty od aliantów już od 1941 r. Brak w mieście dużych terenów pod kontrolą powstańców sprawił jednak, że w sierpniu 1944 r. samoloty z pomocą części kierowały się nad podmiejskie lasy.

GRZEGORZ RUTKOWSKI

Drugi tydzień Powstania Warszawskiego: Reduta Wawelska, jeden z ostatnich rejonów Ochoty zajmowanych przez powstańców. W chwili wolnej od walki żołnierze słuchają programu polskiej sekcji BBC, gdy nagle jeden z AK-owców rzuca się na odbiornik, próbując go... zniszczyć!

Wedle relacji Haliny Donath „Kotki”, powodem agresji jej kolegi był fakt nadania przez BBC ponurego chorału „Z dymem pożarów”. Dopiero wiele lat po wojnie powstańcy dowiedzieli się, że ten znienawidzony utwór pełnił funkcję w systemie informowania AK poprzez melodie nadawane w polskiej sekcji BBC. Został wybrany jako jeden z sygnałów wiele tygodni przed wybuchem powstania i oznaczał, że tej nocy samoloty z pomocą dla AK nie przylecą. Był to jeden z elementów złożonego systemu odbioru zrzutów przez AK. Systemu, który został poddany najwyższej próbie w pierwszych dniach Powstania.

Własna baza i system

Zrzuty lotnicze dla ZWZ-AK były prowadzone od 1941 r. W wyniku wieloletnich starań Polacy w Londynie stworzyli własną eskadrę samolotów zdolnych do realizacji niebezpiecznych misji, bazę przerzutową oraz system łączności pozwalający zarządzać operacjami do kraju. AK wykształciło kadry i wytypowało ponad 500 zrzutowisk. W szczytowym momencie akcji podejmowania przerzutów powietrznych – w kwietniu, maju i lipcu 1944 r. – konspiracja w kraju podjęła ich 175. Do momentu wybuchu walk w Warszawie samoloty dostarczyły łącznie ponad 316 ton zaopatrzenia.

Wedle zamierzeń AK odbiory zrzutów podczas Powstania Warszawskiego miały prowadzić w sposób skoordynowany wyspecjalizowane struktury Komendy Głównej, Obszaru Warszawskiego i Okręgu Warszawa. W Komendzie Głównej od 1940 r. funkcjonowała dedykowana do tego typu akcji struktura (będziemy nazywać ją „Syreną” zgodnie z jej pierwszym i ostatnim kryptonimem – przyp. GR). „Syrena” posiadała bogate doświadczenia – z powodzeniem zorganizowała i koordynowała odbiór 255 zrzutów.

W lipcu 1944 r. służyło w tej strukturze blisko 50 osób. W tym okresie oddział ewakuacji materiałowej „Syreny” został przekształcony w oddział odbioru przerzutów powietrznych przy Komendzie Okręgu Warszawa. Miała ona w strukturach referenta przerzutów powietrznych (pp): był nim kpt. Zdzisław Szymborski „Skowron”, a jego zastępcą kpt. „Polaczek” (nazwisko nieznane). W przededniu powstania w każdym z obwodów Okręgu działał oficer przerzutów powietrznych. Obszar Warszawski AK natomiast posiadał rozbudowany referat przerzutów powietrznych, kryptonim „Studnia”, liczący 12 osób. Podlegało jej dodatkowo 15 oficerów poszczególnych obwodów Obszaru. „Studnią” dowodził ppor. Józef Reguński „Biały”. Z relacji oficerów wynika, że dowództwo Armii Krajowej miało przejrzysty plan: zamierzało zorganizować odbiór zrzutów w mieście w oparciu o kadry Okręgu i KG AK, a jednocześnie zaopatrywać Warszawę z zewnątrz poprzez zrzuty odebrane przez Obszar Warszawski.

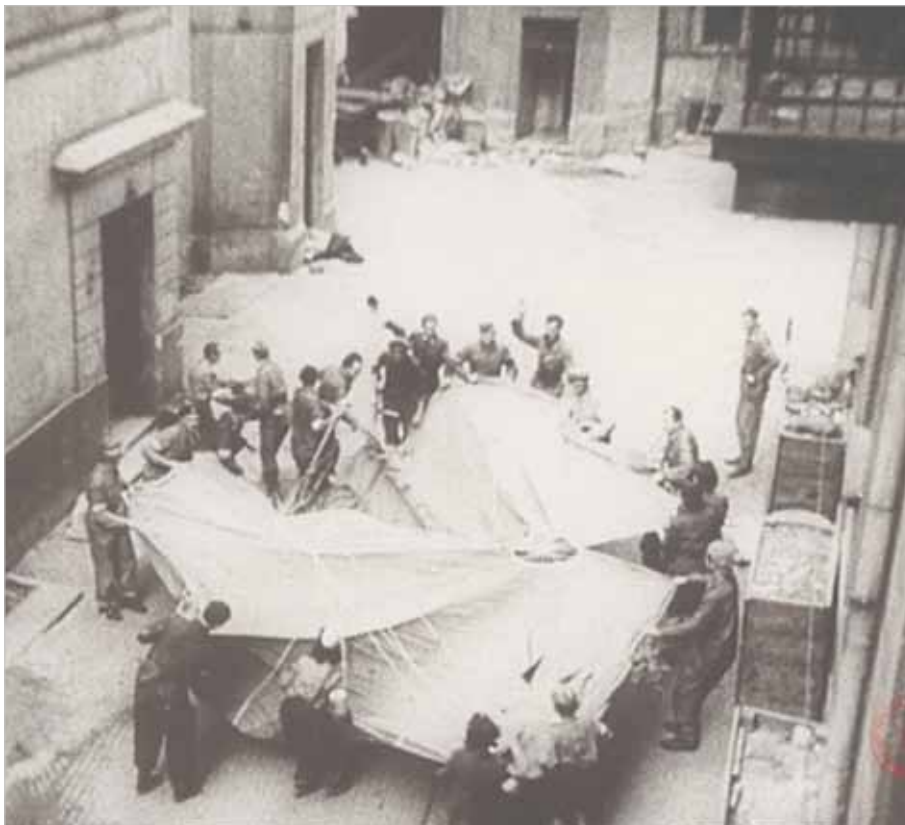
Miejsca do zrzutów

29 lipca 1944 r. KG AK informowała Londyn, że nie wyznaczyła w mieście stałych miejsc zrzutów. Miano ich dokonać w rejonie wyłożenia ustalonych sygnałów świetlnych na ziemi. W przeddzień wybuchu powstania Okręg Warszawa zarządził organizację oddziałów odbioru zrzutów w każdym z obwodów. Wybór miejsc, w które miały być kierowane, pozostawiano do decyzji komendy danego obwodu.

Przyloty samolotów spodziewano się pierwszej nocy po wybuchu Powstania w liczbie 15 maszyn. Nie była to liczba przesadzona, AK w tym czasie była organizacyjnie przygotowana do odbioru wskazanej liczby samolotów nawet jednej nocy. Natomiast



Powstańcy z pomocą ze zrzutów na ul. Górskiego w Śródmieściu



W mieście w czasie powstania było bardzo niewiele miejsc dogodnych do zrzucenia pomocy

brak wskazania konkretnego rejonu zrzutów wynikał zapewne z faktu, że ich umiejscowienie zależne było od zakresu sukcesów powstańców w pierwszych godzinach walki. Przy sprawnie działającej łączności radiowej z Zachodem zorganizowanie zrzutowiska w kraju sprowadzało się do odnalezienia odpowiedniego miejsca, wyposażenia kilku-nastu ludzi w środki sygnalizacji i poinformowania o tym Londynu. Cała akcja mogła więc bez większych przeszkód zostać zorganizowana w ciągu kilkudziesięciu godzin.

Brak wskazania w korespondencji radiowej konkretnych zrzutowisk nie oznaczał, że AK nie podjęła działań zorganizowania ich na terenie Warszawy. W ostatnich dniach przed powstaniem oficerowie „Syreny” dostali zadanie zorganizowania grup odbioru w rejonach dużych, niezabudowanych obszarów miasta. Wedle relacji por. Ryszarda Zbignie-

wa Brycha „Rysiek” zorganizował oddział odbiorczy przy ul. Grójeckiej mający przygotować się do odbioru zrzutu w rejonie ulicy Grójeckiej, torów kolejowych i ul. Spiskiej. Był to plac o powierzchni 10 hektarów. Kolejna ekipa odbioru obsadziła Wodociągi Warszawskie położone na obszarze po ruinach małego getta. Zrzuty miały się odbyć na początku powstania, wspomniane akcje zostały jednak odwołane w drugim tygodniu sierpnia z uwagi na brak panowania nad wskazanymi terenami. Ostatecznie do podejmowania zrzutów

z pomocą aliantów nadawały się ruiny małego getta.

tów z alianckich samolotów nadawały się ruiny małego getta.

Ratunek w lasach

Warszawę planowano także zaopatrywać ze zrzutów, które miały mieć miejsce poza miastem, na terenie Obszaru Warszawskiego AK. Na odprawie oficerów komendy Obszaru pod koniec lipca 1944 r. wyznaczono plebanie w Izdebnie koło Grodziska Mazowieckiego jako punkt kontaktowy dla ekipy z radiostacją, kpt. Aleksandra Jedlińskiego „Franka” oraz ppor. Józefa Reguńskiego „Biały”. Wedle relacji ppor. Reguńskiego planowano uruchomić łączność radiową działającą na rzecz odbioru zrzutów pod Warszawą. Umówione spotkanie miało się odbyć 31 lipca. Jednak w wyznaczonym terminie i miejscu nie stawił się łącznik kpt. „Franka”.

W tym samym czasie do ppor. Reguńskiego dotarły informacje o znajdującym się w Puszczy Kampinoskiej silnym zgrupowaniu partyzanckim por. Adolfa Pilcha „Góry”, do którego postanowił dołączyć. Wedle wspomnień dowódcy obwodu „Obroża” AK, mjr. Józefa Krzyczkowskiego „Szymona”, „Biały” przybył do Puszczy Kampinoskiej w drugim tygodniu sierpnia. Od początku sierpnia we wsi Truskaw, przy sztabie mjr. Krzyczkowskiego, działała radiostacja dowodzona przez kpt. „Franka”. 4 sierpnia nawiązała łączność z Londynem. Tym sposobem z kilkudniowym „poślizgiem” udało się zrealizować zamierzenia Obszaru.

Na długo przed powstaniem na obrzeżach puszczy funkcjonowało kilka zrzutowisk z przeszkoloną obsługą, m.in. tzw. bastiony, które mogły za jednym razem odebrać zrzut z kilku samolotów. Początkowo były to bastiony „Chochla” i „Hamak”. Z czasem na południe od puszczy, w rejonie Grodziska Mazowieckiego, zlokalizowano dwa kolejne bastiony, często wykorzystywane przez konspirację w okresie poprzedzającym powstanie – „Tasak” i „Solnica”. Już w trakcie walk w Warszawie zorganizowano kolejne zrzutowiska, czyniąc z rejonu Puszczy Kampinoskiej ważny węzeł podejmowania alianckich samolotów.

Podwarszawskie lasy zyskały na znaczeniu jeszcze bardziej po operacjach lotniczych prowadzonych od 15 sierpnia, gdy Brytyjczycy, chcąc minimalizować bardzo wysokie straty, zaprzestali latać bezpośrednio nad miastem. Zmusiło to KG AK do zmiany strategii podejmowania zrzutów. Zorganizowano kolejne zrzutowiska w Lesie Kabackim, Cisowskim, Sękocińskim i wspomnianej już Puszczy Kampinoskiej. Stamtąd broń miała zostać przerzucana do Warszawy.

Sto ton sprzętu dla powstańców

W momencie wybuchu powstania Polskie Siły Powietrzne nie były gotowe, by „z marszu” nieść pomoc oddziałom AK w Warszawie na większą skalę. Pierwsze zrzuty na miasto nastąpiły w nocy 45 sierpnia. Ze spodziewanych 15 samolotów w rejon Warszawy wysłano cztery maszyny, z których trzy zdołały wykonać zrzut nad miastem i częściowo w Puszczy Kampinoskiej. Szybko zdano sobie sprawę, że walki w Warszawie poddały dramatycznej próbie opracowane przez AK procedury i wytyczne. Jak stwierdza por. „Lebera”: „Przyjmowanie zrzutów według metod stosowanych poza Warszawą nie mogło zdać egzaminu w warunkach walk ulicznych w stolicy”. Dodatkową komplikację stanowił z biegiem czasu coraz bardziej dramatyczny przebieg walk w Warszawie.

Mimo skrajnie niesprzyjających warunków, wcześniejsze przygotowanie grup odbioru oraz istnienie „bastionów” poza granicami Warszawy pozwoliło na kontynuowanie akcji. Łącznie podczas powstania wysłano nad Warszawę i jej okolice 272 samoloty, które zrzuciły 233 tony sprzętu. Wedle wiarygodnych szacunków do rąk powstańców trafiła blisko połowa tych materiałów: 109 ton.

Grzegorz Rutkowski jest historykiem, pracownikiem naukowym Muzeum Historii Polski

/©©

MATERIAŁ PARTNERA PZU

Walka z okupantem, walka z ogniem

Wśród tych, którzy ruszyli na pomoc walczącym powstańcom, byli pracownicy Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych – dzisiejszego PZU.

Zniszczony gmach
Powszechnego Zakładu
Ubezpieczeń Wzajemnych

FOTOGRAFIA GŁÓWNA: TABULEZ BUKOWSKI BOKCZA / MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO. FOTOGRAFIA LEGITYMACJI: MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

EWA ŚPILA

Nie nosili mundurów, ale mieli odwagę. W czasie okupacji wspierali konspirację. W Powstaniu Warszawskim walczyli z ogniem i strachem.

PZUW pomaga armii i konspiracji

Podczas II wojny światowej okupant pozwolił organizacji działać dalej. Pracownicy doświadczyli koszmaru wojny i pomagali jak mogli.

Już przed wybuchem wojny w 1939 r. PZUW wspierało państwo polskie. Przekazało milion złotych na rzecz rozbudowy lotnictwa i artylerii przeciwlotniczej. Dyrektor naczelny PZUW Bronisław Ziemięcki informował w depeszy generała Leona Berbeckiego (komisarza generalnego Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej – przyp. red.): „Dla obrony Ojczyzny, na wezwanie Naczelnego Wodza i apel Pana Generała, Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych deklaruje niniejszym na Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej sumę miliona zł. płatną niezwłocznie”.

W tym samym roku dyrektor naczelny PZUW zachęcał w piśmie do pracowników, aby „w chwilach wolnych od zajęć zgłosili swą gotowość i podjęli pracę przy kopaniu rowów”.

Od początku niemieckiej okupacji PZUW włączyło się również w działalność konspiracyjną i wspierało ją finansowo.

Pracowników PZUW dotykał też niemiecki terror. Stanisław Stanisław (zastępca inspektora wojewódzkiego PZUW w Lublinie) wspominał: „Z oddziałami partyzanckimi znajdowaliśmy bez trudności porozumienie. Nie mieliśmy przeszkód w przewożeniu zainkasowanej gotówki (kłopot z bandytami), a spotkania czujek najczęściej kończyły się prośbą o dostarczenie lekarstw i środków opatrunkowych”.

Zakład starał się nie dopuścić do przejmowania przez okupanta zbieranych składek. W tym czasie wypłacane były wysokie odszkodowania i znacznie zwiększyło się zatrudnienie, co dawało ludziom szansę na przetrwanie. Legitymacje pracownicze zakładu były bowiem podpisane przez komisarza niemieckiego i zaopatrzone w pieczęć z hitlerowskim „kogutem”.

Henryk Suniewski (pracownik centrali PZUW) wspominał: „Dokumenty takie są szczególnie cenne dla działaczy politycznych i byłych wojskowych. Z legitymacji Zakładu, opatrzonej autentycznym podpisem komisarza, korzystał pod koniec 1939 r. między innymi pierwszy komendant organizacji wojska podziemnego, generał Tokarzewski-Karaszewicz. Dowód

ten wystawiony był na nazwisko Mirona Borduna, technika szacunkowego Zakładu”.

Strażacy PZUW, którzy uratowali teatr

W 1942 r. z inicjatywy Biura Prewencyjnego powstała Ochotnicza Straż Pożarna przy PZUW. Prowadziła szkolenia i gasiła pożary. Było to w czasie nasilonych łapanek i wysyłek do Niemiec.

Aleksander Rzepkiewicz, ps. Kelo, był pracownikiem PZUW, członkiem Ochotniczej Straży PZUW i brał udział w Powstaniu Warszawskim, tak wspomina działania strażaków: „Straż [ochotniczą] zasilili synowie pracowników PZUW oraz niektórzy urzędnicy zatrudnieni w Dyrekcji Umownych Ubezpieczeń. Skierowany z początkiem kwietnia 1943 r. przez Główną Komendę Straży Pożarnej ppor. Jerzy Jaszczołt przeprowadził gruntowne szkolenie strażackie oraz zaopatrzył Straż w niezbędny sprzęt, włącznie z wozem strażackim. Wóz ten, przerobiony z osobowego samochodu Chevrolet, niejednokrotnie przewoził pracowników do domu po godzinie policyjnej. Służył również do przewożenia [podziemnych] biuletynów i komunikatów kolportowanych wśród pracowników”.

KOMENTARZ PARTNERA

GRZEGORZ CYDEJKO

dyrektor Biura Relacji i Komunikacji w PZU



W PZU, firmie czerpiącej inspirację z tradycji wpisanej w historię Polski, uważamy że bardzo istotne jest pielęgnowanie pamięci o przeszłości. Dlatego po raz kolejny stajemy ramię w ramię z Muzeum Powstania Warszawskiego, by wspólnie oddać hołd bohaterom sierpnia 1944 r. Chcemy, by rocznica Powstania Warszawskiego była nie tylko wspomnieniem minionych wydarzeń, lecz także żywą lekcją dla przyszłych pokoleń: dzieci, które dopiero poznają znaczenie słowa „patriotyzm”, młodzieży poszukującej wzorców i wszystkich, dla których ważne jest, by każde pokolenie mogło czerpać siłę z dziedzictwa powstania. 1 sierpnia od godz. 15:00 zapraszamy wszystkich do parku Wolności przy Muzeum Powstania Warszawskiego – miejsca, gdzie spotykają się pokolenia. Jesteśmy dumni, że razem z muzeum możemy zaprosić na międzypokoleniowe spotkanie, gdzie przekazujemy sobie najszczytniejsze idee wspólnego polskiego życia. Razem z pracownikami PZU, ich rodzinami i wszystkimi, którzy chcą oddać hołd powstańcom, tworzymy przestrzeń na refleksję, rozmowy i chwilę ciszy. Ale także na budowanie wspólnoty – ponad czasem, ponad pokoleniami. W obliczu wydarzeń za naszą wschodnią granicą pamięć o Powstaniu Warszawskim nabiera jeszcze głębszego znaczenia – wolność nie jest dana raz na zawsze. Jako PZU czujemy się zobowiązani, by tę pamięć pielęgnować – z szacunkiem dla tych, którzy walczyli, i z troską o tych, którzy przyjdą po nas. ■

Członkowie OSP przy PZUW brali udział w walkach i gasili pożary w m.in: Teatrze Polskim, Prudentialu i siedzibie Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń „Orzeł”.

Aleksander Rzepkiewicz widział na własne oczy bombardowanie budynku PZUW i brał udział w akcjach gaszenia pożaru w czasie walk, ryzykując własnym życiem.

Tak opisuje akcję strażaków podczas pożaru Teatru Polskiego: „6 sierpnia. Dobiegają nas odgłosy zbliżających się czołgów. Warkot staje się z każdą chwilą coraz silniejszy. Podbiegamy do okna. Od Krakowskiego Przedmieścia ciągną czołgi, zatrzymują się na placu Kopernika i pomału kierują długie lufy na gmach PZUW. Nim zdążyliśmy skrócić do korytarza, potężne wybuchy wstrząsnęły gmachem. Huk rozrywających się pocisków i walących ścian powoduje niesamowite wrażenie, gęste tumany ceglatego pyłu momentalnie zapełniają hol gmachu, tamują oddech w piersiach. (...) Nowa wiadomość o ogniu na dachu Teatru Polskiego podrywa zmęczonych już chłopców do akcji. Część strażaków udaje się podziemiami na teren teatru, część rusza na czwarte piętro, by przez okna budynku PZUW wejść na dach teatru. Ogień ogarnia część dachu pokrytego papą. Kłęby żrącego i duszącego dymu zasłaniają nam widoczność, łzy i kaszel utrudniają pracę. W pewnym momencie dolatują nas strzały karabinowe. To zapewne Niemcy usadowieni w Uniwersytecie [Warszawskim]. Jurek zarządza wycofanie się bliżej nadbudówki na dach teatru. Zabezpieczeni w ten sposób przed pociskami, kierujemy strumienie wody z trzech węży. Stopniowo pożar wygasa”.

O brawurowych akcjach strażaków pisal również w depeszy naczelny dyrektor PZUW do Rejonowej Delegatury Rządu Warszawa-Śródmieście na ręce kpt. Pawła: „Ze względu na konieczność obrony gmachu PZUW przy ulicy Kopernika 36/40, uruchomiona została staraniem Zakładu Zakładowa Straż Pożarna zaopatrzona w sprzęt pożarniczy, która funkcjonowała pod dowództwem por. Jerzego Sulimy-Jaszczołta pseudonim »Florian«. Powyższa Straż Pożarna czynna była w gmachu PZUW również od chwili rozpoczęcia się działań wojennych tj. od dnia 1 sierpnia 1944 i między innymi uchroniła od spalenia gmach Teatru Polskiego (...)”.

Dziś, gdy mijamy odbudowane budynki, rzadko myślimy o tym, że te mury były świadkami odwagi i poświęcenia takich ludzi jak my. Pamiętajmy o nich – o strażakach, kurierach, konspiratorach i zwykłych pracownikach, którzy w czasie wojny walczyli o wolność Warszawy i Polski.

Źródło: Zbigniew Gluza „Dwa wieki zaufania 1803–2013”. Ośrodek KARTA, 2013.

Autorka tekstu jest specjalistką ds. komunikacji wewnętrznej, Biuro Relacji i Komunikacji w PZU



ŚWIADKOWIE I ŚWIADECTWA

Jak ułan *obronił* katedrę

Bolesław Zawalicz-Mowiński za obronę warszawskiej katedry św. Zygmunta dostał awans i krzyż Virtuti Militari. Czy po wojnie też powierzano mu specjalne misje?



Powojenna konferencja w brytyjskiej strefie okupacyjnej (od prawej): Jan Feldt, Bolesław Zawalicz-Mowiński, nn, mjr Stanisław Bąk, Kazimierz Odrębny (zasłania rękoma twarz)

MAREK KOZUBAL

„Rano razem z »Teresą« (Teresa Potulicka-Łatyńska) zostaje odkomenderowana do drugiego plutonu por. »Andrzeja« (Jerzy Kowalczyk), który zmienia oddział broniący katedry św. Jana. Katedra nie jest zniszczona. Wprawdzie okna są wybite, a ściany огоłcone z niektórych cennych dzieł sztuki, noszą wyraźne ślady toczących się tutaj walk, ale mury zewnętrzne i sklepienia są prawie nienaruszone, a drewniane wyposażenie wnętrza w całości” – wspominała Barbara Gancarczyk-Piotrowska, sanitariuszka AK ps. „Pająk”.

„Katedra w ciągu pierwszej połowy sierpnia paliła się kilkakrotnie. Jakoś udawało się zawsze gasić ogień w zarodku. Pożar, który strawił ją doszczętnie, zaczął się 16 sierpnia w południe. Niemcy podpalają pociskami zapalającymi domy po drugiej stronie Dziekani. Na skutek silnego wiatru ogień przenosi się szybko na boczną kaplicę, prezbiterium i nawy. Grupa mężczyzn próbuje go gasić. Ktoś taszczy nawet węża strażackiego. Cóż, kiedy znikome ilości wody unicestwiają wszelkie wysiłki. Zgromadzone książki, drewniane boazerie, ławki, obicia stopniowo padają pastwą płomieni. Na zewnątrz kościoła od Kanonii nasi chłopcy wzmacniają naprędce barykadę. Katedra jest najbardziej wysuniętym punktem Starówki od strony wschodniej. Ruiny zamku oraz budynki pod skarpą wiślaną zajęte są przez Niemców i własowców. Nieprzyjacieli podchodzi wypalonymi ruinami Kanonii” – opisywała po latach sanitariuszka „Pająk”.

Dowódca oddziału, którego zadaniem było odbicie z rąk Niemców i utrzymanie katedry, był rotmistrz Bolesław Zawalicz-Mowiński, który dopiero w lipcu 1944 r. rozkazem komendanta głównego AK został przeniesiony do Warszawy, aby rozpocząć służbę w zgrupowaniu, którym dowodził mjr Stanisław Błaszczak „Róg”. Obejmowało ono swoim zasięgiem Stare Miasto, Muranów i Powiśle.

Umiejętne dowodzenie i bohaterstwo

Od wybuchu powstania Zawalicz-Mowiński pełnił funkcję zastępcy dowódcy, a podczas niemieckiego ataku na Stare Miasto dowodził oddziałem, który walczył w katedrze. – Oddział dowodzony przez Zawalicza-Mowińskiego nie tylko realizował to zadanie pomimo wielkich strat, ale przede wszystkim przyczynił się do przedłużenia obrony Starego Miasta – uważa dr Łukasz Wolak, historyk, biograf oficera.

„Jako dowódca obrony St. Miasta zależało mi na najdłuższym utrzymaniu tej potężnej budowli, która rygowała n[ieprzyjacie]lowi

dostęp od strony placu Zamkowego i Wisłostady w głąb naszej obrony. Załoga katedry zmuszona była przejściowo ustąpić. Wysłane posiłki pod d[owódz]twem mjr. Zawalicza-Mowińskiego, z-cy d-cy Zgrupowania »Róg«, odbiły katedrę, a dzięki umiejętnemu dowodzeniu i bohaterstwu d-cy walka w samej katedrze trwała przez kilka dni – w warunkach niezwykle ciężkich – walczone na krążgankach i pomiędzy filarami i o każdą nawę. Utrzymanie katedry uniemożliwiło n[ieprzyjacie]lowi wdarcie się na St[ary] Rynek i przedłużyło obronę całej Starówki. Zawdzięcza się to przede wszystkim osobistej odwadze, ofiarności i uporowi w walce d-cy kierującego obroną katedry” – wspominał płk. Karol Ziemiński ps. „Wachnowski”, dowódca grupy Północ.

Błaszczak pisał o nim w powojennej opinii służbowej: „Samodzielny, pełen inicjatywy. Odważny i spokojny. Bez przerwy na stanowisku. Ranny. W trakcie leczenia wrócił na linię”. Jeszcze w czasie trwania Powstania przedstawił Zawalicza-Mowińskiego do awansu na stopień majora. Otrzymał go 1 października 1944 r. na podstawie decyzji dowódcy Armii Krajowej gen. dyw. Tadeusza Bora-Komorowskiego. Za zasługi w odbiciu katedry mjr Błaszczak przedstawił wniosek płk. Ziemińskiemu o odznaczenie Zawalicza-Mowińskiego. W uzasadnieniu napisał: „Dnia 21-23 sierpnia 1944 r. jako dowódca obwodu Zgrupowania »Róg« przeprowadził przeciwnatarcie na rejon ul. Kanonia – ul. Świętojańska. Zmusił nieprzyjaciela do opuszczenia zajętego rejonu, osadzając z powrotem załogę katedry jako najważniejszego punktu broniącego dostęp do Rynku Starego Miasta. Odbicie katedry przedłużyło obronę odcinka Starówki. Wykazany osobistym bohaterstwem, trafną oceną sytuacji i umiejętnością dowodzenia zasłużył na odznaczenie Krzyżem Virtuti Militari kl. V”. Jednak rozkaz o jego nadaniu nie ukazał się – na co wskazuje dr Wolak – w dzienniku rozkazów komendanta Okręgu Warszawskiego, a co za tym idzie, Zawalicz-Mowiński nie został nim odznaczony podczas powstania, ale kilka lat później.

Jego zgrupowanie brało udział jeszcze w walkach nieopodal gmachu PKO, Domu Profesorów, szkoły na Rybakach, Starej Prochowni i bloków położonych pod skarpą. Wraz ze swoim oddziałem przedzierał się kanałami do Śródmieścia.

Dzień po kapitulacji powstania Zawalicz-Mowiński rozkazem komendanta okręgu Armii Krajowej gen. bryg. Antoniego Chruściela „Montera” otrzymał Krzyż Walecznych po raz pierwszy. Dwa dni później, czyli 5 października 1944 r., wraz z dowódcą i grupą żołnierzy AK trafił do niewoli. Niemcy prze-



Bolesław Zawalicz-Mowiński

transportowali go najpierw do obozu Bergen-Belsen, a następnie Fallingb., Gross-Born, a potem do Sandbostel. Wolność przyniosła mu armia brytyjska.

Student, rolnik, ułan

Kim był Bolesław Mowiński? Urodził się w małej miejscowości Skrzyszewo w powiecie kartuskim. Dzieciństwo spędził w majątku rodziców, którzy zadbał o jego edukację. Już jako młody chłopak zaangażował się w pracę niepodległościową. Bolesław otrzymał Medal Niepodległości i Honorową Odznakę Frontu Pomorskiego. W marcu 1920 r. zaciągnął się do wojska i walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Został ranny. Po zakończeniu wojny rozpoczął studia na Uniwersytecie Poznańskim, które kontynuował na Uniwersytecie w Królewcu oraz Uniwersytecie w Bonn. Znał niemiecki, angielski, francuski i rosyjski. Po studiach zajął się zarządzaniem rodzinnym

majątkiem. Otrzymał stopień doktora inżyniera rolnictwa.

W marcu 1939 r. powrócił do służby wojskowej. Został dowódcą szwadronu w 16. pułku ułanów. Kilkadziesiąt dni przed wybuchem wojny otrzymał awans na stopień rotmistrza rezerwy kawalerii. Wziął udział w bitwie nad Bzurą. Został ranny, ale ze szpitala w Żychlinie uciekł 6 listopada 1939 r. Trafił do konspiracyjnego mieszkania Jana Sokołowskiego – tym nazwiskiem posługiwał się w czasie konspiracji płk. Stefan Rowecki „Grot”. Otrzymał od niego rozkaz włączenia się w działalność konspiracyjną i budowania struktur ZWZ w obwodzie Sanniki. Organizował m.in. przerzuty graniczne. Zajmował się również działalnością wywiadowczą w dawnych Prusach południowo-wschodnich.

Po reorganizacji struktur podziemia z ZWZ w Armii Krajowej, Zawalicz-Mowiński został przeniesiony do komendy obwodu AK Węgrów i Sokołów, gdzie pełnił funkcję oficera informacji oraz kwatermistrza. W czasie konspiracji posługiwał się kilkoma pseudonimami: „Zawalicz”, „Gończ”, „Witold”, „Stef”, „Dyrektor”.

Powojenna misja

W 1945 r. po uwolnieniu z niewoli nie chciał wracać do komunistycznej Polski. Po zakończeniu wojny zaangażował się w Niemczech w tworzenie organizacji jeńców wojennych oraz żołnierzy odmawiających powrotu do kraju, w tym w Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Niedługo potem wywiad Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie zaczął przyglądać się działalności Mowińskiego. „Mjr Zawalicz-Mowiński – szef sztabu płk. Ziemińskiego. Oficer AK. W czasie konspiracji i powstania jeden z bliskich współpracowników Ziemińskiego. Był z nim razem w niewoli. Przed wojną zamożny ziemianin. Niezbyt bystry, umysłowość b[ardzo] przeciętna. Uczciwy, gładki w obejściu. Wysokiego mniemania o sobie. Uważa siebie za zręcznego dyplomata, polityka. B[ardzo] lubi mówić o sobie. Typ uczuciowca, fanatyka. Pała nienawiścią do ZSRR i rządu Rzeczypospolitej Polskiej. O rządzie wyraża się jako o agentach obcego mocarstwa. Wróg repatriacji. Wywiera duży wpływ na Ziemińskiego, z którego stara się robić bożka, przyjmując na siebie rolę kapłana” – charakteryzował go agent komunistycznej bezpieki.

Zawalicz-Mowiński miał styczność z liderami polskiej emigracji – Augustem Zaleskim, gen. Władysławem Andersem, Tomaszem Arciszewskim. Znał również Tadeusza Kobylańskiego. – Wraz z Emerykiem Huttenem-Czapskim realizował misję, którą zlecił im senator Kobylański. Chodziło o zbadanie, czy i w jakiej formie będą możliwe kontakty bezpośrednie między rządem polskim w Londynie a rządem w Bonn, oraz o zwrócenie uwagi w kręgach rządowych w Bonn na losy Polaków w Niemczech – wskazuje dr Łukasz Wolak.

W meldunku Wincentego Broniwoja-Orlińskiego, który w latach 50. podjął współpracę z komunistycznymi służbami pod pseudonimem „Weber”, można przeczytać: „Odnosi się [do] linii polskiej, to od czasu wyemigrowania mego wodza pułk. Swobody-Lubczyńskiego do Ameryki miejsce jego zajął p. płk Zawalicz-Mowiński (...), który przedstawił mi analogiczne ogólnie sztabowe uporządkowanie – czyli moją bezpośrednią podległość służbową. Od tej więc pory w sprawach służbowych polskich zwracałem się do wyżej wymienionego p. płk. Zawalicza. Jemu też składałem sprawozdania z przebiegu mojej pracy u Amerykanów”. Zdaniem Łukasza Wolaka meldunek Orlińskiego wskazuje na aktywne zaangażowanie Zawalicza-Mowińskiego w działalność siatki wywiadowczej na terenie RFN.

Zawalicz-Mowińskim interesowała się także Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej w Bydgoszczy. Powodem było podejrzenie, że pracował dla zachodnioniemieckiego wywiadu. Nie ma na to dowodów.

W lutym 1954 r. Zawalicz-Mowiński przeniósł się do Kanady. Zamieszkał w Toronto i pracował w firmie ubezpieczeniowej. Czy kontynuował swoją służbę w cieniu? W tym czasie decyzją naczelnego wodza awansował na stopień podpułkownika. W 1990 r. prezydent RP na uchodźstwie w Londynie – Ryszard Kaczorowski – na wniosek ministra spraw wojskowych awansował wszystkich żołnierzy PSZ na emigracji o stopień wyżej.

Pułkownik zmarł 31 stycznia 1993 r. w wieku 90 lat. /©©

MATERIAŁ PARTNERA PGE

Elektrownia Powiśle: energia dla walczącej Warszawy

36 dni bronili swojego zakładu energetycy z Powiśla. Równie ważne jak opór było ich wsparcie dla szpitali, piekarni i wytwórni broni.

1 sierpnia 1944 r. pracownicy Elektrowni Powiśle o Godzinie „W” stanęli do walki w Powstaniu Warszawskim. Współtworzyli oddział dyrektora elektrowni – kpt. Stanisława Skibniewskiego „Cubryny”. Ich zadaniem było odbicie zakładu z rąk niemieckiego okupanta. Udało im się to już pierwszego dnia. Przez kolejne 36 dni i nocy walczyli z Niemcami i – co najważniejsze – zdołali utrzymać dostawy energii elektrycznej dla walczącej Warszawy, co pozwoliło funkcjonować walczącemu miastu.

W okupowanej Warszawie Elektrownia Powiśle była jednym z najważniejszych strategicznych obiektów. Dobrze wiedzieli o tym Niemcy, którzy w celu obrony zakładu przed możliwym atakiem ze strony Polaków zabezpieczyli budynek, stawiając m.in. bunkry i zasieki z drutu kolczastego. Dodatkowo w elektrowni stacjonowali także żołnierze Wehrmachtu oraz kompania Werkschutzu (wewnętrznej służby ochrony).

Ponadto w Elektrowni Powiśle przez całą okupację niemiecką działała także dobrze zorganizowana konspiracja polska. Dowodził nią dyrektor Stanisław Skibniewski.

Woda do piwnic

To właśnie pracownicy elektrowni stanęli do walki 1 sierpnia 1944 r. w obronie Elektrowni Powiśle. Sygnałem do rozpoczęcia ataku była detonacja ładunku wybuchowego zamontowanego przez plut. pchor. inż. Wincentego Szantyrę „Ursyna” i plut. pchor. inż. Feliksa Wodzyńskiego „Semka” za ścianą koszar niemieckich na parterze budynku technicznego. Po detonacji z górnych kondygnacji budynku zaatakowali żołnierze dowodzeni przez podporuczników inż. Antoniego Zycha „Lecha”, Stanisława Cendrowskiego „Sulimczyka” oraz inż. Mirosława Czajkowskiego „Kaliny”.

Z czasem powstańcom udało się wyprzeć siły niemieckie do piwnic, co jednak nie ułatwiło sytuacji energetyków, gdyż warunki sprzyjały broniącym się okupantom. Niemiecki opór w piwnicach został złamany dopiero dzięki wpompowaniu do piwnic wody, co doprowadziło do złożenia przez nich broni.

Prowizorka na wagę życia

W trakcie powstania Elektrownia była dobrze działającą jednostką. Na jej terenie została utworzona m.in. kuchnia, szpital oraz warsztat wytwarzania broni i amunicji. Jednak jej kluczowym zadaniem było dostarczanie energii walczącej Warszawie. Pomimo częstych ataków ze strony wroga pracownicy robili wszystko, aby w tak trudnych warunkach zachować ciągłość dostaw prądu dla

Warszawy. Zadaniem energetyków z Powiśla było również podłączanie prowizorycznymi liniami do prądu piekarni, punktów dowodzenia, a także szpitali i warsztatów służących powstańcom oraz odłączanie zasilania dzielnicom opanowanym przez niemieckie oddziały.

Energetycy z Elektrowni Powiśle wytrwali 36 dni i nocy walki. 3 września runęła nastawia elektrowni, a dzień później, 4 września, Niemcy rozpoczęli generalny szturm na Powiśle, w wyniku którego, w trakcie bombardowania, unieruchomiona została cała elektrownia, pozbawiając Warszawę prądu. obrońcy przetrwali jeszcze cały ten dzień i noc, a 5 września po południu w związku z brakiem amunicji na rozkaz „Cubryny” oddział wycofał się z elektrowni. 6 września padło całe Powiśle.

Energetycy z Powiśla walczyli w Warszawie aż do kapitulacji powstania 2 października 1944 r. Podczas II wojny światowej zginęło 450 pracowników Elektrowni Powiśle, zarówno w walce na frontach, jak i w obozach koncentracyjnych. 26 z nich zostało odznaczonych Orderem Virtuti Militari.



Powstańcy na terenie Elektrowni Miejskiej podczas walk z Niemcami

TADEUSZ BUKOWSKI / MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

DOWÓDCY W ELEKTROWNI POWIŚLE

STANISŁAW SKIBNIEWSKI, PS. CUBRYNA, NELSON



Inżynier elektryk, absolwent Politechniki Gdańskiej oraz kapitan artylerii Wojska Polskiego.

Od 1942 r. aż do wybuchu Powstania Warszawskiego pełnił funkcję dyrektora Elektrowni na Powiślu. W ramach swojej działalności na tym stanowisku zatrudniał wielu ludzi wyłącznie w celu zabezpieczenia ich przed łapaniami. Ponadto od 1942 r., w porozumieniu z władzami Armii Krajowej, współorganizował na terenie elektrowni

oddział Wojskowej Służby Ochrony Powstania (WSOP).

W chwili wybuchu Powstania Warszawskiego Skibniewski dowodził podległym Okręgowi Warszawskiemu Zgrupowaniem Użyteczności Publicznej WSOP „Elektrownia”, które działało na terenie I Rejonu Obwodu Śródmieście. Był także dowódcą oddziału szturmowego w Zgrupowaniu „Krybar”. W pierwszych dniach powstania dowodził odbiciem Elektrowni na Powiślu i bronił jej przed Niemcami aż do czasu przejścia oddziałów AK kanałami do Śródmieścia.

W czasie powstania Stanisław Skibniewski został odznaczony Krzyżem Walecznych oraz Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Po kapitulacji powstania trafił do jenieckiego obozu dla oficerów. ■

TADEUSZ JULIUSZ KAHL, PS. KOWALSKI



Polski elektryk, uczestnik wojny obronnej 1939 r., walczył w Powstaniu Warszawskim.

Pracę zawodową rozpoczął w 1932 r. w szefostwie budownictwa (wojskowego) przy Dowództwie Okręgu Korpusu w Warszawie. Zajmował się między innymi projektowaniem i nadzorem nad inwestycjami instalacji elektrycznych. Jeszcze przed wojną rozpoczął pracę w Elektrowni Warszawskiej. W 1939 r. brał udział w wojnie obronnej, walcząc m.in. w bitwie pod Kutnem w stopniu podporucznika. Po uniknięciu niewoli powrócił do pracy w Elektrowni Warszawskiej. Nadzorował prace związane

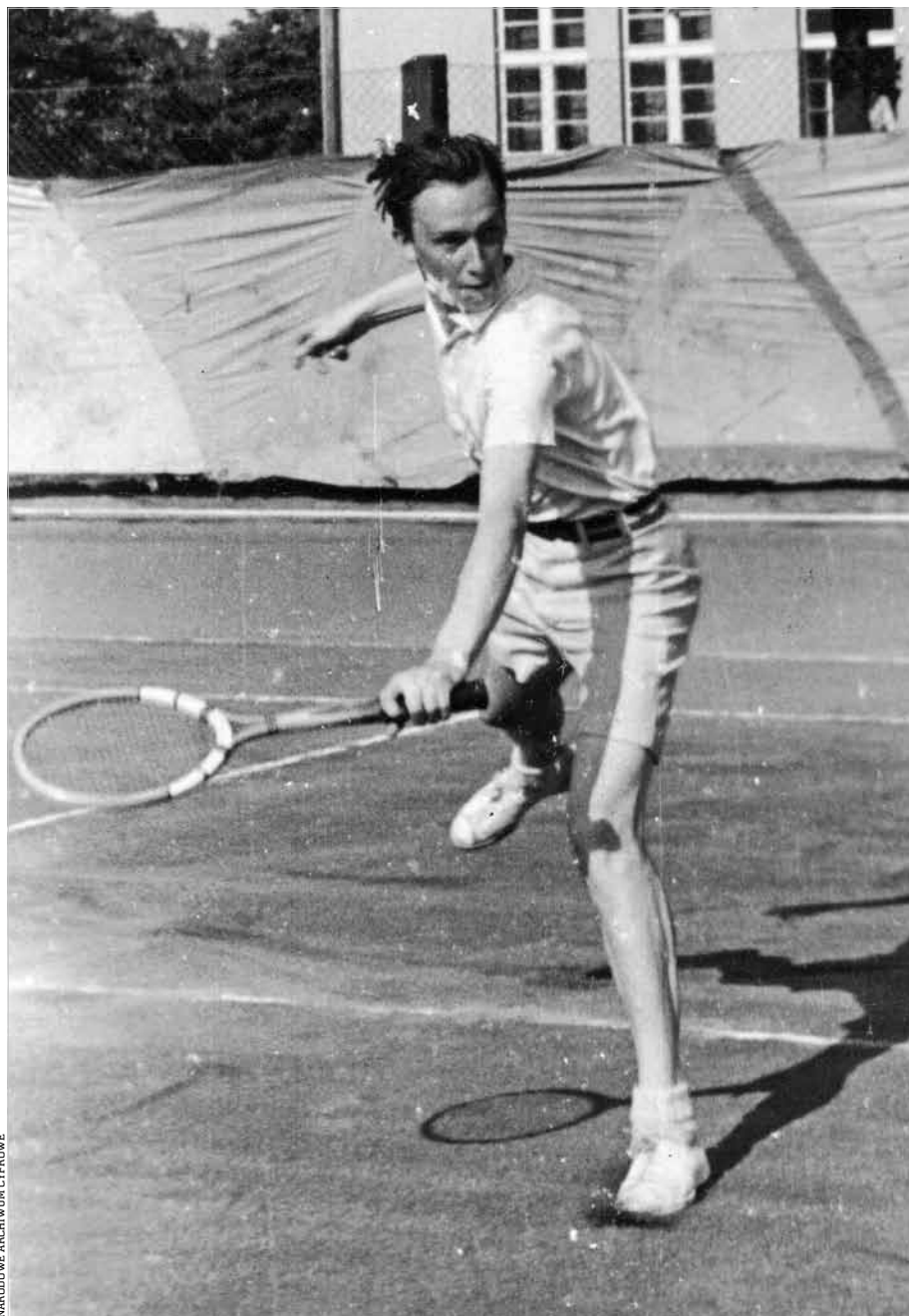
ze zmianą napięć sieci niskich i średnich napięć.

Od 1942 r. był żołnierzem Armii Krajowej pod pseudonimem „Kowalski”. Był przydzielony do Wojskowej Służby Ochrony Powstania i pełnił funkcję zastępcy dowódcy Zgrupowania „Elektrownia”.

Po upadku powstania Tadeusz Kahl został awansowany do stopnia porucznika i znalazł się w obozie jenieckim. Po wyzwoleniu wykładał elektrotechnikę ogólną i samochodowe urządzenia elektryczne na kursach mechaników samochodowych dla żołnierzy Brygady Spadochronowej Wojska Polskiego w Bramsche w okupowanych przez aliantów Niemczech. W latach 1949–1950 brał udział w opracowaniu koncepcji sieci miejskiej Warszawy. Był również współautorem i kierownikiem prac studialnych nad optymalizacją i niezawodnością układów sieci elektrycznych kilku innych miast. Uczestniczył także w pracach dotyczących określenia obciążeń projektowanej sieci metra. ■



Eugeniusz Lokajski „Brok” podczas powstania na rogu ul. Brackiej i Chmielnej



Tenisista Bohdan Tomaszewski w akcji

Z boisk na barykady

Bodaj najbardziej znanym sportowcem, który zginął w powstaniu był olimpijczyk Eugeniusz Lokajski „Brok”. Liczbę walczących sportowców można określić na kilka tysięcy.

STEFAN SZCZEPŁEK

Kilka tysięcy.... Dlaczego tak nieprecyzyjnie? Bo trudno powiedzieć, kogo w 1944 r. można było uznać za sportowca, skoro oficjalnie od zajęcia stolicy przez Niemców nie odbywały się żadne zawody sportowe, a kluby zostały zamknięte. Żadnych dokumentów, dotyczących udziału ludzi sportu w walkach nie ma.

Na podstawie (głównie ustnych) przekazów ustalono, że żołnierzami powstania było blisko ośmiuset sportowców wyczynowych. Wśród nich z pewnością znalazło się 26 polskich olimpijczyków. Dziewięciu z nich zdobywało na igrzyskach medale.

Bohdan Tomaszewski, który przed wojną należał do czołówki juniorów w tenisie, a potem stał się symbolem dziennikarstwa sportowego, stanął do walki już 1 sierpnia. Opowiadał o tym w dniu swoich 90. urodzin, na początku sierpnia 2011 roku. Z tej okazji Polski Komitet Olimpijski zorganizował w swojej siedzibie uroczystość, na którą jubilat zaprosił kilkanaście swoich gości.

Miałem honor znaleźć się wśród nich i podać rękę towarzysowi broni redaktora, legendarnemu Zbigniewowi Ścibor-Rylskiemu. 94-letni wówczas generał, dowódca kompanii w Batalionie Czata 49 Zgrupowania Radosław przyszedł w mundurze lotnika, pełnym baretek na piersi. Wysoki, wyprostowany, pomagał sobie laską, ale prezentował się wciąż znakomicie i godnie. Zmarł w roku 2018, w wieku 101 lat. Przeżył Tomaszewskiego o trzy lata.

Batalion tenisistów

Pan Bohdan opowiadał o akcji batalionu „Ruczaj”, który już 1 sierpnia zaatakował koszary SS przy Koszykowej 18 (budynek przedwojennego poselstwa Czechosłowacji). Wśród około sześćdziesięciu żołnierzy znaleźli się tenisiści: m.in. Ksawery Tłoczyński „Orlik”, Antoni Smordowski „Teodor”, Czesław Spychała „Żyłka” oraz mistrz Polski w pięcioboju i zarazem czołowy lekkoatleta Warszawy Tadeusz Hanke.

Nazywano ich „grupą tenisistów”. W walkach brali też udział inni tenisiści, reprezentanci Polski w meczach międzypaństwowych: brat Ksawerego Tłoczyńskiego – najlepszy przed wojną Ignacy, Jerzy Gottschalk oraz młodzi: Jan Strzelecki „Janek” (rocznik 1919) i właśnie Bohdan Tomaszewski „Mały” (jak na ironię przy wzroście ok. 190 cm), który w dziesiątym dniu powstania obchodził swoje 23 urodziny.

Sprawność fizyczna, kondycja i szczególne predyspozycje ich oraz dziesiątków innych sportowców miały duże znaczenie. Szybko biegali, skakali, a przede wszystkim daleko i celnie rzucali granatami lub butelkami z benzyną.

Atak na koszary przy ul. Koszykowej, chociaż okupiony stratami, zakończył się powodzeniem. Grupa kilkudziesięciu powstańców, bez większego przeszkolenia wojskowego, w porównaniu z Niemcami mniej liczna i bardzo słabo uzbrojona, zdołała odnieść zwycięstwo.

Walki trwały półtorej godziny. Powstańcy zdobyli wóz pancerny, ciężki karabin maszynowy, kilkadziesiąt automatów i zapasy amunicji. Wzięli do niewoli 72 jeńców, a nad zdobytym budynkiem wywiesili biało-czerwoną flagę. Kiedy ul. Koszykową prowadzili jeńców do gmachu biblioteki ludzie wiwatowali, a z okien rzucano kwiaty.

Za tę akcję Ksawery Tłoczyński odznaczony został przez dowódcę Armii Krajowej generała Tadeusza Bora-Komorowskiego (w przeszłości reprezentacyjnego jeźdźcę i szefa polskiej ekipy na igrzyskach w Berlinie) Krzyżem Walecznych i awansowany na stopień oficerski.

Krzyżem Walecznych odznaczono też Ignacego Tłoczyńskiego „Igo”, który został ciężko ranny w budynku przy ul. Jasnej 9, gdzie znajdowała się kwatera główna Armii Krajowej. Przeżył cudem, wyciągnięty przez towarzyszy spod gruzów.

Podczas ataku na koszary SS ranny został Czesław Spychała „Żyłka”, deblowy partner Ignacego Tłoczyńskiego w reprezentacji i partner w mikście pierwszej polskiej mistrzyni olimpijskiej, dyskobolki Haliny Konopackiej. Poszukiwany przez Niemców ukrywał się pod nazwiskiem Marian Tworowski. Mimo to trafił do oflagu pod Salzburgiem, z którego wyzwolili go alianci. Spotkał się tam zresztą z kilkoma swoimi warszawskimi towarzyszami broni.

Spychała został żołnierzem 6. Pułku Pancernego Dzieci Lwowskich, wchodzącego w skład 2. Brygady Pancerniej generała Władysława Andersa. Osiadł w Londynie, gdzie był bardzo aktywny w środowisku tenisowym. Długo brał udział w turniejach amatorskich na Wimbledonie, pełnił rolę gospodarza kortów All England Tennis Club. Nie chciał wracać do komunistycznej Polski. Warszawę odwiedził jedynie raz po wojnie, dopiero po upadku komuny, w roku 1993. Zmarł rok później, w wieku 77 lat.

Powstania nie przeżył inny tenisista Jerzy Gottschalk „Jur”, mistrz Polski juniorów w barwach Legii. Pod koniec września otrzymał przydział do kompanii wartowniczej przy Hożej 29. 30 września zginął tam w wyniku ostrzału artyleryjskiego. Trzy dni później powstanie upadło. Gottschalk miał 26 lat.

Ignacy Tłoczyński, dwunastokrotny mistrz Polski po wojnie wyjechał do Szkocji (tam też zdobył tytuł mistrzowski) i nigdy już do kraju nie wrócił. Zmarł w Edynburgu, w roku 2000, w wieku 89 lat. O osiem lat młodszy brat – Ksawery po zakończeniu wojny pozostał w Warszawie. Mając 43 lata został jeszcze mistrzem Polski w deblu. Pracował jako trener w Legii i Warszawiance. Zmarł w 1985 r.

Jan Strzelecki „Janek” był z grona walczących tenisistów bodaj najmniej znany, ponieważ on dopiero zaczynał karierę, której nie zdążył rozwinąć. Podobnie jak Bohdan Tomaszewski był zawodnikiem Legii. Przyjaźnili się, tworzyli też deblową parę. Tomaszewski brał udział w walkach na Starym Mieście, ale nie miał przydziału. Strzelecki był żołnierzem IV Batalionu OW PPS im. Jarosława Dąbrowskiego oraz Zgrupowania „Żniwiarz”.

Obydwaj przeżyli wojnę. Tomaszewski został dziennikarzem, a Strzelecki – znanym socjologiem (a z zamiłowania narciarzem i taternikiem). Zauroczony początkowo ideami socjalizmu, współpracował z Komitetem Obrony Robotników, a w 1980 r. został doradcą „Solidarności” i członkiem komitetu ekspertów przy Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym. Po wprowadzeniu stanu wojennego internowano go na Białoleczę.

W czerwcu roku 1988 r. nieprzytomnego Strzeleckiego znaleziono przy ul. Karowej nad



Tablica upamiętniająca generała brygady Zbigniewa Ścibor-Rylskiego

Wisłą. Został ciężko pobity, zmarł kilkanaście dni później. Chociaż skazano sprawców, popołitych opryszków, to nikt nie miał wątpliwości, że za tym mordem stała Służba Bezpieczeństwa.

Bohater i wróg

Fakt, że w jednej z pierwszych akcji powstania brała udział niemal cała reprezentacja Polski w tenisie wynikał z przypadku, ale i faktu, że wszyscy dobrze się znali. Działali zresztą już od dawna w ZWZ i AK, czasami startowali w konspiracyjnych zawodach, a nawet – jak w przypadku piłkarzy – w mistrzostwach Warszawy. Do powstania stanęli lekkoatleci, piłkarze, zapaśnicy, pięściarze, hokeiści, siatkarze, jeźdźcy... Każdy zgodnie ze swoim przydziałem organizacyjnym. Przypadek tenisistów, którzy całą reprezentacją stanęli do walki, był wyjątkowy.

W tej wyjątkowości znalazło się coś jeszcze. Rakietą numer 2 w Polsce (po Ignacym Tłoczyńskim) był przed wojną hrabia Adam Baworowski. Syn Polaka i Austriaczki do Anschlusu Austrii reprezentował barwy tego kraju, a potem Polski. W maju 1939 r. wystąpił po naszej stronie na kortach Legii w słynnym meczu daviscupowym z Niemcami. Po wybuchu wojny trafił do niemieckiej niewoli, skąd wydostała go austriacka rodzina. Baworowski został jednak w Niemczech, a w 1942 r. powołano go do Wehrmachtu i wysłano na front wschodni. Zginął pod Stalingradem. Nigdy nie czuł się Niemcem.

Jednym z najsłynniejszych sportowców walczących w powstaniu był rotmistrz Henryk Roycewicz „Leliwa”. To srebrny medalista olimpijski z Berlina we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego. Polacy startowali w składzie: rtm. Henryk Roycewicz na koniu Arlekin III, rtm. Seweryn Kulesza na Tośce oraz rtm. Zdzisław Kawecki na Bambino. Zgodnie z opiniami ówczesnych obserwatorów niesprawiedliwe decyzje sędziów niemieckich pozbawiły Polskę złotego medalu w konkurencji drużynowej.

Roycewicz jako dowódca szwadronu walczył w kampanii wrześniowej. W boju z Armią Czerwoną został ciężko ranny i trafił do sowieckiej niewoli. Dochodził do zdrowia w prymitywnych szpitalach, ukrywając swoją tożsamość. Dzięki temu najprawdopodobniej uniknął losu polskich oficerów, który zginęli w Katyniu. Jeszcze przed agresją Niemców na ZSRR, w wyniku wymiany jeńców trafił do Generalnej Guberni i ostatecznie zamieszkał w Warszawie. Był oficerem Armii Krajowej w dzielnicy Śródmieście, mianowano go dowódcą batalionu „Kiliński”.

Po wybuchu powstania Roycewicz „Leliwa” walczył na terenie całego miasta – od Żoliborza na północy, Powiśla i Czerniakowa na południu i Woli na zachodzie. To Roycewicz dowodził batalionem „Kiliński”, który po ciężkich walkach zdobył dwa najwyższe budynki w Warszawie – Prudentialu na Placu Napoleona, a przede wszystkich gmach PASTy przy Zielnej, 20 sierpnia. 8 września, w ataku na kino Colosseum przy Nowym Świecie, został ciężko ranny. Leczone go w szpitalu wojskim, skąd jednak musiał uciekać w przebraniu, bo cały czas poszukiwało go gestapo.

Dla nowych powojennych władz też był osobą podejrzaną. Bohaterstwo i awans na podpułkownika, nadany przez Komendę Główną AK, działały przeciwko niemu. Oskarżony o próbę obalenia ustroju socjalistycznego w roku 1949 trafił do więzienia przy Rakowieckiej. Skazano go na sześć lat pozbawienia wolności.

Rehabilitacji doczekał się w 1957 r., już po Październiku. Do końca życia zajmował się końmi. Najpierw na służewickim torze, potem w Legii, której sekcja jeździecka działała w Starej Miłosnej.

Był kawalerem orderów Virtuti Militari, Krzyża Walecznych, Krzyża Armii Krajowej. Zmarł w 1990 r., w wieku 92 lat. Spoczął na Powązkach wojskowych, w kwaterze swoich żołnierzy z batalionu „Kiliński”. Tuż po wojnie zadbał, aby wszystkich ekshumowano i pochowano w jednym miejscu na Powązkach. Dołączył do nich.

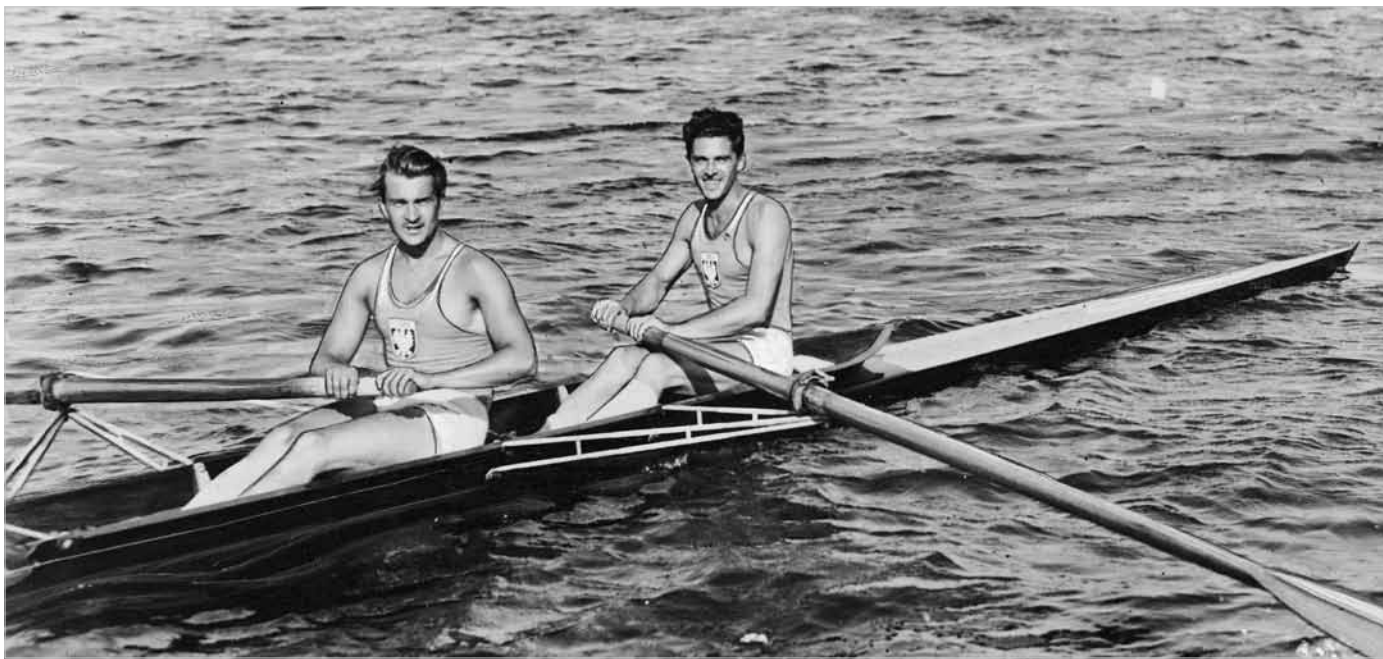
W sierpniu 2016 r. staraniem byłego sekretarza generalnego Legii płk Janusza Żbikowskiego oraz eksprezesa Polskiego Związku Jeździeckiego Marcina Szczypiorskiego na ścianie budynku PASTY odsłonięto tablicę pamiątkową, poświęconą Henrykowi Roycewiczowi. Z pewnymi trudnościami, ponieważ osoba, która w imieniu władz miasta zatwierdzała projekt uznała, że bohater ma rysy... Władimira Putina. Trzeba było nieco płasko-rzeźbę zmienić.

Smutne losy olimpijczyków

Henryk Roycewicz „Leliwa” był jednym z dziewięciu medalistów olimpijskich walczących w powstaniu. Żaden z nich nie zginął.

Rzeźbiarz i oficer Józef Klukowski, zdobywca złotego medalu olimpijskiego w konkursie sztuki w Los Angeles (1932) i srebrnego w Berlinie (1936, w obydwu w rzeźbie), ranny w powstaniu trafił do obozu w Sachsenhausen-Oranienburg. Zmarł tam pod koniec 1944 lub na początku 1945 r. Okoliczności jego śmierci nie są znane.

Drugim medalistą w dziedzinie sztuki był Stanisław Ostoja-Chrostowski (brązowy medal w Berlinie za drzeworyt). Specjalizował się w tworzeniu m.in. znaczków pocztowych i papierów wartościowych. Nosił kilka pseudonimów: „Dyrektor”, „Just”, „Korweta”, być może dlatego, że był szefem referatu informacyjno-wywiadowczego Komendy Głównej AK. W czasie powstania zbiegł z niemieckiego transportu i w styczniu 1945 r. wrócił do Warszawy. Został pierwszym po wojnie rektorem Akademii Sztuk Pięknych. Zmarł w 1947 r. w wieku pięćdziesięciu lat. Pochowano go w Alei Zasłużonych cmentarza na Powązkach.



Wioślarze **Edward Kobyliński** (z prawej) i **Ryszard Borzuchowski** podczas zawodów

Sprawność fizyczna, kondycja i szczególne predyspozycje sportowców miały podczas walk duże znaczenie. Szybko biegali, skakali, a przede wszystkim daleko i celnie rzucali granatami lub butelkami z benzyną

Jadwiga Wajsówna była jedną z najlepszych dyskobolek świata, zdobywczynią brązowego medalu olimpijskiego w Berlinie (1936) i brązowego w Los Angeles (1932). Podczas przesłuchania w Alei Szucha gestapowcy wybili jej zęby. Zaprzestali tortur, kiedy powiedziała im, że jest wicemistrzynią olimpijską z Berlina. Podczas powstania budowała barykady i kopała rowy.

Jej przyjaciółka Maria Kwaśniewska „Marylka”, brązowa medalistka olimpijska w rzucie oszczepem, we wrześniu 1939 r., pracowała jako sanitariuszka. Tę samą rolę pełniła podczas powstania. Uehonorowano ją Krzyżem Walecznych. W jej domu w Podkowie Leśnej znajdowali schronienie Polacy i Żydzi.

Kwaśniewska została zapamiętana nie tylko z powodu wyjątkowych osiągnięć sportowych (zdobywała tytuły mistrzyni kraju w koszykówce i piłce ręcznej – hazenie), ale i reakcji podczas dekoracji medalami na igrzyskach w Berlinie. Dwa pierwsze miejsce w rzucie oszczepem zajęły Niemki, więc wszystkie trzy medalistki zaprosił do łóża Adolf Hitler. Podobno na widok Kwaśniewskiej powiedział coś w rodzaju: „Taka mała Polka, a taka zdolna”. Na to „mała Polka” miała odpowiedzieć: „A herr kanclerz też nie za duży”.

Maria Kwaśniewska-Maleszewska żyła 94 lata, zbierając do końca życia zasłużone hołdy i uświetniając (często z Ireną Szewińską) roz-

maite sportowe uroczystości w całym kraju. Zmarła w 2007 r.

Powstańcami byli dwaj brązowi medalisci w wioślarstwie: Edward Kobyliński (Los Angeles, 1932) i Jerzy Ustupski (Berlin, 1936) oraz dwaj szermierze: Tadeusz Friedrich i Adam Papee. Każdy z nich zdobywał brązowe medale na igrzyskach w Amsterdamie (1928) i Los Angeles (1932).

Papee (urodzony w 1895 r. we Lwowie) to pionier szermierki w Polsce, jeden z założycieli Polskiego Związku Szermierczego. W konspiracji nosił pseudonim „Gil”, a walczył w rejonie Politechniki i ul. Polnej. W swojej książce „Na białą broń” pisze o swoim udziale w powstaniu bardzo krótko: „W tych dniach chodziłem po mieście z rozmaitymi poleceniami. Po mieście – jeżeli tak można było nazywać przedzieranie się przez piwnice, w których przebito przejścia, aby chronić się przed obstrzałem”.

Może robił tylko to, a może coś więcej i nie chciał pisać, kto wydawał mu polecenia. Książka wyszła w 1987 r., kiedy lepiej było nie przyznawać się do wojennej, choćby nawet boha-



Henryk Roycewicz na igrzyskach w Berlinie

terskiej przeszłości. Adam Papee zmarł w 1990 r. w wieku 95 lat, honorowany przez środowisko szermiercze do końca swoich dni.

Chłopak z sąsiedztwa

Szczególną rolę w powstaniu odegrał rodowity warszawiak porucznik Eugeniusz Lokajski „Brok”. To on jest autorem najbardziej znanych zdjęć z sierpniowych i wrześniowych walk. Siostra Lokajskiego przekazała fotografie do Muzeum Powstania Warszawskiego.

Lokajski był wszechstronnym sportowcem (w barwach Warszawianki i Policijnego KS): skoczkiem wzwyż, pięcioboistą, ale przede wszystkim oszczepnikiem. Podczas igrzysk w Berlinie zajął siódme miejsce, znacznie poniżej możliwości, ale startował z kontuzją.

Był jednym z niewielu wybitnych przedwojennych sportowców, którzy ukończyli studia w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego na Bielanach (dzisiejsza AWF). Pracował jako nauczyciel w-f w gimnazjum in. Mikołaja Reja i jednocześnie brał udział w zawodach.

Ponieważ ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy w Zambrowie, po wybuchu wojny w stopniu podporucznika dowodził plutonem. Pod Brześciem po 17 września 1939 r. aresztowali go Rosjanie, ale uciekł z niewoli, być może ratując się w ten sposób przed egzekucją w Katyniu.

Wrócił do Warszawy, zaczął działać w konspiracji. Po wybuchu powstania został oficerem łącznikowym kompanii sztabowej „Kosztą”. Ponieważ zajmował się fotografią (prowadził zakład fotograficzny w rodzinnym mieszkaniu przy Łuckiej 2), powierzono mu obowiązki dokumentalisty powstania. Robił zdjęcia i kręcił filmy z walk, także tych, w których sam brał udział (m.in. zdobycie PASTy).

Pod koniec września został dowódcą plutonu, którego zadaniem była obrona ruin Poczty Głównej przy Świętokrzyskiej. Powstańcy utrzymali placówkę, mimo że przez dwie doby pozbawieni byli pożywienia, wody i musieli liczyć każdy nabój.

Powstanie dogasało, należało sporządzić dokumentację fotograficzną powstańców i ludności cywilnej, którzy mieli opuścić miasto. Lokajski szukał więc niezbędnych materiałów fotograficznych, a wiedział, że może je znaleźć w sklepie przy Marszałkowskiej 129 (to jest dziś Plac Defilad, mniej więcej na wysokości ulicy Sienkiewicza).

Korzystałem z książek: „Sportowcy w Powstaniu Warszawskim” Zbigniewa Chmielewskiego, „Igrzyska życia i śmierci” Agnieszki Cubaly oraz „Za cenę życia. Sport Polski walczący 1939 – 1945” Bogdana Tuszyńskiego

Dziękujemy Wydawnictwu Skarpa Warszawska za możliwość publikacji tekstu, który ukazał się w książce Stefana Szczepłki „Warszawa idzie na mecz”

Z PIOSENKĄ DO POWSTANIA

Chłopiec spod „Parasola”

Piosenki powstańcze to fenomen nieznany w historii polskiej, a może i światowej kultury. Były ich dziesiątki, wiele przetrwało do dziś. Najpopularniejszą, „Pałacyk Michla”, napisał Józef „Ziutek” Szczepański, który mógłby być powojennym Hemarem. Gdyby przeżył.

WOJCIECH STANISŁAWSKI

Nic nie wiemy o tym, że marzyła mu się poetcka kariera. Ani o tym, żeby miał ochotę pisać teksty piosenek. W ogóle nie wiemy, kim byłby: ten tryb warunkowy, przywołany w znanym wierszu Wisławy Szymborskiej o Baczyńskim („Do pensjonatu w górach jeździłby/ na obiad do jadalni schodziłby...”), którego powinniśmy używać wobec całego pokolenia Kolumbów, stosuje się w pełni i do Józefa Andrzeja Szczepańskiego. Na zawsze zapamiętanego pod swoim pseudonimem Ziutek, nosił go, kiedy umierał 10 września w szpitalu powstańczym na Marszałkowskiej w wieku 22 lat.

Wojenne wejście w dorosłość

Skoro tak niewiele o nim wiemy, to skąd to skojarzenie z Hemarem? Może stąd, że miał tak niezwykłą łatwość rymowania, iż był w stanie napisać swój „Pałacyk Michla” i kilka innych piosenek pod niemieckim ostrzałem, w chwilach wolnych od żołnierskiej służby. A może wzięło się z podobieństwa temperamentu politycznego i artystycznego? Bo przecież pisał Hemar i śpiewane przez wszystkich piosenki, i zaangażowane antykomunistyczne wiersze. Tak jak „Ziutek”, który jako testament zostawił nam antysowiecką „Czerwoną zarazę”, a szerokiej publiczności znany jest ze skoczego „Pałacyku Michla”. To wszystko jednak tylko mogłoby się wydarzyć w jego życiu, a co wydarzyło się w rzeczywistości?

Opis dzieciństwa – jeśli nie sielskiego, to w każdym razie spokojnego, pod skrzydłami rodziców i Marszałka – nawet w najbardziej rozbudowanych biografiach Józefa Szczepańskiego zajmuje kilka wersów: podstawówka w Jabłonie, gimnazjum i liceum Władysława IV na warszawskiej Pradze, harcerstwo, wakacje w Jastarni, mała matura. We wrześniu 1939 ma 17 lat i wskakuje w dorosłość, najpierw wędrując z ojcem, radcą prawnym ministerstwa, na wschód, potem w pojedynkę przedzierając się do domu krewnych w Małopolsce.

Rodzina osiadła w majątku w Żurawiczkach niedaleko Rzeszowa – i tam mijają Ziutkowi kolejne trzy lata. Rok szkoły handlowej, nieregularne tajne komplety, nuda chwilami sielankowa (na zachowanych zdjęciach białowłosa prawie blondyn stoi obok panny z dorodnym warkoczem) pchnęły go do czynów. Szczepański dezerteruje z robót przymusowych, aresz-



Józef „Ziutek” Szczepański

towany przez gestapo trafia do obozu pracy w Dębicy, skąd ucieka, ukrywając się pod podwoziem ciężarówki...

Z kolegą z liceum, Tadeuszem Zalewskim, jesienią 1943 r. wyjeżdża do Warszawy, za jego przyczyną trafia na tajne komplety, ale i – co znacznie ważniejsze – do Grup Szturmowych Szarych Szeregów. Stamtąd, za sprawą Antoniego Sakowskiego (czyli „Mietka w kółko golonego” z „Pałacyku Michla”), do oddziału dywersji „Agat”, który stanie się początkiem powstańczego „Parasola”.

W ciągu paru miesięcy do momentu wybuchu powstania zdążył nie tylko ukończyć kurs Szkoły Podchorążych „Agrykola”, ale też wziąć udział w kilku najgłośniejszych akcjach. Uczestniczył w zamachu na Kutscherę w lutym 1944 r.; w odbijaniu ze szpitala rannego Bronisława Pietraszewicza „Lota”; w kwietniu brawurowo ucieka przed gestapo z lokalu konspiracyjnego przy Długiej, ostrzeliwując się i skacząc przez okno; w lipcu uczestniczy w Krakowie w (nieudanej) akcji wykonania wyroku na dowódcy policji i SS Wilhelmie Koppe. W tzw. między-

czasie ostrzeliwuje kilka pociągów wojskowych i bierze udział w kilku potyczkach. I pisze.

A piosenki śpiewały się same

W pierwszych wierszach widać, że pisał je licealista, który nasłuchiwał się piosenek legionowych, naśpiewał – harcerskich, naczytał na lekcjach polskiego Słowackiego. Może jeszcze Asnyka, może Staffa. Przy wszystkich ograniczeniach, jakie nakłada formuła „piosenki żołnierskiej”, która musi być pełna optymizmu i prostoty – żal, że tak mało w tych utworach śladu doświadczeń czasu wojny i wszechobecnej śmierci, a bodaj i etosu Szarych Szeregów. Owszem, co kilka wersów przywoływany jest granat „Filipinka”, „Gestapo” i „Krzyż Walecznych” – ale to tylko rekwiizyty. Równie dobrze większość tych piosenek mogłaby powstać za czasów Legionów. Bo też cały był „Ziutek” z II RP.

Trudno o lepszy tego przykład niż „Pałacyk Michla”, ułożony w piątym dniu powstania, w czasie walk, w których brał udział jako strzelec wyborowy najpierw na rogu Karolkowej i Żytniej, a potem – na Wolskiej, w tytułowym pałacyku Michlera. Zapis to sytuacji nader wierny, pojawia się w nim „najmorszy przelożony” – „Mietek”, intendentura, szafy i krowy, i panny, ze względu na które każdy chłopak chce być ranny. Piosenka ułożona została do melodii przewijającej się przez całe Dwudziestolecie. Podniosły wiersz Zygmunta Lubertowicza „Nie damy Popradowej fali” śpiewano po raz pierwszy w 1920 r., w dniach planowanego plebiscytu o sporne ziemie na granicy Polski i Czechosłowacji. A wróciła w 1938 r. po aneksji Zaolzia.

Tyle że z Dwudziestolecia byli wszyscy – i dlatego piosenki Ziutka „śpiewały się”, natychmiast podchwytywane były przez kolegów z batalionu, ulicę i miasto. Potencjał „Pałacyku Michla” rozpoznał nieomylnie Mieczysław Fogg i natychmiast włączył do swoich „koncertów ulicznych i szpitalnych”, które przeszły do legendy. Osmalone bibliografie powstańczych druków ulotnych wymieniają kilkanaście przedruków „Pałacyku...” jeszcze podczas niespełna 60 dni, jakie pozostały powstaniu – potem zaś nikt nie próbował już oszacować liczby publikacji, które idą w tysiące. A o pół kroku za „Pałacykiem Michla” idą przecież, jeśli chodzi o popularność, dwa inne wiersze-piosenki „Ziutka”: „Chłopcy silni jak stal” oraz „Ma Warszawa”. Wiadomo, jak bardzo potrzeb-

ne były takie utwory dla podniesienia ducha – jeszcze w 1942 r. „Biuletyn Informacyjny” ogłaszał konkurs „na Hymn Polski Podziemnej, marsz i piosenkę”.

Mniejsza zresztą o bibliografię, bo przecież sposób funkcjonowania piosenki jest szczególny: żyje, gdy jest śpiewana czy nawet nucona, podawana z ust do ust i nie zawsze potrzebuje zapisu słów czy nut. Tak stało się i z „Pałacykiem...”, i z „Warszawą...”, i z dwoma tuzinami innych utworów, należących do powstańczego kanonu, które przetrwały zakaz publicznych wykonań w czasach stalinowskich i niechęć władzy przez cały okres PRL. Oczywiście, co wie każdy etnograf, ceną za popularyzację bywa często anonimowość i brak precyzji. „Pałacyk Michla” czy (już nie Szczepańskiego) „Marsz Mokotowa” śpiewał lub przedrukowywał w powielaczowym śpiewniku każdy, nie troszcząc się specjalnie ani o poprawność wersji, ani o nazwiska twórców.

Pamięć o autorach przyszła dopiero po kilkudziesięciu latach, zna ich wielu uczestników akcji w rodzaju „Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki”, odbywających się od 2008 r. Ale poza „Pałacykiem Michla” najmocniej pamiętany wciąż jest ten jeden, najmroczniejszy.

Czerwona zaraza, czarna śmierć

Uderza, że w czasie walki twórczość Szczepańskiego dojrzewała już nie z miesiąca na miesiąc, jak zdarza się czasem młodym poetom, lecz z dnia na dzień. Dowódcy drużyny 1. kompanii „Parasola” udaje się wycofać swój oddział z Woli („choć chłopców zginęła połowa”). Na placu Krasińskich awansuje na stopień plutonowego podchorążego. Dwukrotnie – 18 i 21 sierpnia – odznaczony Krzyżem Walecznych („u nas nie ma okazji ni mówek”). 25 sierpnia powstaje wiersz epitafium dla dowódcy 1. kompanii Stanisława Leopolda „Rafała”. A cztery dni później, 29 sierpnia, wiedząc o oddziałach sowieckich stojących z bronią u nogi, pisze swój utwór, jeśli nie najśmieszniejszy, to najbardziej dojrzały i na pewno najbardziej tragiczny: „Czekamy ciebie, czerwona zarazo/ byś ocaliła nas od czarnej śmierci”.

Jego nie ocaliła. Pierwszego września obejmuje po poległym Włodzimierzu Kalinowskim dowództwo tylnej straży Grupy Północ „Parasola”, osłaniającej ewakuację kanałami do Śródmieścia – i jeszcze tego samego dnia dostaje ciężki postrzał w brzuch. Niesiony kanałami, wyszarpywany spod gruzów zbombardowanego szpitala na Czackiego, kona jeszcze dziesięć dni.

Cena za napisanie dobrego wiersza bywa naprawdę wysoka. /©©

Tekst ukazał się w „Rzeczpospolitej” w 2014 r.



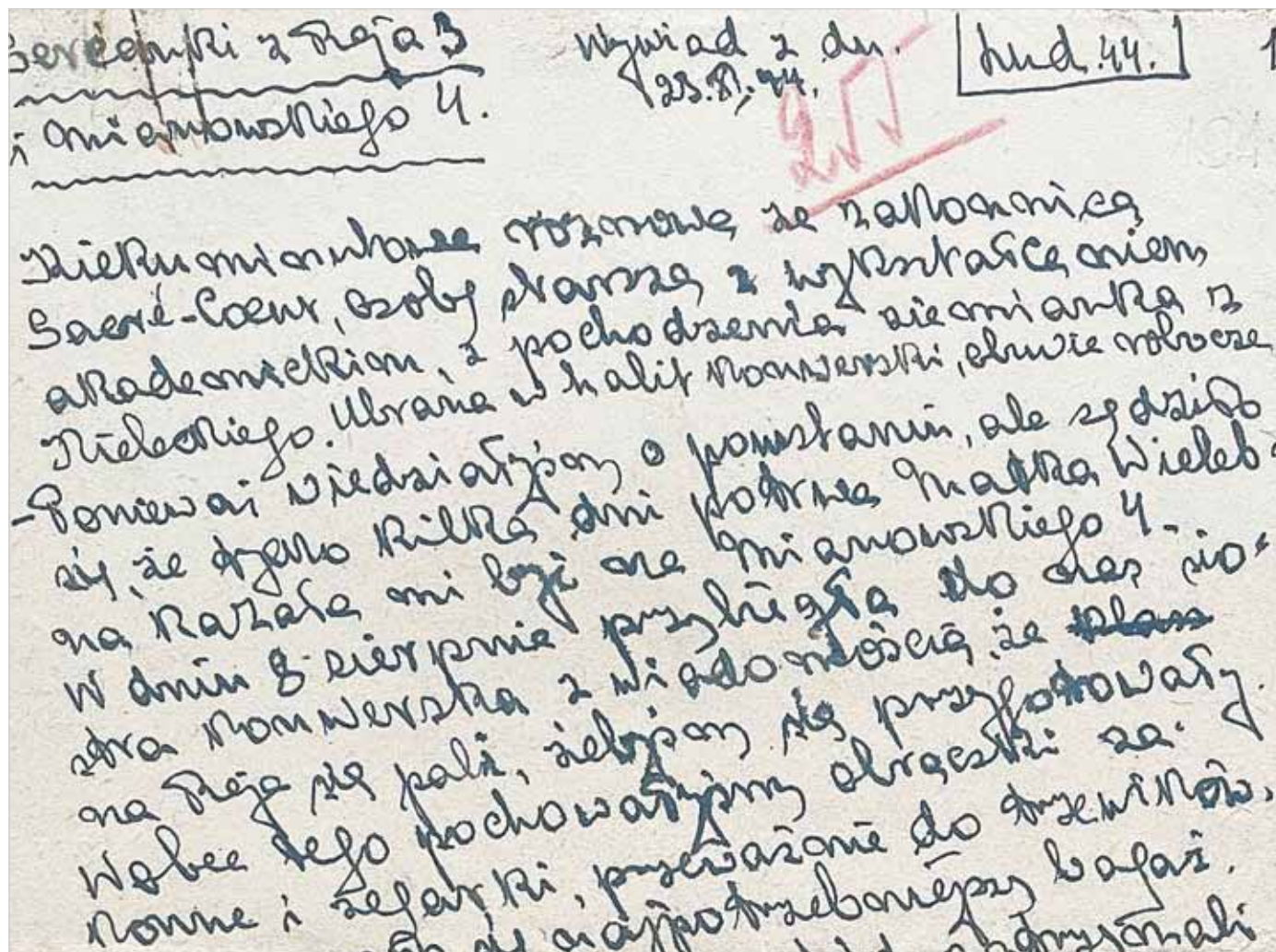
„Każdy chłopaczek chce być ranny/ sanitariuszki – morowe panny” – pisał „Ziutek” o koleżankach i kolegach z „Parasola”



Piosenki Józefa Szczepańskiego podnosiły na duchu powstańcze miasto

ŚWIADKOWIE I ŚWIADECTWA

Prawda w grozie przeżyć

Jeden **protokołów**, zawierający relację z dramatycznej sytuacji w powstańczej Warszawie

Edward Serwański

Edward Serwański

Przemierzać trzeba było rozległe tereny podwarszawskich skupisk pieszo. Kto zna letniskowe miejscowości podwarszawskie, ten wie, jak trudno zorientować się w labiryncie ulic, dróg i alei. W tych warunkach, w których szukanie chleba i kalki maszynowej spletało się z dyskusją nad charakterem dokumentów w pełną sprzeczności całość, niemało trzeba było mieć hartu ducha, aby utrzymać równowagę wewnętrzną, nie zrażać się trudnościami i pracy nie rzucić.

—Brwinów⁽⁷⁾

Powstanie trwało od dwóch tygodni, gdy w podwarszawskich miejscowościach zawiązała się grupa gotowa na bieżąco dokumentować niemieckie zbrodnie. Pod kryptonimem „Iskra-Dog” zapisywany był los ginącej stolicy.

W połowie sierpnia 1944 r. dwóch naukowców związanych przed wojną z Poznaniem rozpoczęło konspiracyjną akcję zbierania na gorąco relacji osób, wychodzących z walczącej stolicy. Byli to Edward Serwański (1912–2000), prawnik, członek konspiracyjnej organizacji „Ojczyzna”, emisariusz Biura Zachodniego Delegatury Rządu na Kraj oraz Zygmunt Wojciechowski (1900–1955), historyk, kierownik Wydziału Nauki Delegatury Rządu RP na Kraj. Zespół, początkowo niewielki, stopniowo zwiększył się do ponad stu osób. Byli wśród nich naukowcy i lekarze, robotnicy i rolnicy, wojskowi i pisarze, byli powstańcy i sanitariuszki. Akcja obejmowała na początku najbliższe podwarszawskie miejscowości: Brwinów, Milanówek, Pruszków, Piastów, Ursus, Włochy, Podkowę Leśną, Grodzisk Mazowiecki, Józefów, Nadarzyn i Komorów. Z upływem czasu jej uczestnicy docierali nawet do Skierniewic, Łowicza, Piotrkowa, Częstochowy i Krakowa.

Edward Serwański „Mietek”

W przeddzień wybuchu powstania warszawskiego zginął na ulicy Leszno postrzelony śmiertelnie sekretarz mojej komórki Sekcji Zachodniej D.I. [Departamentu Prasy i Informacji Delegatury Rządu na Kraj] Tadeusz Rajski. [...] Wracając z cmentarza [1 sierpnia], zostaliśmy zatrzymani pierwszą strzelaniną. [...]

Nie czekając, aż dojdą do naszego rejonu rozkazy [...], zdekonspirowałem się wobec mieszkańców domu [przy Elektoralnej 11] jako podporucznik Armii Krajowej [...].

Siódmego dnia wojska hitlerowskie zbliżyły się w rejon Elektoralnej. [...] W chwili, kiedy wychylałem się z bramy, aby zorientować się, co się dzieje na ulicy, zauważyłem z odległości 100 metrów żołnierza niemieckiego z bronią w ręku. Zbiegłem do piwnic, zrzuciłem z siebie czapkę wojskową, opaskę AK i w ostatniej chwili już jako cywil wmiszałem się w tłum.

—Warszawa, 7 sierpnia 1944⁽⁵⁾

Przemarsz przez Elektoralną był utrudniony z powodu zawałami ulicy gruzami, szczątkami palących się głowni... [...] Przeżycia własne każdego z nas, pędzonych jak bydło, zaszczu-

tych strachem, w obliczu ciągłego niebezpieczeństwa, w czasie trwania strzelaniny, na tle ruin i potwornego pożaru, urastały do miary czegoś niezmiernego.

—Warszawa, 7 sierpnia 1944⁽⁷⁾

Uszedłem z życiem w „marszu śmierci” – przez Wolę i kościół świętego Stanisława. Wywieziony [8 sierpnia] do Pruszkowa, uciekłem z dworca. [...]

W połowie sierpnia spisałem własną relację z powstania, a potem – przerażony nie tylko tym, co sam przeżyłem, ale czego zacząłem się sukcesywnie dowiadywać – rozwinąłem prace badawcze i propagowanie badań. Wcześniej odnalazłem w Brwinowie i Milanówku swe własne środowisko niepodległościowe, mianowicie organizację „Ojczyzna” i jej kierownictwo. Przedstawionymi pracami zainteresował się członek kierownictwa „Ojczyzny” prof. dr Zygmunt Wojciechowski [...], który z miejsca zaaprobował akcję i objął nad nią patronat naukowy.

—Brwinów⁽⁴⁾

Zdzisław Jaroszewski, członek Rady Politycznej „Ojczyzny”

Głównym miejscem kontaktów [dla członków organizacji] stał się wówczas dom Zygmunta Wojciechowskiego [...]. Dla przebywającej tam inteligencji dom znanego historyka stał się miejscem wymiany informacji i poglądów, wzmagający się zaś chaos, dezorientacja i strach okupantów przed zbliżającym się frontem utrudniały śledzenie podziemnego ruchu niepodległościowego.

—Milanówek⁽²⁾

Edward Serwański

Prace dokumentacyjne „wybuchły” nagle, tak jak samo powstanie. Moment nieuświadomienia sobie w społeczeństwie zbrodni i zła popełnionego przez Niemców, zaskoczenie, płynąca rzeka straszliwych skarg i niezmier-

nego bólu zalewały serca i myśli nawet tych, którzy nie stracili głowy, lecz zabrali się do wykonania pracy dokumentacyjnej w takiej formie, w jakiej w danym wypadku było to możliwe [...].

Mnożyły się relacje, zapiski, zeznania ofiar, protokoły nieznanym ludzi, przypadkowo spotykanych, przechodniów [...]. Ta specyficzna atmosfera, która wytworzyła się w ciągu pierwszych prac, była kamieniem węgielnym zaufania do świadków. Kierownicy dokumentacji dostawali relacje, których nie trzeba było sprawdzać, weryfikować, udowadniać. Prawda tkwiła w straszliwej grozie przeżyć. Zeznania przez swą zupełną zgodność wystawiały sobie wzajemnie certyfikat prawdziwości.

—Brwinów⁽⁷⁾

Z relacji p. Tarczyńskiej, zaprotokołowanej przez Edwarda Serwańskiego na stacji kolejowej

8 sierpnia około godziny 14.00 wpadli Niemcy na plac Żelaznej Bramy od strony Chłodnej i wrzucając do domów i piwnic granaty, nawoływali do opuszczania mieszkań. Pierwsze grupy osób, które opuściły palące się domy, Niemcy ostrzeliwali. Część osób przedarła się przez zaporę ognia, część padła, inni cofnęli się do płonących domów i najprawdopodobniej żywcem spłonęli. Wypędzonych poprowadzili Niemcy przez Wolę na Dworzec Zachodni i tego samego dnia wysłano ich do Pruszkowa.

—Rawka k. Skierniewic, 17 sierpnia 1944⁽⁷⁾

Zdzisław Jaroszewski, członek Rady Politycznej „Ojczyzny”

Na skrzyżowaniu dróg z Zalesia do Milanówka zobaczyłem kiedyś Edwarda Serwańskiego [...] z towarzyszką, którzy na przydrożnym kamieniu spisywali przeżycia warszawiaków uciekających z miasta.

—Milanówek⁽²⁾

Z okólnika numer 1 opracowanego przez Edwarda Serwańskiego

Zadaniem dokumentacji jest zebranie i opisanie możliwie dokładnie całej niemieckiej akcji niszczycielskiej, mordów, egzekucji i grabieży z jednej strony, a z drugiej danie obrazu działalności AK i postawy polskiego społeczeństwa. Celem dokumentacji jest udostępnienie polskim władzom i polskiej propagandzie wszystkich w tej dziedzinie dokumentów dla wykorzystania na forum międzynarodowym. [...]

Metody: a) rzeczą dokumentujących jest wyszukiwanie w „masie dokumentowanej” grup gwałtów, jak i dokonywanie podziałów, celem jak najbardziej przejrzystego zestawienia „masy dokumentowanej”; b) za podstawę w metodzie służby powinny grupy gwałtów o podstawie terytorialnej (np. Wola, Ochota, Zieleniak i Powiśle); grupy te jak najłatwiej uchwycić; c) za podstawę w metodzie służby powinny grupy gwałtów dokonywanych w jednym czasie na tym samym zespole osób. [...]

Zadaniem prowadzących dokumentację jest zwrócenie uwagi na osoby relacjonujące. Osoby te są głównym i najlepszym, a najczęściej pierwszym i ostatnim źródłem w zdobywaniu wiadomości. Wiek danych osób, wykształcenie, stanowisko społeczne z jednej strony, a z drugiej strony ich charakter i stan psychiczny powinny być przede wszystkim wzięte pod uwagę w czasie dokonywania wywiadu.

—Brwinów, 20 sierpnia 1944⁽¹⁾

Edward Serwański

Pośpiech i pilność pracy były wyjątkowe. Powszechnie dominowały opinie, że Niemcy chcą pozostawić poza sobą pustą ziemię, że wszystko zniszczą, a Warszawę spalą [...]. Taki był wówczas nastrój wśród prowadzących badania, nastrój, który potęgował potrzebę szybkiego prowadzenia badań.

—Brwinów⁽⁴⁾

—dokończenie • E22

Z relacji Wandy Lurie, zaprojektowanej przez Irenę Trawińską w ambulatorium PCK

Mieszkałam na Woli [...]. W pewnym momencie wtargnęli Niemcy; wyciągnęli mężczyzn, kazali rozbierać barykady i rozpoczęli palenie mieszkań. [...]

Ociągałam się z wyjściem, mając nadzieję, że pozwolą mi zostać – i wyszłam z piwnicy ostatnia. Wszyscy mieszkańcy naszego domu byli już przeprowadzeni pod fabrykę „Ursus” na ulicy Wolskiej przy Skierniewickiej, mnie też kazano tam iść; szłam już sama tylko z dziećmi; trudno było iść, pełno kabli, drutów, resztki z zapór, trupy, gruzy, domy paliły się z dwóch stron ulic [...]. Z podwórza fabryki słyszał było strzały, krzyki, błagania... [...] Dwunastoletni chłopiec, ujrawszy przez uchyloną bramę zabitych rodziców i braci, dostał wprost szału, zaczął krzyczeć; Niemcy i Ukraińcy bili go i odpychali, gdy usiłował wdrzeć się do środka; wzywał matkę, ojca. [...] Na podwórzu fabryki zobaczyłam zwaly trupów do wysokości 1 metra. [...]

Prowadzono nas środkiem podwórza w głąb do wąskiego przejścia na drugie podwórze. [...] Wybierano nas i ustawiano czwórkami i czwórkami prowadzono w głąb drugiego podwórza, do leżącego tam stosu trupów; gdy czwórka dochodziła do stosu, strzelali z rewolwerów z tyłu w kark; zabici padali na stos; podchodził następni. Przy ustawianiu ludzie wrywali się, krzyczeli, błagali, modlili się. [...]

W ostatniej czwórce razem z trojgiem dzieci podeszłam do miejsca egzekucji, trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, lewą rączkę starszego synka. [...] Pierwszy strzał położył starszego synka, drugi ugodził mnie, następny zabił młodsze dzieci. Przewróciłam się na prawy bok; strzał oddany do mnie nie był śmiertelny; [...] dostałam krwotok ciążowy. [...]

Pod wieczór udało mi się zepchnąć martwe ciało leżące na mnie. Straszne, ile było dokoła krwi. [...] Na trzeci dzień poczułam ruchy dziecka w łonie, wtedy myśl, że nie mogę zabić tego dziecka, sprawiła, że zaczęłam się rozglądać, badając sytuację i możliwości ocalenia się. Kilka razy, próbując wstać, dostałam torsji i zawrotów głowy; wreszcie na czworakach przeczołgałam się po trupach do muru, rozglądałam, szukając wyjścia. [...]

Zostałam furmanką przewieziona z ciężko chorymi do Pruszkowa, a stąd do Komorowa i dalej do Podkowy Leśnej. [...] 20 sierpnia urodziłam synka. Przypuszczam, że straciłam nie tylko troje dzieci, ale i męża, gdyż mówił on, że do ostatka nie opuści Warszawy; nie mam nadziei, że on żyje, po tym, co się stało.

—Podkowa Leśna, 2 września 1944⁽⁷⁾

Edward Serwański w piśmie konspiracyjnym „Ojczyzna”

Dziś już dobrze wiemy, jak to było w poszczególnych częściach miasta; dziś już wiemy

o niemieckiej zbrodni – Woli, zbrodni – Zieleńki, zbrodni – Starówki, o Śródmieściu, o Żoliborzu itd. [...] Dopiero dziś dowiadujemy się okropnej prawdy o niemieckich bestialstwach na Woli. [...] Człowieka przenika dreszcz grozy, a duszę napęla uczucie niesamowitego przerażenia. [...] Czytamy dosłownie w zeznaniu jednej z kobiet, że do 3 względnie 4 sierpnia mordowano na Woli literalnie wszystkich, a do 6 względnie 7 sierpnia zabijano każdego mężczyznę, który tylko wpadł w ich ręce. [...]

Protokoły, relacje, zeznania ociekają krwią: Wolska 7 i inne, Chłodna, Waliców, Skierniewicka, Towarowa – krwawy pochód bez końca.

—Warszawa, 30 września 1944⁽³⁾

Edward Serwański

Masowe zesłanie powstańców do obozów [po kapitulacji powstania], informacje o niszczeniu miasta, uporczywie krążące wieści o przygotowaniach okupanta do wysadzania w powietrze miast i osiedli oraz o powszechnej ewakuacji ludności na wypadek ofensywy radzieckiej z prawego brzegu Wisły, celem pozostawienia poza sobą pustej, spalonej ziemi, tym bardziej umocniły kierownictwo akcji dokumentacyjnej w jego decyzji prowadzenia działalności mimo wielkiego niebezpieczeństwa.

—Brwinów⁽⁶⁾

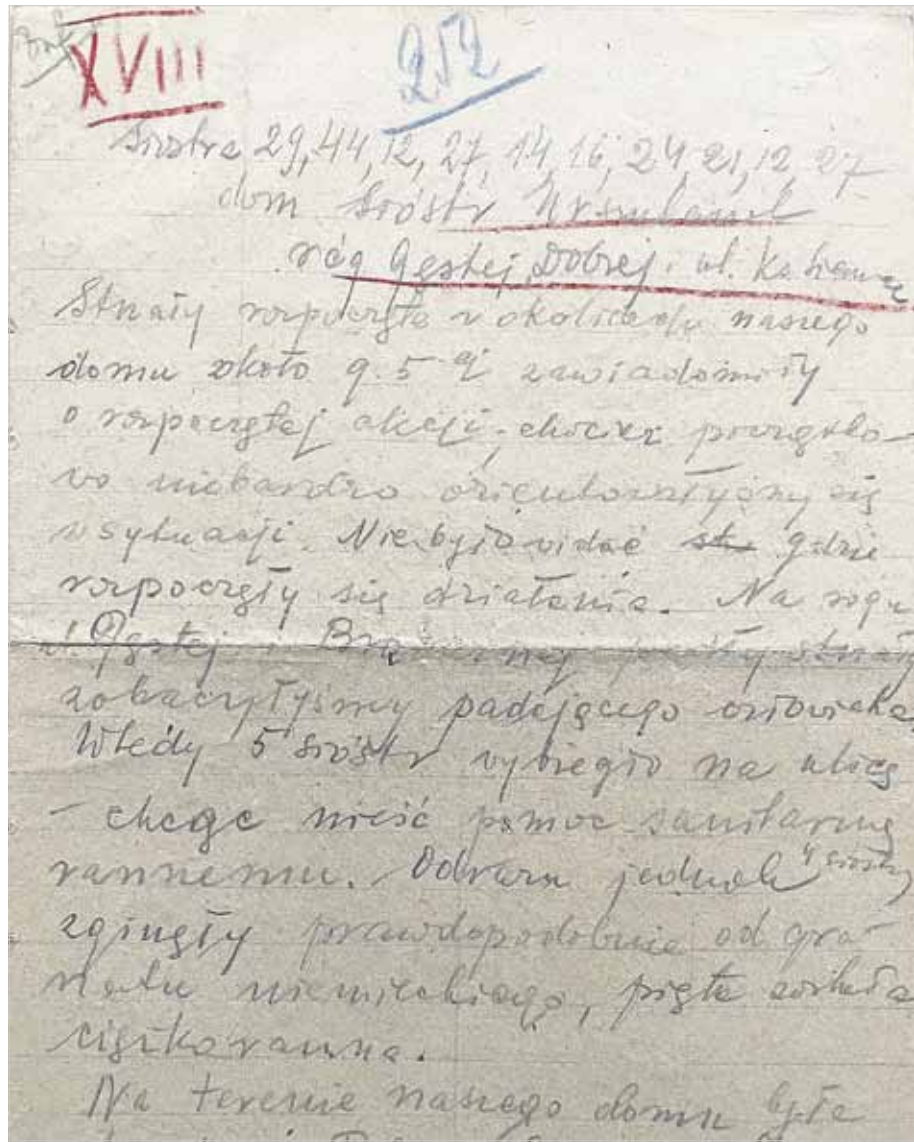
W nad wyraz wąską strukturę organizacyjną zaczęły walić gromy niemieckie [...]. I tak oblawy, blokowania osiedli, rewizje, legitymowania, egzekucje chwytych z dowodami warszawskich mężczyzn, systematyczne penetracje terenów podwarszawskich, „korkowanie” EKD, pilnowanie dróg – uniemożliwiały ciągłość pracy, rozrywały powiązania osobiste i organizacyjne, zmniejszały wydajność pracy komórek, jeśli wręcz nie niweczyły osiągnięć, dezorganizowały aparat techniczny, ujemnie oddziaływały na psychikę pracujących, wpływały na obniżenie poziomu relacji.

System policyjny Niemców, system terroru, miał zapewnić okupantowi bezpieczeństwo na zapleczu frontowym, a nie miał oczywiście na celu... przeszkadzać dokumentującemu, bo Niemiec nie sądził, by w strwożonym tłumie rozdziły się takie zamierzenia.

—Brwinów⁽⁷⁾

Zebrano w okresie od połowy sierpnia 1944 do połowy stycznia 1945 ogółem 314 protokołów, relacji, opracowań i wspomnień. [...] Cały zbiór – wraz z aktami sekretariatu i kierownictwa – został technicznie zabezpieczony z maksymalną ostrożnością i fachową, kompetentną wiedzą konserwatora (zakopane w koniach na mleko pewnej nocy w remizie Straży Pożarnej w Brwinowie). Przetrwał on w okresie ofensywy Armii Czerwonej.

—Brwinów⁽⁴⁾



Spisana relacja świadka o przebiegu powstania m.in. na ul. Gęstej i Dobrej

Wybrał i podał do druku Aleksiej Rogozin. Materiał pochodzi z kwartalnika historycznego „Karta” nr 123, który ukaże się w sierpniu 2025 r. Autor dziękuje Małgorzacie Wryk, córce Edwarda Serwańskiego, za udostępnienie zdjęć rodzinnych i pomoc w przygotowaniu tekstu oraz Instytutowi Zachodniemu im. Zygmunta Wojciechowskiego za udostępnienie materiałów archiwalnych.

Źródła wykorzystane w tekście:

- (1) Akcja „Iskra-Dog”. Protokoły oraz materiały organizacyjne, Archiwum II Wojny Światowej Instytutu Zachodniego, sygn. IZ Dok.. V-223.
- (2) Zdzisław Jaroszewski, Pomorzenie poza Pomorzem, w zbiorach Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej w Toruniu.
- (3) „Ojczyzna” nr 2/1944.
- (4) Edward Serwański, Akcja „Iskra-Dog”. Z badań nad dziejami powstania warszawskiego 1944, „Życie i Myśl” nr 7–8/1985.
- (5) Edward Serwański, Wspomnienia z pracy konspiracyjnej w Wielkopolsce i Generalnej Guberni w latach 1939–45, Archiwum II Wojny Światowej Instytutu Zachodniego, sygn. IZ. Dok.II-358.
- (6) Edward Serwański, Wstęp, [w:] Życie w powstańczej Warszawie. Sierpień–wrzesień 1944. Relacje–dokumenty, Warszawa 1965.
- (7) Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944 r. Zeznania–zdjęcia, oprac. Edward Serwański i Irena Trawińska, Poznań 1946.

KWARTALNIK HISTORYCZNY

Karta

Pismo poświęcone XX-wiecznej historii Polski
i Europy Środkowo-Wschodniej.

W najnowszym numerze m.in.:

Odwet okupowanych 1939–44

wspomnienia Izabelli Horodeckiej i Georges’a Renckiego,
dokumenty z akcji Iskra-Dog

Karta

Kupując u nas, wspierasz działania Fundacji Ośrodka KARTA
www.ksiegarnia.karta.org.pl

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego



MATERIAŁ PARTNERA INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Powstańcy prascy z pomocą walczącej Warszawie

Powstanie Warszawskie na Pradze trwało zaledwie kilkadziesiąt godzin. Blisko 600 żołnierzy z oddziałów praskich przeprawiło się przez Wisłę na lewy brzeg i tam kontynuowało walkę.



Msza polowa na placu apelowym w Wierszach w Puszczy Kampinoskiej

RADOSŁAW STRÓŻYK

Podjęte przez akowców po wybuchu Powstania Warszawskiego próby opanowania większości strategicznych obiektów w prawobrzeżnej Warszawie zakończyły się niepowodzeniem. Słabo uzbrojeni powstańcy nie mieli szans z oddziałami niemieckimi zmierzającymi na front, aby powstrzymać napierającą Armię Czerwoną. Już wieczorem 1 sierpnia 1944 r. było pewne, że dalsza walka nie ma sensu. Przynieść mogła jedynie dalsze straty, represje na ludności cywilnej, a także zniszczenia.

Proces wygaszania powstania zapoczątkował w nocy z 1 na 2 sierpnia mjr Zygmunt Bobrowski „Ludwik”, komendant 5 Rejonu Praga Centralna. Zgodę na przerwanie walk otrzymał on zapewne od dowódcy VI Obwodu Praga AK ppłk. Antoniego Żurowskiego „Bobera”, „Papieża”, przebywającego w jego mieszkaniu przy ul. Białostockiej 20. Najdłużej trwała tzw. Reduta Bródnowska w szkole przy ul. Bartniczej, opuszczona 2 sierpnia o godz. 14.30. Przywoływane w literaturze przedmiotu rozkazy ppłk. Żurowskiego z 4 i 6 sierpnia jedynie sankcjonowały już wytworzoną sytuację o przejściu w stan konspiracyjnego pogotowia.

Przebić się na drugi brzeg

Niepowodzenie walki powstańczej spowodowało rozgoryczenie wśród żołnierzy. Powstańcy zdawali sobie sprawę, że przygotowywane latami wystąpienie zakończyło się porażką. Mimo to większość z nich nie straciła wiary w dalszy sens walki. Przeciwnie, nie chcieli się biernie przyglądać zagładzie miasta i zamierzali przejść mu z odsieczą. Dowódca jednego z praskich batalionów por. Henryk Małowidzki „Ran” wspominał: „Odgłosy walki po drugiej stronie Wisły napawały nas żołnierzy AK ogromnym żalem, że nie możemy współuczestniczyć z oddziałami walczącymi i przyspieszyć wyzwolenie naszej stolicy Warszawy”.

Kwestia opuszczania Pragi nie była jednak sprawą łatwą. Komendant VI Obwodu, który dopuszczał możliwość przerzutu na lewy brzeg Wisły ochotniczych oddziałów, zdecydował w połowie sierpnia 1944 r. o wyprowadzeniu z „kotła praskiego” agend swojego sztabu, a następnie poszczególnych oddziałów na północ, w rejon lasów Choszczówki, gdzie nastąpić miała ponowna koncentracja podległych mu sił. Liczył, że jeżeli uda im się przetrwać w terenie, to możliwe będzie przeprowadzenie uderzenia na Pragę. Do tego teren był silnie patrolowany przez nieprzyjaciela.

Sytuację komplikowały tymczasem rozpoczętą nad ranem 11 sierpnia przez oddziały niemieckie wysiedlenia mieszkańców prawo-

brzeżnej Warszawy, głównie mężczyzn, mające zapewnić im spokój na zapleczu frontu. Dowódcy i żołnierze nie chcieli biernie czekać na dalsze rozkazy ani tym bardziej dać się wyprowadzić z miasta.

Wśród wielu pomysłów, w jaki sposób dołączyć do walczących, jednym z najbardziej niemyślnych była chęć przebiecia się niemieckim pociągiem pancernym z Dworca Wschodniego na Dworzec Główny. Jeden z żołnierzy nawiązał kontakt przez polskich kolejarzy z kolejarzami niemieckimi. Za odpowiednią sumę pieniędzy i ubrania cywilne skłonni byli ponoć do oddania swoich mundurów i broni oraz ułatwienia za skoczenia załogi wojskowej pociągu pancernego. Niestety, pociąg ten wkrótce odjechał i planu nie udało się zrealizować.

Komenda VI Obwodu rozważała też kwestię przebiecia się grupy bojowej mostem Kierbedzia albo atak na niemieckie działa ustawione przy ogrodzie zoologicznym ostrzeliwujące Stare Miasto. Z uwagi na ryzyko dużych strat i małe szanse powodzenia zrezygnowano z tych planów.

Przeprawy przez Wisłę

Dużo bardziej realnym pomysłem, choć niepozbawionym ryzyka, była próba przeprowadzenia się przez Wisłę z Grochowa i dołączenia do oddziałów powstańczych na Mokotowie. Dowództwo 3 Rejonu przygotowało w połowie sierpnia 1944 r. plan przepraw na linii Gocław-Siekierki-Czerniaków-Mokotów. Przerzut przez rzekę miał się odbywać z tzw. Krowiej Wyspy. Ze względu na niebezpieczny charakter akcji mieli wziąć w niej udział jedynie ochotnicy, ale za to dobrze uzbrojeni. Organizatorem przepraw mianowano ppor. Romana Sitkowskiego „Wiktora”.

Jedną z pierwszych grup, liczącą ok. 30 osób i dowodzoną przez ppor. cz. w. Floriana Kołodziejczaka „Maksa”, wyruszyła z 20 na 21 sierpnia. Przeprawa przez Wisłę trwała dwie noce ze względu na brak środków transportowych. Podczas pierwszej próby jeden z powstańców zginął w nurtach rzeki. Druga próba przy pomocy odnalezionych łodzi rybackich okazała się szczęśliwsza. O świcie 22 sierpnia grupa dotarła przez Siekierki do Fortu Dąbrowskiego na Sadybie, gdzie pozostała, wzmacniając miejscową załogę.

Biorąc udział w przeprawach łączniczka Janina Sobiechowska-Skiwska „Janka” wspominała je w następujący sposób: „Dojście do Wisły wymagało ogromnej ostrożności. Marsz był prawie bezszelestny, nakazano pod groźbą wyeliminowania z grupy absolutne milczenie. Na polach gocławskich i w okolicach jeziora konieczne było częste »padanie« i nasłuchiwa-

nie, gdyż każdy krzew, słupek budził w ciemnościach podejrzenie. Szczególną uwagę należało zachować w pobliżu Wału Miedzeszyńskiego i podczas przeskoku na drugą jego stronę. Trasa ta bez przerwy kontrolowana była przez pancerne niemieckie samochody i czołgi, odbywała się tu również ciągła komunikacja wojskowych wozów dostawczych w kierunku frontu i z powrotem”. Po dojeździe do rzeki jej widok, jak zapamiętała, nie był miły dla powstańców. „Czarna toń i plusk wody na szerokiej, zdawało się bezkresnej przestrzeni budziły grozę i lęk”.

W nocy z 22 na 23 sierpnia przeprawiła się przez Wisłę też pierwsza 40-osobowa grupa żołnierzy z plutonów ppor. Sitkowskiego i ppor. Witolda Pruski „Wita”. Druga pokonała Wisłę kolejnej nocy. Powstańcy byli uzbrojeni w wyprodukowane w konspiracji własnym sumptem pistolety maszynowe Sten. Kolejna 10-osobowa grupa dowodzona przez ppor. Stanisława Sierakowskiego „Stefana” przepłynęła nocą z 23 na 24 sierpnia.

Z Grochowa do powstańców walczących na Mokotowie dołączył jeszcze m.in. tzw. pluton podchorążych pod dowództwem ppor. Zbigniewa Drzewicy-Wasilewskiego „Macieja”, żołnierze z plutonu Orłęcego i grupa powstańców z Targówka. W nocy z 26 na 27 sierpnia przeprawił się inspektor Wojskowej Służby Ochrony Powstania VI Obwodu kpt. Ludwik Pagowski „Ludwik II” wraz z częścią swojego sztabu. Podczas ostatniej przeprawy z 9 na 10 września od wybuchu miny na polach Grochowa zginęło dwóch powstańców, a łączniczka została ciężko ranna.

Oddział ppor. „Maksa” przydzielono do odtwarzanego batalionu „Oaza”. Pluton ppor. „Macieja” dołączył do kompanii por. Czesława Zawadzkiego „Leguna”. W Dywizjonie „Jeleń” znalazła się drużyna Orłąt kpr. Tadeusza Łączaka „Maxa”. Pluton ppor. „Wiktora”, zwany plutonem „Grochów”, włączono do batalionu „Ryś”. Powstańcy z prawobrzeżnej Warszawy brali udział w obronie Sadyby przed szturmami niemieckimi, a następnie wycofali się na Dolny Mokotów i Sielce, gdzie walczyli aż do kapitulacji dzielnicy 27 września 1944 r. Na każdym z odcinków wykazywali się odwagą i walecznością, płacąc za to często najwyższą cenę – własnego życia. W trakcie walk poległ m.in. ppor. „Maciej”, zastrzelony w trakcie ubezpieczania odwrotu z Sadyby.

Kierunek Puszcza Kampinska

Powstańcy z centralnej Pragi zdecydowali się przedrzeć do Puszczy Kampinoskiej,

aby wspierać od północy walczącą Warszawę, a być może z tego kierunku przejść jej z odsieczą. Decyzję o wymarszu podjął 18 sierpnia mjr Bobrowski na radzie z członkami swojego sztabu i dowódcami pododdziałów. Plan zakładał przedarcie się jak największej liczby żołnierzy w kierunku Choszczówki, przekroczenie Wisły i dołączenie do oddziałów w Puszczy Kampinoskiej. I tym razem w akcji wziąć mieli w niej udział jedynie ochotnicy.

O ryzyku i niebezpieczeństwie, jakie niesła próba przebiecia się, szybko przekonała się grupa prowadzona ppor. Feliksa Matuszkiewicza „Turka”, okrążona 23 sierpnia w Choszczówce. Część z nich Niemcy wywieźli do obozów koncentracyjnych. Ich dowódcę ppor. „Turka” wraz z bratem wysłano do KL Flossenbürg, a następnie do KL Leitmeritz. Obaj zginęli. Również w Choszczówce 25 sierpnia niemieckie patrole schwytały ppor. Tadeusza Nalaskowskiego „Czarnego” z grupą podkomendnych. Sam ppor. „Czarny” trafił do KL Stutthof, miał jednak więcej szczęścia i przeżył.

Do Puszczy Kampinoskiej zdołał się przedrzeć 28 sierpnia por. Małowidzki, który ze swoim pododdziałem, liczącym ok. 47 żołnierzy, włączony został jako pluton tzw. praski do Pułku AK „Palmiry-Młociny”. Dowodzeni przez niego żołnierze 3 września wzięli udział w wypadzie na wsie Sieraków i Truskaw. W walce poległ ppor. Marcin Taszkan „Tur”.

W nocy z 6 na 7 września do Puszczy Kampinoskiej przybyła kolejna grupa żołnierzy VI Obwodu dowodzona przez por. Stanisława Karolewskiego „Lechitę”. Prowadzący grupę por. „Lechita” objął dowodzenie plutonem złożonym z dezertów z armii niemieckiej z Legionowa. W pododdziale znalazło się kilku innych powstańców z Pragi. Do Puszczy Kampinoskiej przeszedł też uzbrojony i umundurowany ze zrzutów alianckich, liczący 13 żołnierzy pododdział z 2 Rejonu Targówek.

Podczas bombardowania polskich stanowisk w Puszczy Kampinoskiej pod koniec września 1944 r. zginęła m.in. przybyła z Pragi łączniczka Maria Swech „Myszka”, odznaczona Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari. W potyczce z nacierającymi oddziałami nieprzyjaciela na placówkę pod wsią Brzozówka poległ jej dowódca por. Tadeusz Królikowski „Kujawski”. Stanisław Karolewski moment jej śmierci zapamiętał tak: „W pewnym momencie poderwał się z okopu, by wydać jakiś rozkaz, lecz został przeszyty pociskami z działka”.

Żołnierze z Pragi walczyli w szeregach Grupy „Kampinos” do momentu jej rozbicia przez Niemców 29 września 1944 r. w bitwie pod Jaktorowem. Z plutonu praskiego w walce poległo czterech żołnierzy, a co najmniej ośmiu zostało rannych.

Dobrze spełniony obowiązek

Powstańcy prascy, którzy włączyli się do walk w Warszawie oraz Puszczy Kampinoskiej, udowodnili swoją dużą ideowość oraz wartość bojową. Dowiedli, że decyzja o niekontynuowaniu walk powstańczych na Pradze nie wynikała z braku chęci, tylko obiektywnych warunków związanych z przewagą nieprzyjaciela. Chcieli się bić i pokazali to w walkach po lewej stronie Wisły. Wspomogli przy tym towarzyszy broni toczących heroiczny bój o Warszawę.

Cel zresztą mieli ten sam. Odzyskać miasto własnymi siłami, zanim wkroczą do niego Rosjanie. Akowcy z Pragi walczyli z ogromnym poświęceniem, nie szczędząc krwi. Świadczą o tym poniesione przez nich straty, wynoszące kilkudziesięciu zabitych i rannych. Dobrze spełnili żołnierski obowiązek.

Radosław Stróżyk jest pracownikiem naukowym Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie

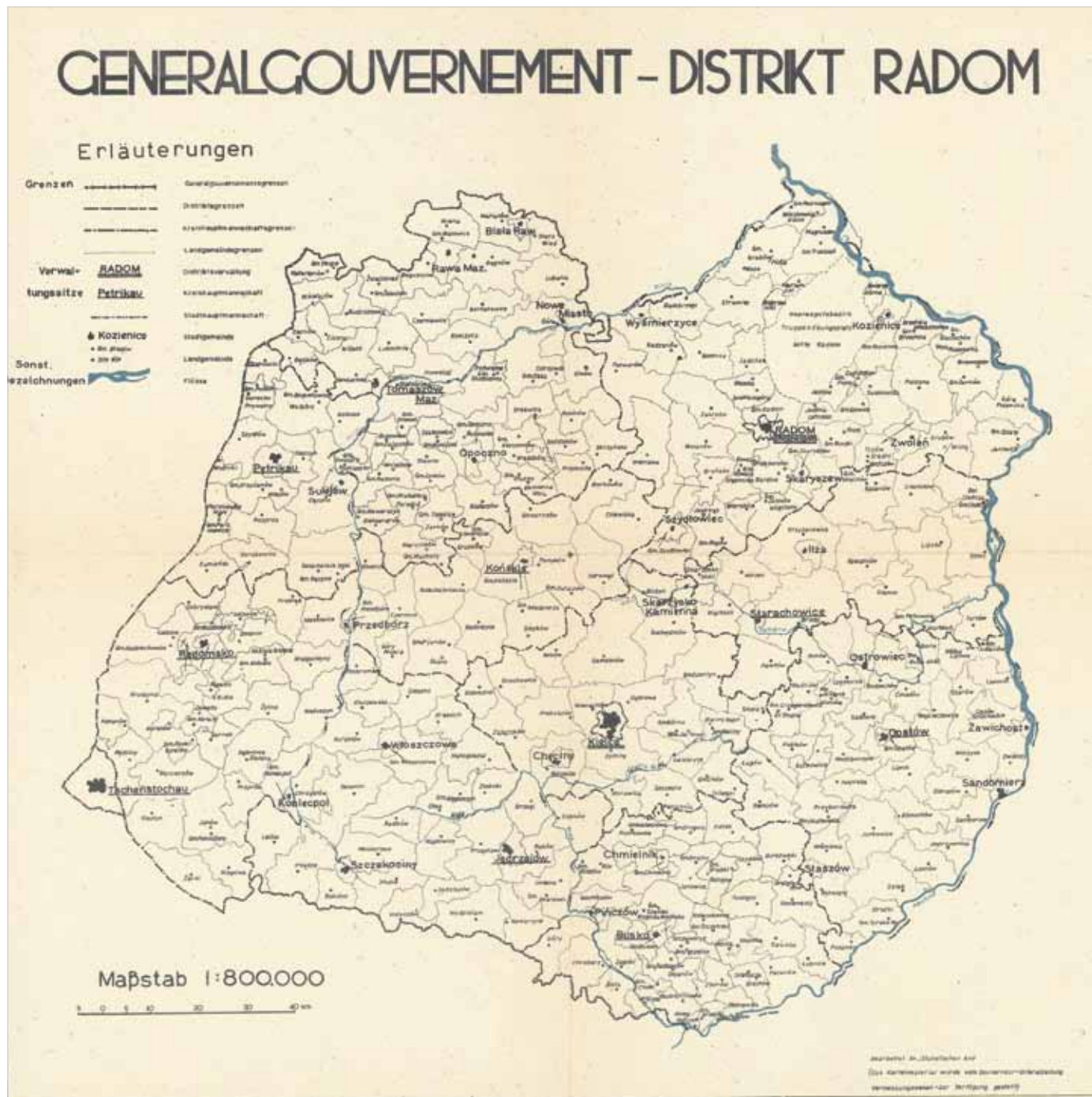


INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

NA LINII WALK

Pobić Niemców *u siebie*

W dyskusjach o powstaniu oddziały spoza stolicy zwykle pozostają w cieniu. Warszawie pomoc nie mogli, za to na Kielecczyźnie – czego dowodzą meldunki niemieckie – walczyli zaskakująco skutecznie.



Mapa Wehrmachtu Okręgu Radom

BARTOSZ WÓJCIK

W sierpniu 1944 r. pomoc walczącej Warszawie usiłowały nieść zmobilizowane oddziały Armii Krajowej z innych regionów. Największym takim zgrupowaniem, liczącym ponad 5 tys. ludzi, był Kielecki Korpus AK. Gdy do ogarniętej powstaniem stolicy pozostało blisko 100 km, a front sowiecko-niemiecki wciąż utrzymywał się na Wiśle, dowodzący korpusem pułkownik Jan Zientarski ps. „Ein” podjął trudną, niepopularną i grożącą wręcz buntom, decyzję o odwrocie.

Dlaczego? Wbrew dominującym nastrojom szanse przedarcia się słabo uzbrojonego zgrupowania przez otwarty, rzadko zalesiony teren uznał za iluzoryczne. „Ein” – przez Niemców jeszcze jesienią 1944 r. oceniany jako „światny organizator” i „być może najzdolniejszy z dowódców AK” – nie przeceniał ponadto potencjalnego wpływu swoich ludzi na rezultat trwającego w stolicy powstania.

Przerwanie marszu na Warszawę nie oznaczało jednak rezygnacji z walki.

Lokalne oddziały AK, choć stopniowo demobilizowane, kontynuowały akcję „Burza”, utrzymując się w lasach na zachód od Kielc i Radomia aż do późnej jesieni 1944 r. Regularnie atakowane i rozpraszane, w większości nie dały się zniszczyć niemieckim obławom. Mimo decyzyjnego chaosu i braku jasnych wytycznych z Warszawy czy Londynu trwały, zaznaczając w terenie obecność podziemnej armii wiernej legalnym władzom Rzeczypospolitej i bynajmniej – wbrew zarzutom komunistów – nie unikającej walki z Niemcami. Walki – na co wskazują liczne meldunki wroga – prowa-

dzonej zadziwiająco skutecznie. O ile w Warszawie na każdego poległego żołnierza lub funkcjonariusza formacji okupacyjnych przypadło sześciu powstańców, o tyle na Kielecczyźnie i terenach przylegających do niej analogiczny bilans rysował się zgoła odmiennie.

To akowcy – wprawdzie słabiej wyszkoleni i uzbrojeni, ale znający teren, zdeterminowani i sprawnie dowodzeni – na ogół okazywali się tu stroną zwycięską. Pomiedzy 1 sierpnia a 2 października 1944 r. żołnierze wywodzący się z Kieleckiego Korpusu AK i przylączonych do niego podczas marszu na stolicę oddziałów stoczyli z formacjami okupacyjnymi ponad 40 zbrojnych starć.

Znamienne, jak przedstawiały się rezultaty 10 największych z nich.

Ceber, 4–5 sierpnia

Pierwszą dużą konfrontacją w ramach akcji „Burza” na Kielecczyźnie był atak 2 Sandomierskiego Pułku Piechoty AK na oddział Wehrmachtu stacjonujący we wsi Ceber w pobliżu Opatowa. Uderzenie przeprowadzone nocą z 4 na 5 sierpnia, jeszcze zanim przystąpiono do wspomnianego marszu na Warszawę, zupełnie zaskoczyło Niemców. Ci szykowali się do walki z nadciągającymi oddziałami sowieckimi, dążącymi do rozszerzenia świeżo uchwyczonego na Wiśle przyczółku.

W wyniku akcji zginęło ponad 30, a do niewoli dostało się blisko 20 kolejnych żołnierzy niemieckich. Z kolei straty strony polskiej ograniczyły się do 5 poległych. Znamienne, że

”

Przerwanie przez partyzantów marszu na Warszawę nie oznaczało rezygnacji z walki

sztabowcy 4 Armii Pancernej Wehrmachtu odpowiadającej za ten właśnie odcinek frontu, odnotowując nazajutrz utratę miejscowości, mylnie przypisali jej zdobycie regularnym oddziałom sowieckim.

Daleszyce, 7 sierpnia

Zaledwie dwa dni później w położonych pod Kielcami Daleszycach kompanię Wehrmachtu – krótko po dokonanej pacyfikacji tej miejscowości – zaatakował oddział z Obwodu AK Busko, wspierany przez 4 Kielecki Pułk Piechoty AK. W wyniku kilkugodzinnego starcia Niemcy zostali wyparci. Jeszcze tego samego dnia administracja wojskowa Generalnego Gubernatorstwa odnotowała: „Miejscowość Daleszyce została opanowana przez bandę w sile ok. 200 osób”.

O ile po stronie polskiej w rezultacie stoczonej walki było zaledwie 4 rannych, w meldunku niemieckim, podsumowującym zdarzenie, straty własne oceniono na 15 żołnierzy: 7 poległych i zaginionych oraz 8 rannych. Niespełna tydzień

po odniesionej klęsce Niemcy w odwecie ostrzelali i spalili dużą część zabudowań Daleszyc.

Diabla Góra, 16 sierpnia

W połowie sierpnia 25 Piotrkowski Pułk Piechoty AK, zmierzając w rejon koncentracji zarządzanej przez pułkownika „Eina”, natrafił w okolicy Diabiej Góry koło Opoczna na niemiecką ekspedycję karną. Akowcy zaatakowali przeciwnika. 16 sierpnia o godz. 13:00 pod miejscowością Klew banda licząca około 150 ludzi napadła na 40-osobowy pododdział, złożony z funkcjonariuszy żandarmerii, straży granicznej i SA [Sturmabteilung, nazistowska formacja paramilitarna – BW], prowadzący łapankę ludności do robót fortyfikacyjnych. Po kilkugodzinnej walce nasz pododdział został zniszczony – donosił meldunek Wehrmachtu. Wynikało z niego, że ciężkie straty poniosła także wysłana na miejsce odsiecz.

W sumie Niemcy odnotowali tu utratę aż 42 zabitych i zaginionych oraz 16 rannych funkcjonariuszy i żołnierzy. Z kolei po stronie polskiej zginęło 10 akowców, a drugie tyle odniosło rany. Niepokojącą swym rozmiarem klęskę uwzględniono nawet w sprawozdaniu monitorującego sytuację na całym froncie wschodnim wywiadowczego Wydziału Obce Armie Wschód przy Naczelnym Dowództwie Wojsk Lądowych.

Antoniów, 21 sierpnia

Z inną ekspedycją karną, zorganizowaną dla odmiany wspólnie przez Wehrmacht i Waffen SS, zmierzili się wkrótce w rejonie Antoniowa koło Szydłowca żołnierze 4 Kieleckiego Pułku Piechoty AK. I tym razem po kilkugodzinnej walce akowcy okazali się stroną wygraną. Wprawdzie skala zwycięstwa odbiegała od tej z przekazów partyzanckich, utrwalonych w okresie PRL, gdzie straty niemieckie szacowano na blisko 80 samych poległych, ale sukces i tak był niebagatelny – w meldunku, który spłynął do sztabu 4 Armii Pancernej Niemcy wskazywali bowiem na utratę 36 ludzi: 19 zabitych (w tym 7 ochotników z Waffen SS) i 17 rannych. Równoległe straty poniesione tu przez oddział AK były dwukrotnie niższe – 8 Polaków zginęło, a 9 odniosło rany. Po walce akowcy wymknęli się obławie zorganizowanej przez stacjonującą w okolicy siłę Wehrmachtu.

Dziebaltów, 26–27 sierpnia

U schyłku sierpnia kolejnego wypadu na jednostkę niemiecką dokonali żołnierze 2 Sandomierskiego Pułku Piechoty AK. Nocą z 26 na 27 sierpnia zaatakowali oni pododdział niemieckiej artylerii stacjonujący w Dziebaltowie koło Końskich. Według meldunku Sicherheitspolizei (Policja Bezpieczeństwa) podczas stoczonych w ciemnościach walk zginęło 8, a rannych zostało kolejnych 10 żołnierzy Wehrmachtu. „Bandyci spalili ponadto samochód ciężarowy” – dodawano. Z kolei po stronie polskiej było 3 poległych i 12 rannych. Zaczęła akcja miała na celu podnieść morale, wyraźnie osłabione po decyzji o wstrzymaniu marszu na pomoc Warszawie. Taki też rezultat odniosła. Zapewne dla zwiększenia efektu propagandowego w oficjalnym komunikacie AK wydanym krótko po walce ogłoszono, że w nocnym wypadzie na Dziebaltów zginąć miało aż 100 Niemców, co nie było prawdą.

Radoszyce, 2–3 września

Mniej planowy charakter miały walki stoczone w dniach 2 i 3 września w rejonie Radoszyc, również blisko Końskich. Początek dało im ostrzelanie przez nieliczny patrol aprowizacyjny Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) i podobną grupę AK kolumny wojskowo-policyjnej zbliżającej się do miejscowości. Partyzanci mylnie wzięli Niemców szukających w okolicy dogodnych stanowisk artyleryjskich za ekspedycję karną. W reakcji ci faktycznie zaatakowali Radoszyce, a na pomoc mieszkańcom ruszyły stacjonujące w okolicy pododdziały 2 Sandomierskiego i 3 Koneckiego Pułków Piechoty AK.

Po kilku godzinach walki Niemcy wycofali się, by kolejnego dnia wrócić. Zamierzali pochować swoich zabitych i już planowo, w od-

wecie, spacyfikować Radoszyce. Ponownie jednak zostali odparci przez akowców. Ostatecznie znaczna część zabudowań uległa zniszczeniu, niemniej udało się uratować zdecydowaną większość mieszkańców. W sumie podczas dwudniowych walk o Radoszyce i sąsiednie Grodzisko Niemcy odnotowali utratę 26 zabitych i zaginionych, a także 12 rannych. Tymczasem straty śmiertelne oddziałów AK były w tym przypadku aż dziesięciokrotnie (!) niższe – 2 poległych. Rany odniosło 5 akowców.

Szewce, 18 września

Równie losowa była geneza starcia, które miało okazać się najbardziej spektakularnym akowskim zwycięstwem w skali całej niemieckiej okupacji. I w tym przypadku stoczyli je wspólnie żołnierze 2 i 3 pułków piechoty AK, którzy w połowie września przeszli do lasów na południowy zachód od Kielc. W okolicach miejscowości Szewce na ich pozycje natknął się dwuosobowy niemiecki patrol. Obaj żołnierze zginęli, ale po kilku godzinach na miejscu zjawiała się ok. 200-osobowa grupa poszukiwawcza ze stacjonującej w okolicy jednostki pionierów Wehrmachtu. Nie wiedząc o przebazowaniu w ten rejon silnych oddziałów AK, Niemcy nie zachowali ostrożności. Dopuszczeni na bliską odległość już w pierwszych chwilach po otwarciu ognia przez akowców ponieśli dotkliwe straty. Z czasem z pomocą przyszedł im pociąg pancerny, pododdział artylerii przeciwlotniczej z działkami szybkostrzelnymi, a także oddział żandarmerii z Kielc.

Mimo to bilans z górą sześciogodzinnego starcia dla strony niemieckiej był katastrofalny. Z kolei dla polskiej – zadziwiająco, wręcz nieprawdopodobnie korzystny. O ile akowcy po oderwaniu się od przeciwnika stwierdzili w swoich szeregach tylko 1 poległego i 17 rannych, w meldunku 4 Armii Pancernej Wehrmachtu, sporządzonym dzień po klęsce, odnotowano utratę aż 74 zabitych i zaginionych (w tym dwóch oficerów) oraz 12 rannych. Wymiar odniesionego sukcesu potęgował fakt, że Niemcy nie podjęli działań represyjnych przeciw okolicznej ludności.

Lasy włoszczowskie, 26–27 września

Po rozgromieniu oddziału Wehrmachtu pod Szewcami zgrupowanie partyzanckich pułków przeniosło się na zachód, do lasów koło Włoszczowy. Tu akowcom udało się przyjąć zrzut ludzi i sprzętu, ale szybko zostali namierzeni. W rezultacie pod koniec września musieli zmierzyć się z obławami, prowadzonymi wspólnie przez siły Wehrmachtu, Sicherheitspolizei i Ordnungspolizei (Policja Porządkowa). Do najcięższych walk doszło 26 września pod Radkowem i dzień później w okolicach Zakrzowa.

I tym jednak razem oddziały AK okazały się stroną zwycięską – o ile Niemcy po zaciętych dwudniowych walkach meldowali utratę aż 36 poległych, Polacy mieli ich zaledwie 9. Liczba



Partyzanci z 4 kompanii I batalionu 2 pułku piechoty AK

rannych po stronie niemieckiej pozostaje nieznaną, natomiast po polskiej wyniosła 26 ludzi. Choć akowcy ponownie wyszli z opresji obronną ręką, wobec narastającego zagrożenia pułkownik „Ein” podjął decyzję o częściowej demobilizacji i rozproszeniu zgrupowania na mające działać osobno mniejsze oddziały.

Lasy przysuskie, 26 września

Równoległe do obław prowadzonych w lasach włoszczowskich, Niemcy zorganizowali opatrzoną kryptonimem „Waldkater” („Leśny Kot”) operację antypartyzancką przeciw siłom 25 Piotrkowskiego i 72 Radomskiego Pułków Piechoty AK, stacjonujących dla odmiany w lasach pod Przysuchą. Walki rozpoczęte o świcie 26 września trwały do końca dnia. Akowcy ponownie nie dali się zaskoczyć, skutecznie odpierając kolejne natarcia. Znamienne, że angażująca poważne siły operacja została przez Niemców otwarcie uznana za klęskę w podsumowującym ją raporcie.

Partyzanci mieli 15 zabitych i zaginionych, drugie tyle rannych. Na podstawie zachowanej dokumentacji trudno jednoznacznie wskazać jak duże były straty niemieckie. Za minimalną w tym kontekście uznać można podaną w przywołanym raporcie liczbę 33 poległych i 10 rannych, ale ich skala – co sugerują inne związane z przebiegiem akcji policyjne i wojskowe meldunki – mogła być nawet trzykrotnie większa i sięgać blisko 90 zabitych. Na tyle też oceniali straty przeciwnika Polacy, którzy niesieni entuzjazmem po odniesionym zwycięstwie wkroczyli do Przysuchy, gdzie zaatako-

wali lokalny posterunek żandarmerii. Dla odmiany już bez powodzenia.

Piotrowe Pole, 1–2 października

Ostatnią z dużych walk, stoczonych przez siły Okręgu AK Radom-Kielce jeszcze przed upadkiem Warszawy, były dwudniowe starcia pod Piotrowym Polem w pobliżu Ilży. Była to zarazem jedyna konfrontacja oddziałów AK – w tym przypadku wspieranych przez grupę partyzantów sowieckich – nie z obławą wojskowych jednostek tyłowych lub policji, lecz z regularnymi oddziałami frontowymi 4 Armii Pancernej Wehrmachtu. To one bowiem, dysponując wsparciem lotniczym i pancernym, odpowiadały za przeprowadzenie operacji „Wotan”, której celem było oczyszczenie bliskiego zaplecza frontu.

W przeciwieństwie do wszystkich innych wymienionych wyżej starć, tym razem to Niemcy mieli okazać się stroną zwycięską. Zgrupowanie AK zostało rozbite, przy czym zginęło 60 Polaków i blisko 20 walczących u ich boku Sowietów. Z kolei Wehrmacht, mimo ogromnej przewagi liczebnej i sprzętowej, stracił w sumie 35 ludzi: 19 poległych i 16 rannych. Upowszechniona w okresie PRL wersja, jakoby walki pod Piotrowym Polem skończyły się krwawym, ale jednak zwycięstwem AK, kosztującym Niemców aż 200 ludzi, nie odpowiadała prawdzie. Niemniej nawet faktyczne straty, zadane przez nieregularne i słabo uzbrojone oddziały partyzanckie, uznane zostały przez sztabowców Wehrmachtu za poważne.

Zadanie dobrze wykonane

Wymienione wyżej starcia w aż 9 na 10 przypadków zakończyły się zwycięstwem strony polskiej. Kosztowały Niemców bezpowrotną utratę co najmniej 300 żołnierzy i funkcjonariuszy, podczas gdy poniesione równoległe w ich rezultacie śmiertelne straty po stronie akowskiej były trzykrotnie niższe.

W kolejnych jesiennych tygodniach, gdy przewaga niemiecka rosła, bilans ten wprawdzie stopniowo wyrównywał się. Niemniej do samego końca – znaczonego rozwiązaniem na przełomie listopada i grudnia ostatnich większych oddziałów – pozostał korzystniejszy dla żołnierzy AK.

Nawet jeśli po stronie niemieckiej przeciw akowcom walczyły głównie jednostki tyłowe i policyjne, ich przewaga w uzbrojeniu, wyszkoleniu, a często także liczebności pozostawała zasadnicza. Przeciwno sobie mieli bowiem – o czym często zapominamy – pospolite ruszenie, którego większość uczestników weszła do walki dopiero latem 1944 r., wcześniej nie mając doświadczenia bojowego. Osiągnięte w takich okolicznościach rezultaty były ewenementem na tle zmagania zbrojnych podziemia w całej okupowanej Polsce.

Walczącej Warszawie żołnierze „Eina” pomóc nie mogli. Swoje zadanie wykonali jednak z nawiązką.

Bartosz Wójcik jest pracownikiem Muzeum Historii Polski. Ostatnio publikował m.in. w „Przeglądzie Historyczno-Wojskowym” i na portalu historiabezkitu.pl

KWARTALNIK JUŻ W SPRZEDAŻY

Temat numeru:

CZY MIESZKO PIERWSZY BYŁ KRÓLEM?

- Piastowie: jak zakłamano historię
- Złota Brama Bolesława Chrobrego
- Symboliczne gesty Ottona III
- Królowa całej Polski

HISTORIA

historia.uwazamrze.pl/prenumerata



Powstańcy w Skierniewicach



Szpital powiatowy w Skierniewicach

Przez Dulag 142, umieszczony przy jednej z głównych magistral kolejowych Generalnego Gubernatorstwa, przeszło ponad dwa tysiące powstańców.

PAWEŁ SKOLIMOWSKI

Wzdłuż torów kolejowych, przy zachodniej granicy cmentarza parafialnego św. Józefa w Skierniewicach znajduje się jedna z nielicznych poza stolicą zbiorowa mogiła Powstańców Warszawy: około 10 metrów długości, ceglana ściana, cztery – największy ze znakami Polski Walczącej – wymurowane z granitowej kostki krzyże i dwie tablice. „Zbiorowe mogiły około stu żołnierzy Armii Krajowej. Walczyli o wolną Polskę na Mokotowie w pułku »Baszta«. Po kapitulacji zostali przewiezieni do Skierniewic. Większość zmarła z ran i wycieńczenia w czasie trzydniowego transportu. Nazwiska ich nie są znane. Wielu zmarło w szpitalu św. Stanisława w Skierniewicach. Niech pamięć o nich trwa wiecznie” – głosi pierwsza z nich. Na drugiej wyryto trzynaście nazwisk tych, którzy jako jedyni z całej setki nie byli bezimienni. Oni nie zdążyli poznać Dulagu 142.

Obóz w szczerym polu

„Na wiosnę 1944 r. w Skierniewicach na polach w pobliżu tartaku założyli Niemcy obóz dla jeńców sowieckich. Pomyślany on był jako obóz przejściowy – Durchgangslager – w skrócie Dulag, oznaczony numerem 142. Nie bacząc na zasiewy, wybudowano prymitywne długie ziemianki bez okien dla jeńców, baraki dla wartowników i komendy, murowaną kuchnię i inne niezbędne budynki, wszystko za gęstą zasłoną drutów kolczastych.” – wspominała w 1960 r. Krystyna Mystkowska z domu Nielubowicz, córka Napoleona Nielubowicza, właściciela wspomnianego tartaku, która w Dulagu 142 została zatrudniona jako tłumaczka.

Obóz zlokalizowany był na terenach należących do kolei, na tak zwanej Czerwonce, w rejonie ulicy Bielańskiej. Wewnątrz ziemianek wzdłuż rowu ustawione były wyścielane słomą prycze. Według szacunków przez Dulag 142 przeszło ponad 3 tysiące osób. Z początku byli to jeńcy sowieccy wraz z chirurgiem, profesorem Leonidem Kubasowem. Latem Niemcy zaczęli umieszczać w nim Polaków (cywilną ludność schwytaną podczas łapanek w okolicach Warszawy), których kierowano następnie na roboty w głąb Rzeszy. Pierwszy transport blisko 30 rannych powstańców wziętych do niewoli dotarł do Skierniewic pod koniec września. Kolejny przywiózł 140 jeńców z Czeraniakowa, w tym 57 powstańców i 82 żołnierzy z 9 pułku I Dywizji WP. Na początku października trafił tu ostatni transport, wiozący powstańców z Mokotowa.



Personel ambulatorium na dworcu kolejowym w Skierniewicach, gdzie udzielano pomocy medycznej jeńcom

”
Zakupy nie były łatwe, ale dzięki ofiarności rolników, młynarzy, piekarzy, rzeźników i kupców udało się zabezpieczyć najbardziej podstawowe potrzeby jeńców

„Nadszedł dzień 1 października. Wczesnym rankiem do obozu przybył wielki transport – wspominała Krystyna Mystkowska. – To powstańcy z Mokotowa w liczbie około dwóch tysięcy przywiezieni zostali po kapitulacji jako jeńcy. Grupie mokotowskiej przewodniczył major Szternal Kazimierz »Zryw«. Wśród jeńców było ponad 400 rannych pod opieką leka-

rzy z powstania i przeszło 30 dziewcząt. Wszyscy oni wymagali natychmiastowej pomocy w żywności i lekach. Tę pomoc zorganizowała RGO (Rada Główna Opiekuńcza) przy udziale całego społeczeństwa z miasta i okolic. Niemcy pozwolili na łączność z obozem mnie i jeszcze kilku kobietom. Zaczęła się praca”.

Skierniewicki epizod Papcia Chmiela

Skierniewice od innych podobnej wielkości miast powiatowych zachodniego Mazowsza wyróżniało położenie przy linii kolejowej, pierwszej na ziemiach dawnego zaboru rosyjskiego Drodze Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Na początku wojny liczba mieszkańców wynosiła 22 tysiące, pod koniec okupacji wzrosła do ponad 25 tysięcy. Według danych Rady Głównej Opiekuńczej jesienią 1944 r. na teren powiatu skierniewickiego przybyło 16 tysięcy wysiedleńców ze stolicy, dalsze 6 tysięcy osób dotarło tu bez rejestracji do krewnych lub znajomych.

Dla kierowanych do Skierniewic warszawiaków władze zorganizowały drugi w mieście obóz przejściowy zlokalizowany w cegielni przy ulicy Mszczonowskiej. Tam w czterech

barakach w katastrofalnych warunkach mogło znaleźć schronienie jednorazowo do 3,5 tysiąca osób, nim ostatecznie zostali rozlokowani w domach skierniewiczank lub w okolicznych wsiach. Wśród tej rzeszy ludzi znajdowali się także powstańcy. Nie wszyscy z nich opuścili stolicę jako jeńcy wojenni. Wielu po kapitulacji udało się przedrzeć poza granice Warszawy. Docierali do Skierniewic z nadzieją na spotkanie z bliskimi.

Jedną z takich właśnie osób był Henryk Chmielewski „Jupiter”, znany pokoleniom dzieciaków jako Papcio Chmiel. Późniejszy autor kultowych komiksów o przygodach Tytusa, Romka i A'Tomka dostał się do niewoli jeszcze w Warszawie i przetrzymywany był przez Niemców wraz z kilkunastoma innymi chłopcami w baraku w okolicy ulicy Łopuszańskiej. Już po kapitulacji powstania udało mu się uciec.

„Oni mnie wzięli na ten parowóz i dowieźli mnie przed Skierniewice. Już dostałem wiadomość, że moja matka, siostra, z dziećmi ze Starego Miasta wywiezione zostały i są u kuzynów w Skierniewicach. I tak dotarłem do Skierniewic – wspominał Henryk Chmielewski w wywiadzie dla Archiwum Historii Mówionej. – Tam mi wyrobili fałszywe zaświadczenie, bo nie miałem żadnych dokumentów. Kuchyni działali w AK, wyrobili mi zaświadczenie fałszywe, że jestem wysiedlony z Warszawy i na tej podstawie zostałem przewieziony do wsi Janisławice, to jest piętnaście kilometrów od Skierniewic. Zostałem z siostrą i z matką, zakotwiczyłem się u chłopca. Z chęcią mnie przyjęli, bo siła robocza [była potrzebna]. Natomiast moja siostra z dzieckiem siedziała całutki dzień przy kościele, aż dopiero przeszedł nakaz od sołtysa, żeby zabrać tę wysiedloną. Nikt nie chciał kobiety z dzieckiem. Tak u pana Piotra Biskupskiego we wsi Janisławice doczekałem wejścia armii radzieckiej. To też była przygoda, bo najpierw do wsi weszli Niemcy, którzy w popłochu uciekali, następnie dwóch żołnierzy maruderów z Armii Czerwonej nocowało w tym domu, wtedy ja, ponieważ Niemcy uciekli, zacząłem iść z powrotem pieszo do Warszawy.”

Waluta ze zrzutów

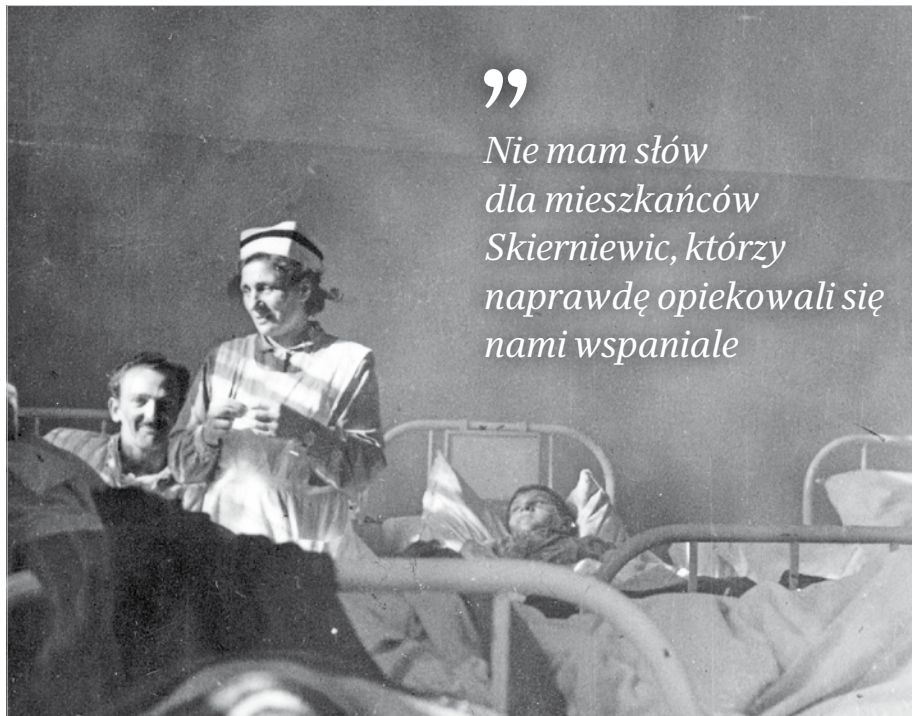
Dla mieszkańców powiatu przyjęcie tak ogromnej liczby ludności napływowej było nie lada wyzwaniem. Mimo to w pomoc jeńcom dulagu zaangażowała się cała rzesza ludzi – cywili i członków Armii Krajowej. Działający w powiecie skierniewickim obwód AK „Sroka” grupował około 3 tysięcy zaprzysiężonych i przeszkolonych żołnierzy.

„Tam się nadzwyczajna, no nadzwyczajna solidarność ludzi zrodziła – mówił w wywiadzie przeprowadzonym w ramach projektu „Historia Mówiona” realizowanego w lubelskim Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN” prof.



Uroczystości przy grobie Powstańców Warszawskich na cmentarzu św. Józefa w Skierniewicach 1 sierpnia 2023 r. Na pierwszym planie **Helena Majkowska „Ela”**, sanitariuszka i łączniczka w powstaniu

Muzeum Historyczne Skierniewic



FOTOGRAFIE Z ARCHIWUM MARIANNY FOKS, ZE ZBIORÓW MUZEUM HISTORYCZNEGO SKIERNIEWIC

„
Nie mam słów
dla mieszkańców
Skierniewic, którzy
naprawdę opiekowali się
nami wspaniale

Wśród jeńców przybyłych było ponad **400 rannych** pod opieką lekarzy z powstania

Jerzy Kłoczowski, pseudonim konspiracyjny „Piotruś”, historyk, żołnierz „Baszty”. – To, co zostało mi też w pamięci, to te Skierniewice niemal oszalały, jak się dowiedziały, że są to ci AK-owcy tutaj ranni. Przynosili nam potem wszystko, co mieli ci ludzie ze Skierniewic – niewiele mieli, bo to byli bardzo biedni. Wszystko nam oddawali, zajmowali się nami. W pamięci wszystkich została nadzwyczajna taka opieka.”

Obóz nie był przygotowany na przyjęcie tak dużej grupy. Warunki higieniczne były fatalne. Według relacji Zdzisława Iwanowskiego, „Józefa”, „Skierniewice to były ziemianki, wykop w ziemi. Tam Rusków trzymali, wszystkich trzymali. Był tunel wykopany jak kopce na kartofle. Jeszcze gorzej. Tylko jedne drzwi i okienko, żeby para wyszła, bo człowiek parował. Już było chłodno, zimno. Jedna prycza była na dole, jedna na górze, nic więcej. Prycze były, brud, smród – kupkę wszyscy robili na miejscu – i wszy.”

Ukąszenia wszy uratowały wcześniej niejednego jeńca przed wywiezieniem ze Skierniewic na roboty w głąb Niemiec. Udawały wysypkę na tle wenerycznym, a Niemcy najbardziej bali się właśnie chorób wenerycznych i gruźlicy. Instruktaż, jak symulować chorobę weneryczną przeprowadzał będący członkiem komisji kwalifikującej przetrzymy-

wanych do pracy dr Roman Peret, wieloletni ordynator Oddziału Chorób Wewnętrznych i Zakaźnych Szpitala Powiatowego, lekarz Rady Głównej Opiekuńczej, członek AK, główny lekarz obwodu „Sroka”, który w swym gabinecie prócz leków i narzędzi medycznych zakupionych na potrzeby oddziału przechowywał broń i amunicję.

W dulażu brakowało wody – tę trzeba ją było transportować w beczkach z okolicznych studzien – i żywności. Zakupy nie były łatwe, lecz w niedługim czasie dzięki ofiarności rolników, młynarzy, piekarzy, rzeźników i kupców udało się zabezpieczyć najbardziej podstawowe potrzeby jeńców.

Pojawił się także problem czysto finansowy. „Powstańcy mieli pieniądze – relacjonowała Krystyna Mystkowska. – Przed kapitulacją rozdano im coś w rodzaju żołdu w nowych, pięknych papierkach 500-złotowych. Te 500-złotówki trzeba było najpierw rozmiąć w miejscowym banku. I tu dopiero okazało się, że owe piękne banknoty, którym na oko nic nie można było zarzucić, nie pochodzą z mennicy Generalnej Guberni, ale były drukowane całkiem gdzie indziej, zaś do Warszawy trafiły ze zrzutów. Lecz nasi bankowcy wzięli na siebie niebezpieczeństwo całej imprezy i wydali nam drobne w walucie niebudzącej już żadnych wątpliwości”.



FOTOGRAFIE Z ARCHIWUM MARIANNY FOKS, ZE ZBIORÓW MUZEUM HISTORYCZNEGO SKIERNIEWIC

Powstańcy podczas leczenia w szpitalu powiatowym w Skierniewicach

Operacje i kotlety

„Niemcy w szpitalu powiatowym w Skierniewicach wyłączyli jeden pawilon dla jeńców wojennych, zostałem tam przewieziony, ponieważ zostałem zakwalifikowany jako ciężko ranny – opowiadał w wywiadzie zarejestrowanym w ramach Archiwum Historii Mówionej Tadeusz Blejarski, ps. „Dąb”. – Pamiętam, że jak mnie przywieźli do tego szpitala, to moje pierwsze pytanie było, czy dobrze dają jeść. Organizm był młody, wyposzczony, ale powiedział mi: »Dają dobrze jeść«. Dopuszczono do tego pawilonu, oczywiście pod eskortą niemiecką, ludność cywilną. Wszyscy, a szczególnie warszawiacy, przybiegali, żeby tam szukać kogoś z rodziny, ale również ludzie, którzy chcieli nam pomóc. Pamiętam, jak przyszła jakaś pani i pyta: »Co byś zjadł? Na co miałbyś ochotę?«. »Na kotleta schabowego z kapustą«. »No to ja ci przyniosę«. Ale w międzyczasie był obiad, barszcz czerwony z kartoflami i jeszcze coś było. Najadłem się. Jak ona przyniosła ten kotlet, to już nie mogłem go zjeść i strasznie mi żal było tego, że nie mogę go zjeść. Pocięła mnie: »To nic, później ci odgrzeją i zjesz«. No i jakoś przeżyłem”.

„Nie mam słów dla mieszkańców Skierniewic, którzy naprawdę opiekowali się nami wspaniale – wspominał Apolinary „Boruta”

Cynk-Borucki, który również w ciężkim stanie trafił do szpitala w Skierniewicach. – Naturalnie nie mieliśmy kontakt z Armią Krajową na terenie Skierniewic. Sami się zgłosili, wiedzieliśmy wszystko, co się dzieje dookoła. Przepili, przeplacili wachmanów.”

Opiekę medyczną nad powstańcami w skierniewickim obozie sprawowali ich lekarze z Powstania oraz wspomniany już Rosjanin, wybitny chirurg, profesor Uniwersytetu Moskiewskiego Leonid Kubasow, który w jednym z baraków przeprowadzał nawet operacje i z równą ofiarnością służył swą wiedzą zarówno pozostałym w dulażu jeńcom radzieckim, jak i Polakom. Najciężej rannych Niemcy zgodzili się umieścić w szpitalu powiatowym, gdzie większość – nie wszystkich udało się uratować – wracała do zdrowia i nabierała sił.

„To było na terenie szpitala. Były na przykład dwa sklepy. Jeden to był sklep masarski z wędlinami. Myśmy nazywali sprzedawczynię »Ciotka Kielbasińska«. Drugi też był jakiś sklep. Co niedzielę i co czwartek »Ciotka Kielbasińska« przyjeżdżała samochodem z koszami od bielizny, przywoziła kielbasy, nie kielbasy. Tak że myśmy w ogóle głodu nie czuli. Mało tego, ponieważ byłem bardzo już taki zdechły, to »Ciotka« uważała, że trzeba mi koniak dać. Mało nie umarłem od tego koniaku, ale dobre serce”. – mówił Apolinary Borucki.

„Ciotka Kielbasińska”, czyli Władysława Węglewska, nie była jedyną mieszkanką Skierniewic wspominaną przez leczonych w szpitalu powstańców ze szczególnym sentymentem. Postać Władysława Strakacza, właściciela skierniewickiego browaru i majątku w Strobowie, jest do dziś stawiana za wzór społecznika i obywatela. To on w 1918 r. kierował rozbrajaniem Niemców i przejęciem władzy w mieście. Naczelnik straży ogniowej, współzałożyciel Towarzystwa Kredytowo-Handlowego, znany był ze swojej działalności dobroczynnej i społecznej. Jego druga żona, Kamila z Himmlów szczególną opieką otoczyła rannych powstańców. Tym, którzy trafili pod pieczę „mateczki Strakaczowej”, nie brakowało niczego.

Pomoc z browaru

„Na terenie Skierniewic był browar, który prowadziła pani Strakaczowa. Ta pani i jej chyba siostra, pani Himlowa, odwiedzały nas bardzo często i upatrzyły sobie sześciu chłopaków, którymi się będą bardzo opiekowały. Znalazłem się w tym całym interesie. Jak Boga kocham, głodu nie zaznałem – zwierzał się Apolinary Borucki. – Mało tego, jak nas zabrali do obozu, to one przepłaciły wachmanów i do obozu dostawałem przedwojenny obiad, butelkę piwa i butelkę mleka. Białe piwo, białe pieczywo, papierosy, kielbasa. Kielbasy wisiały u wezgłowia na belkach baraku, myszy buszowały po tym, jak piorun. Świetnie żeśmy się czuli tam”.

„Opiekowała się nami pani Strakaczowa, która miała browar, była to jakaś rodzina Paderewskich. Dwa razy w tygodniu przychodziła z córką i ze sprzątaczką, pomocą domową i przynosiły kielbaski półkilogramowe i wszystkim kolegom rozdawały – mówił Blejarski „Dąb”. – Mnie już przeniesiono z tej sali dla umarłaków, piętro wyżej, czyli już byłem w lepszym stanie. (...) Przy łóżkach były stoliki, to jak przyszła pani Strakaczowa i położyła tam kielbasę, ja otwierałem szufladkę, wkładałem kielbasę do środka i udawałem, że wszystko jest w porządku. Przybiegała córka, patrzy, że nic nie ma, to położyła drugą, ja ciach znowu drugą do szuflady. Przybiegała pomoc, kładła trzecią, to już tę trzecią zostawiałem, ale zawsze jeszcze tam zostało, bo ktoś umarł, tak że jak one odeszły, to później miałem cztery kielbaski. To wszystko potrafiłem zjeść, oprócz normalnych posiłków”.

„Dobra służba”

Pobyt powstańców na terenie obozu trwał od kilku do kilkunastu dni w zależności od stanu zdrowia. Po selekcji kierowani byli grupami na rampę kolejową. Przewożono ich do obozów. Większość znalazła się w stalagu X B Sandbostel. Do wyzwolenia w dulażu pozostała grupa około 50 najciężej chorych jeńców. Według powojennych szacunków podczas całego okresu funkcjonowania Dulażu 142 skierniewiczanie umożliwili ucieczkę z niego blisko 50 osobom, w tym profesorowi Kubasowowi wraz z asystentem, którzy nie chcieli beczynninie czekać na nadejście swoich rodaków.

„Po kilku dniach pobytu w obozie zdrowych wywieziono do Niemiec. Odjechał wówczas i major »Zryw«, a przed odjazdem udało się nam z nim pożegnać. Powiedział nam krótko: – »Dziękuję, to była dobra służba«. Te proste słowa miały dla nas swoją wagę.” – wspominała Krystyna Mystkowska. /©©

Paweł Skolimowski jest samodzielnym badaczem, pasjonatem historii materialnej Skierniewic

POLITYKA W CZASACH WOJNY

Socjaliści w konspiracji

Spośród stronnictw „wielkiej czwórki” PPS-WRN najbardziej popierała ideę współpracy z pionem wojskowym Polskiego Państwa Podziemnego.

TOMASZ ŻUCZKOWSKI

Polska Partia Socjalistyczna była obok Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Pracy jednym z czterech stronnictw politycznych stanowiących krajowe zaplecze kolejnych rządów RP na uchodźstwie, a także członkiem kolejnych emanacji konspiracyjnego porozumienia stronnictw. Od października 1939 r. do maja 1944 r. działała jako „Wolność-Równość-Niepodległość”, nawiązującą do rewolucji francuskiej i powstania styczniowego; od lata 1944 r. powróciła do nazwy „PPS”.

Patrząc z politycznej perspektywy, PPS-WRN była jedną z czterech najważniejszych konspiracyjnych partii politycznych działających na terenie okupowanego kraju i jako taka powinna być obecna w świadomości społeczeństwa polskiego. Jeśli tak się nie stało, to przede wszystkim na skutek przejęcia władzy w Polsce w 1945 r. przez opartą o potęgę Armii Czerwonej i NKWD Polską Partię Robotniczą. PPR podjęła działania mające na celu nie tylko likwidację postrzeganej przez nią jako konkurencyjna i wroga PPS, ale również rozprawę z jej najważniejszymi działaczami i z jej historią.

Lata przygotowań

Kierowana przez pamiętających czasy Rosji carskiej konspiratorów Tomasza Arciszewskiego i Kazimierza Pużaka PPS była jedyną partią polityczną II Rzeczypospolitej, która już w połowie lat trzydziestych XX wieku podjęła przygotowania do rozpoczęcia działalności konspiracyjnej. I chociaż brak dokumentów nie pozwala na stwierdzenie, jaki dokładnie miały one charakter, to wydaje się, iż to one umożliwiły PPS wzięcie udziału w zorganizowanej formie, jako jedynej partii politycznej II RP, w obronie przede wszystkim Warszawy we wrześniu 1939 r., a po kapitulacji także relatywnie gładkie przejście do działalności konspiracyjnej na początku października.

Fakt ogólnego zorganizowania struktur PPS-WRN nie tylko wyróżniał socjalistów na tle innych podejmujących działalność podziemną partii politycznych, ale i przesądził o zachowaniu stanowisk kierowniczych w budowanych strukturach przez członków przedwojennego Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS: Tomasza Arciszewskiego, Stanisława, Kazimierza Pużaka „Grzegorza”, „Bazylego” i Zygmunta Zarembę „Marcina”. Pozwoliło to na narzucenie w budowanej organizacji bardzo restrykcyjnych zasad konspiracyjnych oraz na daleko idące scentralizowanie jej struktur.

Przyjęte od początku reguły członkostwa oraz zachowania działaczy, pozwoliły na uniknięcie wielu bolesnych strat osobowych, które były udziałem innych partii. Ten sposób działania miał jednak również inne konsekwencje: przyczynił się do trwającego przez cały okres wojny rozbitcia ruchu socjalistycznego na szereg rywalizujących ze sobą organizacji.

Nieudany manewr

Miejsce PPS-WRN na konspiracyjnym scenie politycznej było pochodną stanowiska partii w okresie międzywojennym, kiedy to kluczowym elementem jej programu było doprowadzenie do porozumienia z ruchem ludowym. Po wybuchu II wojny światowej zamysł ten nie uległ zmianie, a wobec politycznej kompromitacji sanacji nabrał nawet dodatkowego znaczenia. Zmianie nie uległo również nastawienie wobec obozu narodowego, postrzeganego jako główny wróg dla socjalistycznej wizji Polski Ludowej. Stronnictwo Pracy było co prawda przed kierownictwem PPS-WRN postrzegane jako prawicowe, ale jako niereprezentujące poważnej siły politycznej zasadniczo lekcewa-



Oficerowie Zgrupowania „Żyrafa”, w skład którego wchodził IV Batalion OW PPS: rtm. Eugeniusz Śliwiński „Jurand”, por. Marian Merenholt „Wiktor” (OW PPS), ppor. Marek Różycki „Rola” (OW PPS), ppor. Janusz Sifek „Janusz”



Zygmunt Zaremba



Kazimierz Pużak



Tomasz Arciszewski

żone. W tej sytuacji orientacja na ludowców wydawała się kluczowa.

Zmiana polityki Stronnictwa Ludowego wiosną 1941 r. (odejście od trwającej od początku 1940 r. bliskiej współpracy z socjalistami oraz decyzja o nawiązaniu przez ludowców pełnej współpracy z wyznaczonym przez gen. Władysława Sikorskiego Delegatem Rządu) była jednym z powodów gambitu kierownictwa PPS-WRN. Socjaliści zawiesili swoją obecność w porozumieniu stronnictw, licząc na to, iż pozostawione sam na sam wobec dwóch stronnictw prawicy Stronnictwo Ludowe zdecyduje się na powrót do współpracy z PPS-WRN.

Wobec powstania w tym czasie konkurencyjnej wobec PPS-WRN organizacji Polskich Socjalistów i wejścia jej przedstawiciela do porozumienia stronnictw tak się jednak nie stało. Kiedy w kilka miesięcy później kierownictwo PPS-WRN zrozumiało, że manewr polityczny się nie powiódł, podjęło szeroko zakrojone i wielotorowe działania. Dopiero jednak w marcu 1943 r. pozwoliły one na powrót Pużaka do porozumienia stronnictw, a zatem do punktu, w którym partia znajdowała się we wrześniu 1941 r.

Warunki polityczne i sytuacja wojenna były już jednak zupełnie inne. „Bazyli” zaangażował się zatem w negocjacje z przedstawicielami pozostałych z „wielkiej czwórki”, które ostatecznie w połowie sierpnia 1943 r. doprowadziły do podpisania Deklaracji Porozumienia Politycznego Czterech Stronnictw, w której zobowiązały się one do współpracy aż do momentu ogłoszenia wyborów po zakończeniu wojny. Podpisany dokument należy uznać za duże osiągnięcie osobiste Pużaka, który, aż do swojego aresztowania przez NKWD pod koniec marca 1945 r., na wszelkie sposoby dążył do podtrzymania osiągniętego porozumienia.

Z Londynem po drodze czy nie

Dosyć podobnie wyglądała ewolucja stosunku PPS-WRN wobec Rządu RP na

uchodźstwie i jego reprezentantów w kraju w osobie kolejnych delegatów. Punktem wyjścia były próby narzucenia koncepcji „prymatu kraju” i postrzegania władz w Londynie jako jedyne reprezentanta („ambasady”) kraju w obozie alianckim, zaś Delegata Rządu na Kraj jako łącznika pomiędzy stronnictwami a rządem. Z czasem doszło do podporządkowania się „Londynowi” i lojalnej współpracy z władzami państwowymi, prób wpływania na prowadzoną przez kolejne gabinety politykę i szukania możliwości dodatkowego wzmocnienia jego pozycji na arenie międzynarodowej.

Spośród stronnictw „wielkiej czwórki” PPS-WRN najbardziej popierała ideę współpracy z pionem wojskowym Polskiego Państwa Podziemnego. Relacje osobiste pomiędzy Pużakiem a zawdzięczającym mu życie gen. Michałem Tokarzewskim-Karaszewiczem oraz między Zarembą a znanym mu z młodości gen. Stefanem Roweckim umożliwiły nawiązanie współpracy pomiędzy PPS-WRN a SZP, a następnie ZZW i AK oraz przesądziły o scaleniu tworzonych przez partię struktur wojskowych Gwardii Ludowej PPS-WRN na pozostawiających socjalistom szeroką autonomię warunkach. Struktury te, w maju 1944 r. przemianowane na Organizację Wojskową Powstańczego Pogotowia Socjalistów, względnie nieliczne i stanowiące prawdopodobnie mniej niż 2 proc. sił na niektórych terenach (przede wszystkim Śląsk i Zagłębie), stanowiły istotny element AK. To w jej szeregach wzięły udział w Akcji „Burza” i w Powstaniu Warszawskim.

Równoległe do Gwardii Ludowej PPS-WRN partia tworzyła struktury milicyjne. Formalnie w momencie przesilenia wojennego miały one opanować fabryki i zapobiec ich zniszczeniu przez Niemców. Z dostępnych na ich temat informacji wynika jednak, że jako formacja niepodporządkowana AK w momencie przełomu PPS-owska milicja mogła zostać również wykorzystana do walki z przeciwnikami politycznymi.

„Robotnik” na barykadach

Kluczową dla budowania poparcia społecznego formą działalności PPS-WRN było wydawanie prasy konspiracyjnej, która po wybuchu Powstania Warszawskiego zaczęła wychodzić jawnie. W tym czasie najważniejszym ukazującym się nakładem partii tytułem pozostawał tradycyjny dla PPS „Robotnik” – drukowany (a potem powielany) codziennie.

Pismo miało charakter informacyjny, ale zawierało też element polityczny – każdy numer otwierał artykuł wstępny napisany przez „Marcina”, przeważnie traktujący o sensie i znaczeniu Powstania Warszawskiego. 5 sierpnia pisał on: „Znaczenie naszej walki wybiega daleko poza problemy skrawka Europy. Zrozumiała to od razu Ameryka, której prasa stwierdziła, że na naszym terytorium rozgrywa się walka o wolność całego świata. W tej walce z chwilą wybuchu powstania staliśmy się od razu ze strony biernej, wyzwalonej obcymi siłami, stroną czynną wyzwającą się własnym wysiłkiem. Nasza klęska we wrześniu 39 r. pobudziła tendencje imperialistyczne, zmierzające do powtórnego traktowania narodów jako bezwolnego tworzywa w ręku kilku potęg militarnych. (...) i oto powstanie w Warszawie zmienia sytuację bardzo wybitnie. (...) Koncepcje imperialistyczne podziału Europy między najsilniejszych rozpadają się w proch w ogniu powstania Warszawy. (...) Potknął się o naszą miłość dla wolności kolos hitlerowski. Nasz opór w 39 roku stał się natchnieniem dla świata. Nasza walka podziemna uwieczniona powstaniem Warszawy stała się zaporą dla odrodzenia imperializmów”.

Pierwszy powstańczy numer „Robotnika” ukazał się 3 sierpnia, a ostatni (61) 4 października. Według niepotwierdzonej relacji jednego z członków redakcji 5 października 1944 r. miał się jeszcze ukazać numer w nakładzie jedynie dwóch przepisanych na maszynie egzemplarzy, od razu zresztą zabrany przez Zarembę do archiwum.

Oprócz „Robotnika” członkowie PPS-WRN w trakcie Powstania wydawali jeszcze „Wiadomości Radiowe” w Śródmieściu, „Warszawiankę” na Starym Mieście oraz „Biuletyn IV Okręgu PPS” i przeznaczone dla dzieci i młodzieży „Jawnutkę”/„Dziennik Dziecięcy” na Żoliborzu. Ten zwięzły przegląd powstańczej prasy PPS-WRN należy podsumować fragmentem ze specjalnego meldunku Wydziału Informacji Biura Informacji i Propagandy Delegatury Rządu z 15 września, w którym o PPS napisano, że „posiada najsprawniej zorganizowaną i najpoczytniejszą prasę w Warszawie”.

Swoiste epitafium dla PPS-WRN stanowi fakt, iż następcą Stanisława Mikołajczyka na stanowisku premiera RP na Uchodźstwie pod koniec listopada 1944 r. został (formalnie kierujący działalnością PPS-WRN w latach 1939-1944) Arciszewski, przetrzucony z okupowanego kraju do Londynu w ramach operacji „Most III” na kilka dni przed wybuchem Powstania Warszawskiego. /©©

NIEMIECKA PROPAGANDA

Cyniczne współczucie dla ofiar

„Nowy Kurier Warszawski” łał krokodyle łzy nad „trudnym losem zwykłych mieszkańców”.

TOMASZ KORNAŚ

Kiedy w Warszawie wybuchło i trwało Powstanie, musiała nań zareagować niemiecka, polskojęzyczna prasa. Niemcy bowiem od początku okupacji – jak każdy najeźdźca – kierowali do Polaków swój propagandowy przekaz; w czasie wojny na zajęętym obszarze Polski niewłączonym bezpośrednio do Rzeszy, w tzw. Generalnym Gubernatorstwie, wydawali i pozwalali z rzadka wydawać książki, broszury, prasę. Druki te miały bardzo różny charakter, nie zawsze propagandowy, ale zapamiętana została szczególnie prasa, która miała dla okupanta takie właśnie znaczenie. Dość powszechnie określana była, skrajnie pejoratywnie, mianem „prasy gadzinowej”.

W okupowanej Polsce ukazywały się dzienniki dostarczające odpowiednio dobranych wiadomości zgodnych z linią i potrzebami wojennej propagandy niemieckiej. Najbardziej znanymi tytułami z tego segmentu były „Nowy Kurier Warszawski” i „Goniec Krakowski”. Wydawano też periodyki rozrywkowe czy quasi-kulturalne, aczkolwiek ich poziom był najogólniej mówiąc niewysoki. Drukowano więc takie czasopisma jak „Ilustrowany Kurier Polski”, „7 Dni”, „Co miesiać powieść” czy „Fala”, mającą charakter półpornograficzny. Ukazywały się też czasopisma „apolityczne”, kierowane do grup zawodowych (rolników, pszczelarzy, lekarzy itp.), zezwolono na wydanie jednego numeru „Ryccerza Niepokalanego”.

Kiedy więc wybuchło powstanie, niemiecka propaganda oczywiście musiała w jakikolwiek sposób, wcześniej czy później ten zryw zauważyć, przetworzyć propagandowo i coś Polakom zaserwować. „Nowy Kurier Warszawski” powstanie zauważył dość szybko; oskarżał o jego wzniecenie a to emigrację londyńską, a to czyniąc zań odpowiedzialną Moskwę. W swoich tekstach dziennik koncentrował się na cierpieniach ludności cywilnej, wyrażał współczucie i łał krokodyle łzy nad trudnym losem zwykłych mieszkańców. Już 19 sierpnia, kiedy do końca walk było daleko, dziennik donosił, że „powstanie w Warszawie wygasa”.

Ciekawostką jest, że prasa gadzinowa poza Warszawą najwyraźniej otrzymała zakaz wspominania o powstaniu i zdecydowała się powstańczy zryw zauważyć po dłuższym czasie. Przez niemal 3 tygodnie „Goniec Krakowski” (dziennik!) słowem nie wspominał o sytuacji w Warszawie, znajdując w tym czasie miejsce na teksty o zmianach w bułgarskiej bankowości, o pierwszym śniegu w Szwecji czy pladze wilków w Portugalii... Pierwsza wzmianka o powstaniu pojawiła się dopiero w numerze z 20-21 sierpnia – mieszkańcy Krakowa mogli się wówczas dowiedzieć, że „Warszawa stanęła w obliczu straszliwej katastrofy”, że „członkowie nielegalnej organizacji stworzonej i utrzymywanej środkami obcych agentur, a mianowicie tzw. Armii Krajowej, rozpętali ruch powstańczy, który objął szereg dzielnic Warszawy”. W tym i późniejszych numerach gadzinowego dziennika znajdowano oczywiście pełne zrozumienie dla działań bojowych podjętych przez Niemców, akcentując to jako bezwzględną konieczność



„Goniec Krakowski” z informacją o odnalezieniu grobów w Katyniu



„Nowy Kurier Warszawski” o pakcie Niemiec, Włoch i Japonii

w obliczu bliskości frontu wschodniego. Charakterystyczne dla ówczesnej propagandy było to, że nazywając powstanie „szaleńczym eksperymentem” rezygnowano z bezpośrednio antypolskich fraz, skupiając się na zarzucaniu odpowiedzialności za cierpienia ludności cywilnej agentom państw alianckich, których czołowym eksperymentem miał być dowódca AK generał Tadeusz Bór-Komorowski. Ciekawe (na co kiedyś zwrócił uwagę badacz tematu Tomasz Głowiński, historyk z Uniwersytetu Wrocławskiego), że sposób pisania w gadzinówkach o Borze-Komorowskim jako „człowieku ambitnym i bezwzględny”, zadaniowanym przez reakcyjnych emigrantów, jest niezwykle podobny do obrazu generała serwowanego w drukach komunistycznych po wojnie. Głowiński pisał: „takie podejście do sprawy podjęła po wojnie polska historiografia, nie zdającą sobie sprawy z tego, że kopiuje wzory goebbelsowskie”.

Ciekawym, flagowym wręcz pismem paneuropejskim drukowanym przez Niemców był dwutygodnik (dwie edycje w miesiącu), „Signal”. Było to ukazujące się od 1940 r. pismo kolorowe, wzorowane pod względem formy na amerykańskich pismach ilustrowanych; wydawane było niezwykle starannie. Miało około dwudziestu wersji językowych i olbrzymie nakłady. „Signal” propagował oczywiście niemiecką, nazistowską wizję świata i powojennego urządzenia Europy. W tej jednoczonej przez nazistów ogniem, żelazem, antysemityzmem i propagandą Europie dla Polaków nie przewidywano w zasadzie miejsca,

stał też polska edycja „Signalu” pojawiła się dopiero w 1944 r., kiedy to w obliczu klęsk i katastrofy próbowano jakoś Polaków zjednać do współdziałania w obliczu nadciągających bolszewików. Zdążyło się ukazać najprawdopodobniej tylko 7 numerów polskiej edycji, ale jeden z nich przyniósł bardzo ciekawy, specjalny, dwunastostronicowy dodatek – wkładkę, w całości traktującą o Powstaniu Warszawskim.

Zawierał on kilka dużych zdjęć z Powstania, co prawda czarno-białych, ale (zważszca zważywszy na ówczesne realia) bardzo dobrych jakościowo. Szczególnie przejmujące jest pomieszczone na rozkładówce wielkoformatowe lotnicze zdjęcie płonącej Warszawy, wykonane w pierwszych dniach zrywu... Zdjęciem towarzyszył tekst opisujący m.in. polityczne okoliczności wybuchu powstania, napisany z niewątpliwie niezłą znajomością polskich spraw i konfliktów dzielących emigrację londyńską i polskich komunistów. O wybuchu zrywu autor pisał, że „niemieckie wojska rozpoczęły natychmiast przygotowane przeciwdziałanie. Opustoszałe wspaniałe ulice Warszawy stały się widownią bezlitosnych starć ulicznych”. W te rozważania wpleciony został materiał zamianowany „pamiętnikiem Zofii Czarneckiej”. Miały to być zapiski odnalezione przy jednej z ofiar powstania, czynione na bieżąco podczas pierwszych tygodni walk. Materiał ten obrazował tragedię miasta i jego cywilnych mieszkańców, ale i zawierał także dopuszczone przez wojenną cenzurę (zapewne

w celu zautentyzowania całości) elementy antyniemieckie („zemsta Niemców będzie straszna”). Całość zapisków przepojona jest współczuciem dla rodaków, którzy dali się otumanić propagandzie alianckiej.

Częściowo spod segmentu prasy gadzinowej wymykało się pismo „Przełom”. Było ono redagowane przez Polaków za zgodą Niemców (i podległe ich cenzurze), szatą graficzną stylizowane na periodyk podziemny. Józef Mackiewicz pisał zaraz po wojnie, że „było to drobne piśmko, jedyne w kraju, poza propagandowymi urzędówkami niemieckimi w języku polskim, stojące na gruncie «nowego ładu Hitlera»”. Było nieudaną i późną próbą (pierwszy numer ukazał się w kwietniu 1944 r.) wpłynięcia na relacje polsko-niemieckie w duchu jakiegoś porozumienia, uświadomienia wspólnoty celów na gruncie antybolszewizmu.

Głównym redaktorem był krytyk literacki Jan Emil Skiński działający – warto to zaznaczyć – z pobudek niekonjunkuralnych, niematerialnych (Czesław Miłosz przyznawał, że „był człowiekiem idei i pasji intelektualnej”). Pismo ukazywało się dość nieregularnie, miało charakter periodyku idei i nie zawierało bieżących doniesień z frontów. Przekonywało za to w tekstach programowych, że tylko w sojuszu z Niemcami możliwe będzie częściowe chociażby ocalenie narodu i kultury. Powstanie Warszawskie postrzegano w podobny sposób jak w oficjalnych urzędówkach – jako rzecz fatalną, zainspirowaną przez szaleńców z Londynu i Moskwy, jako rzecz idącą w poprzek polskich interesów, które to interesy powinny nakłonić Polaków do współpracy z Niemcami; oczywiście i tutaj także wyrażano głębokie współczucie cywilom.

W numerze wrześniowym pisało: „...setki tysięcy ludzi straciły wszystko co posiadały, pozostały w jednym ubraniu, jednej koszuli (...). Gdy teraz ulice śródmieścia wyglądają jak kupy gruzów, gdy miasto wymarło, to po co było robić powstanie? W czym interesie leżało takie pokierowanie sprawami politycznymi? Są to pytania, które z rozpaczą zadają sobie warszawianie”. W numerze z październikiem dużym drukiem, na pierwszej stronie redaktorzy napisali: „Cześć poległym powstańcom Warszawy. Posłuszni rozkazom, oszukani przez świat polegli z wiarą w dobrą sprawę narodu polskiego”. A zaraz potem, w tym samym numerze Feliks Burdecki (drugi z filarów pisma) deklarował (po upadku powstania!), że oto „zaczyna się kruszyć mur nieporozumień polsko-niemieckich”... /©©

Tomasz Kornas jest historykiem i publicystą. Publikował m.in. w „Dzienniku Polskim”, „Historii Do Rzeczy”, „Twórczości”. W roku 2022 ukazał się wybór jego tekstów „Starym czasem naprzeciw”



Najmłodszy kolporter prasy powstańczej



„Gadzinówki” pisały o dramacie ludności cywilnej, zrzucając winę na „agentów Londynu”

ZYGMUNT SPOWINSKI, OSTOJA / APF

JOACHIM JACHIMCZYK, „DZIENNIK” / MPF

ROZMOWA



Postępowania wobec oskarżonych o zbrodnie wojenne nierzadko kończyły się w sądach Austrii i RFN wyrokami uniewinniającymi, bowiem uznawały one, że brak jest dostatecznych dowodów popełnienia przestępstwa. Na zdjęciu: **jedna łapanek w Warszawie**

Komu potrzebne są historyczne śledztwa

*Wymiar sprawiedliwości Austrii i RFN nie poradził sobie z osądzeniem sprawców zbrodni nazistowskich – mówi **Andrzej Pozorski**, zastępca Prokuratora Generalnego, dyrektor pionu śledczego Instytutu Pamięci Narodowej.*

MAREK KOZUBAL

Jaki jest sens prowadzenia śledztw historycznych 80 lat od zakończenia wojny? Co może jeszcze ustalić prokurator?

Tego typu pytanie, czasami przyjmujące formę zarzutu, jest często stawiane prokuratorom pionu śledczego IPN. Odnosząc się do zawartej w pytaniu kwestii najprościej można odpowiedzieć, że takie zadanie postawił przed prokuratorami ustawodawca w ustawie o Instytucie Pamięci Narodowej. Będzie to co prawda odpowiedź poprawna, ale nie wyczerpująca całości zagadnienia.

Śledztwa te spełniają również inne cele, nie mniej istotne od tych, które zostały ustawowo zdefiniowane. Postępowania karne w sprawach zbrodni nazistowskich przyczyniają się bowiem do odkrywania i dokumentowania niewyjaśnionych dotąd tragicznych losów Polaków w okresie II wojny światowej, zaś zgromadzony w ich toku materiał dowodowy stanowi istotny wkład w badaniach najnowszej historii Polski.

Z pola widzenia nie można też tracić kierowanych do prokuratorów IPN oczekiwań osób pokrzywdzonych zbrodniami nazistowskimi i trzeba pamiętać o tym, że przychodzą one do nas po sprawiedliwość, której dotąd nie otrzymały. Nawet jeśli nie uda się postawić przed sądami sprawców przestępstw popełnionych na ich szkodę, względnie szkodę osób im najbliższych, to materiał dowodowy zgromadzony w tych sprawach stanowi nierzadko jedyne materialne świadectwo cierpienia, poniesionej ofiary, a także prezentowanych w trudnym okresie okupacji postaw bohaterstwa, niezłomności, prawości, przyzwoitości i poświęcenia, a ponadto, co równie istotne, dokumentuje je dla przyszłych pokoleń.

Z czym czasami jest problem, bo zdarza się, że do tej pory nie tylko nie wiemy, kto jest sprawcą, ale i gdzie pochowano ofiary...

Dlatego tak istotne jest, że śledztwa w tej kategorii spraw pozwalają na odkrycie nieznanych dotychczas miejsc, w których sprawcy zbrodni skryć grzebali swoje ofiary. To pozwala na godny pochówek i upamiętnienie tych osób. Nie może bowiem być tak, że żołnierze, którzy bronili naszego kraju i zapłacili za to najwyższą cenę oraz bezbronni cywile – w sposób okrutny pozbawieni życia z tego tylko powodu, że byli Polakami, według bezwzględnej filozofii najeźdźców uważanymi za „podludzi”, których należy wyniszczyć – spoczywali dziś nie na cmentarzach, w oznaczonych i otoczonych szacunkiem mogiłach, a pod płytami chodnikowymi, parkingami czy polami uprawnymi. Jesteśmy to winni ofiarom, a spełnienie tego obowiązku jest jednym z ważniejszych zadań stojących przed nami.

Nie może także ująć uwadze, że ustalenia poczynione w tych śledztwach nie pozostają bez znaczenia wobec coraz częściej pojawiających się wystąpień wysokiej rangi przedstawicieli innych państw oraz publikacji telewizyjnych, iż to Polska ponosi współodpowiedzialność za wybuch II wojny światowej, a Polacy wespół z okupantem realizowali jego zbrodnicze cele. Wyjaśnienie okoliczności związanych ze zbrodniami okupanta niemieckiego dokonanymi na jeńcach wojennych i ludności cywilnej na ziemiach II Rzeczypospolitej zajętych w wyniku agresji zbrojnej z 1939 r., ponadto szczegółowe ustalenie osób pokrzywdzonych i sprawców, a następnie podjęcie decyzji procesowej przez polską prokuraturę jest stanowczą odpowiedzią na oszczerczą kampanię,



MATERIAŁY PRAŚOWE

„**Polskie organy sprawiedliwości przez lata nie interesowały się ściganiem i ukaraniem sprawców wojennych przestępstw na Polakach**

w której zamiast ofiar usiłuje się nas przedstawić jako agresorów.

Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia związane z kwestionowaniem istnienia komór gazowych w KL Auschwitz, które mocno poruszyły, by nie powiedzieć wstrząsnęły opinią publiczną w Polsce, podkreślenia wymaga, że ustalenia faktyczne tej kategorii spraw mogą służyć dotarciu do prawdy materialnej zarówno w postępowaniu przygotowawczym, jak i sądowym.

Jaka jest wartość – albo słabość – materiału zebranego w trakcie postępowania przez

prokuratora, w porównaniu do tego, który zgromadził historię?

Instrumenty procesowe, którymi dysponuje prokurator, istotnie różnią się od narzędzi badawczych historyka i – w mojej ocenie – dają prokuratorowi pewną przewagę w dotarciu do świadków oraz dokumentów tak w Polsce, jak i poza jej granicami, do których historyk – z przyczyn obiektywnych – może nie mieć dostępu. Wspomnę tu choćby o instytucji międzynarodowej pomocy w sprawach karnych, możliwości przeprowadzania dowodów z opinii biegłych różnych specjalności – na przykład genetyków, antropologów, archeologów czy lekarzy medycyny sądowej, specjalistów z zakresu badania pisma ręcznego i dokumentów oraz badania zdjęć lotniczych. Niezwykle istotna jest też możliwość korzystania w szerokim zakresie z badań historycznych. Pamiętajmy też o tym, że przesłuchania w charakterze świadków są prowadzone w rygorze postępowania karnego, a zatem z uprzedzeniem o odpowiedzialności karnej za zeznanie nieprawdy lub zatajenie prawdy. Nie pozostaje to bez wpływu na treść zeznań, co między innymi ma też znaczenie dla oceny ich wiarygodności. Odpowiednie zastosowanie instrumentów procesowych często pozwala na poczynienie ustaleń faktycznych odtwarzających na nowo przebieg zdarzeń z okresu II wojny światowej, które – jak się dotąd wydawało – zostały już zbadane.

Postępowania prokuratorskie dotyczyły w przeszłości m.in. zbrodni popełnionych przez funkcjonariuszy III Rzeszy w Warszawie. Śledczy badali m.in. zbrodnie związane z masowymi egzekucjami publicznymi organizowanymi przez okupanta, okoliczności śmierci prezydenta stolicy Stefana Starzyńskiego, starali się opracować listę katów ludności w Warszawie, ale także SS-manów służących w obozach koncentracyjnych. Które śledztwo z pana perspektywy wydawało się przełomowe?

Było kilkanaście takich śledztw, ale wskazać na to w sprawie zabójstwa prezydenta Warszawy, w którym – na podstawie dowodów z zeznań świadków i z dokumentów w Polsce i na terenie Niemiec – popełnienia tego czynu, ponadto jego miejsce i sprawców. Przy czym ustalenia te znacząco odbiegały od wyników dotychczasowych badań historycznych. Śledztwo dowiodło bowiem, że prezydent Starzyński został pozbawiony życia między 21 a 23 grudnia 1939 r. w Warszawie, bądź w jej najbliższych okolicach, a sprawcami zabójstwa byli trzej ustaleniu z nazwisk i stopni służbowych funkcjonariusze Gestapo.

W uzasadnieniu zamknięcia śledztw zwykle pojawia się konstatacja, że czystki

efniczne na Polakach dokonywane przez Niemców nie zostały rozliczone. A przecież przez wiele lat państwo polskie dzieliło się z władzami RFN dokumentami z prowadzonych śledztw, zeznaniami świadków. Dlaczego tak się działo?

Wbrew powszechnemu przekonaniu w okresie PRL zaniechano prowadzenia śledztw w sprawach zbrodni popełnionych na obywatelach polskich w okresie II wojny światowej, w tym dokonanych w niemieckich obozach koncentracyjnych i obozach zagłady zlokalizowanych na terenie okupowanej Polski i terytorium III Rzeszy Niemieckiej. Poza postępowaniami prowadzonymi w latach 40. ubiegłego wieku przeciwko członkom załóg tych obozów, w późniejszym okresie aktywność polskich organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości sprowadzała się w istocie do przekazywania organom wymiaru sprawiedliwości RFN i Austrii materiałów ze śledztw w tych sprawach. Przyjęto bowiem założenie, że państwa te skutecznie ukarzą sprawców tych zbrodni. Po przekazaniu owych materiałów śledztwa w tych sprawach zawieszano, a następnie składano do archiwum. Oznaczało to, że kwestie związane ze ściganiem i ukaraniem sprawców jednych z najcięższych przestępstw popełnionych na Polakach w okresie okupacji niemieckiej pozostały przez kolejne lata poza zainteresowaniem polskich organów wymiaru sprawiedliwości.

Wymiar sprawiedliwości Austrii i RFN nie poradził sobie z osądzeniem sprawców tych czynów i poniósł na tym polu całkowitą klęskę. Postępowania nierzadko kończyły się wyrokami uniewinniającymi, bowiem sądy uznawały, że brak jest dostatecznych dowodów popełnienia przestępstwa. Sprawy te były też umarzane, gdyż przyjęto, że nastąpiło przedawnienie karalności przestępstw zarzuconych oskarżonym. Istotne znaczenie dla unikięcia przez sprawców odpowiedzialności za przestępstwa popełnione w okresie II wojny miały też ustawy amnestyjne, z których pierwszą ogłoszono w Niemczech już w 1949 r.

Dość powiedzieć, że w Republice Federalnej Niemiec na 87 tys. osób, którym postawiono zarzuty popełnienia zbrodni nazistowskich, niewiele ponad 6 tys. z nich otrzymało wyroki skazujące, przy czym zdarzało się, że sądy orzekały wyroki skandalicznie niskie wobec skali dokonanych zbrodni. Na najwyższy wymiar kary, a mianowicie dożywotnie pozbawienie wolności, skazano zaledwie 182 oskarżonych.

Czy rola pionu śledczego IPN się wyczerpuje, gdy wiemy, że sprawcy zbrodni popełnionych w czasie wojny już nie żyją?

Uważam, że do wyczerpania roli prokuratorów IPN w wyjaśnianiu i dokumentowaniu zbrodni nazistowskich jeszcze daleka droga. Ustawa o Instytucie Pamięci Narodowej mówi, że śmierć sprawcy przestępstwa będącego przedmiotem śledztwa nie stanowi ujemnej przesłanki do jego prowadzenia. Celem śledztwa jest bowiem wyjaśnienie okoliczności sprawy i ustalenie osób pokrzywdzonych. Ustawa o Instytucie Pamięci Narodowej służy m.in. zachowaniu pamięci o ogromie ofiar, strat i szkód poniesionych przez naród polski w latach II wojny światowej.

Jak już wspomniałem w okresie PRL-u do-
szło do zaniechań w tej kategorii spraw. Dziś
stan rzeczy jest taki, że żadne ze śledztw
dotyczących zbrodni popełnionych w nie-
mieckich obozach koncentracyjnych
i zagłady, które okupant zlokalizował na
terenie Polski oraz III Rzeszy Niemieckiej –
pośród śledztwa w sprawie KL Warschau, KL
Stutthof, KL Litomierzyce i KL Treblinka – nie
zostały zakończone. Oznacza to, że nie
wyjaśniono procesowo okoliczności
popełnienia zbrodni, nie ustalono pokrzyw-
dzonych, jak też nie podjęto działań
zmierzających do wykrycia i postawienia
przed sądem sprawców tych czynów, dlatego
to prokuratorzy IPN muszą zmierzyć się z tą
materią. Dodatkowo, do podjęcia i meryto-
rycznego rozstrzygnięcia wciąż pozostaje
1 347 śledztw z ponad 5 tysięcy niezakończo-
nych w sprawach o zbrodnie nazistowskie
byłej Głównej Komisji Badania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu i Okręgo-
wych Komisji Badania Zbrodni przeciwko
Narodowi Polskiemu, które zostały złożone
do archiwum w latach 70. ub. wieku
i pozostawione bez dalszego biegu, choć nie
zostały zakończone decyzjami merytorycz-
nymi. Dotąd zdołaliśmy podjąć i zakończyć
znacznie ponad 3 tys. takich śledztw.

Do Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu wciąż wpływają zawiadomienia od osób pokrzywdzonych zbrodniami nazistowskimi i ich najbliższych, zawierające wnioski o wszczęcie postępowań

karnych. Godnym podziwu jest determinacja osób, które w czasie wojny straciły najbliższych czy same doznały krzywd ze strony okupantów, wyrażająca się znaczną aktywnością procesową i zainteresowaniem ustaleniami śledztw.

Niemiecki aparat terroru to nie tylko oprawcy w obozach, organizatorzy egzekucji, lecz także instytucje, które sankcjonowały takie postępowanie wobec Polaków.

To osobna grupa śledztw, które dotąd nie były w Polsce prowadzone – dotyczą one bezprawia sądowego okresu okupacji niemieckiej w Polsce, a ściślej funkcjonowania w latach 1939-1945 niemieckich sądów specjalnych i bezprawnych orzeczeń, głównie kar śmierci, wydanych wobec obywateli polskich. W archiwum Instytutu Pamięci Narodowej ujawniono bowiem 711 jednostek archiwalnych zawierających dokumenty wytworzone przez te sądy w okresie okupacji

niemieckiej i systematyczna analiza zawartych w nich danych prowadzi do inicjowania kolejnych postępowań karnych. Ustalenia poczynione w tych śledztwach pozwalają na stwierdzenie, że prawo i wymiar sprawiedliwości III Rzeszy Niemieckiej stały się częścią maszyny ludobójczej wymierzonej w obywateli polskich, a niemieccy prawnicy służyli zbrodniczej ideologii nazistowskiej i byli narzędziem przeznaczonym do masowej eksterminacji Polaków.

Niezależnie od prowadzonych śledztw wdrożono procedurę kierowania do prokuratur niemieckich – na podstawie przepisów niemieckiej ustawy z 25 sierpnia 1998 r. o uchyleniu narodowo-socjalistycznych bezprawnych wyroków wydanych w postępowaniach karnych od 10 stycznia 1933 r. – wniosków o potwierdzenie nieważności wyroków zapadłych wobec naszych obywateli, a tym samym o ich prawną rehabilitację jako osób niesłusznie skazanych. Do

prokuratur niemieckich skierowano dotąd ponad 200 wniosków o potwierdzenie nieważności wyroków sądów niemieckich zapadłych wobec blisko 600 obywateli polskich. Otrzymano zaś z Niemiec formalne potwierdzenia nieważności wyroków wobec ponad 300 osób. Kolejne wnioski są obecnie przygotowywane.

Jak zatem widać, mimo zakończenia 7 866 śledztw w sprawach zbrodni nazistowskich wiele jeszcze przed nami. To żmudna praca, gdy weźmie się pod uwagę, że w sprawach tych nierzadko występuje znaczna, idąca w tysiące osób, liczba pokrzywdzonych, a zakres postępowań obejmuje setki czy tysiące zdarzeń.

Dlatego dostrzegam głęboki sens prowadzenia tego typu spraw, w które warto inwestować wysiłek i czas prokuratora. Stanowi to bowiem realizację unormowań obowiązujących w tym zakresie ustawy, ale także dobrze służy polskiej racji stanu. /@@

An advertisement for the PRO RZECZPOSPOLITA news package. The background is a dark blue gradient. At the top, the 'RZECZPOSPOLITA' logo (a white eagle) is centered above the word 'PRO' in large, white, serif capital letters. Below this, the title 'The New York Times' is written in a white, gothic-style font. In the center, two smartphones are shown. The phone on the left displays the 'The New York Times' mobile app interface, featuring a headline about Trump's tax cuts and tariffs. The phone on the right displays the 'PRO RZECZPOSPOLITA' app interface, which includes a calendar, news snippets about VAT and e-commerce, and a shopping cart icon. At the bottom, the text 'DWA AUTORYTETY. JEDEN PAKIET.' is written in white, followed by 'PODWÓJNA SIŁA DZIENNIKARSTWA' in white and blue. A QR code and the text 'Kup teraz' are located at the very bottom.

ŻYCIE WARSZAWY

1944

2025

TUTAJ HISTORIA TWORZY SIĘ CODZIENNIE

81. rocznica Powstania Warszawskiego
Obserwuj planowane wydarzenia i relacje z obchodów.



Sprawdź na [→ zyciewarszawy.pl](https://zyciewarszawy.pl)